



Zapraszamy na magiczne Święta
w zaklętym miejscu.

PENSJONAT POD ŚWIERKIEM

Agnieszka Lingas-Łoniewska

Magdalena Knedler

Adrian Bednarek

Jolanta Kosowska

Nina Reichter

Daniel Koziarski

Anna Kasiuk

Anna Szafrńska

NOVAE RES

Pensjonat pod Świerkiem

OPOWIADANIA ŚWIĄTECZNE

Agnieszka Lingas-Łoniewska, Magdalena Knedler,
Adrian Bednarek, Jolanta Kosowska, Nina Reichter,
Daniel Koziarski, Anna Kasiuk, Anna Szafrńska



NOVAE RES

Spis treści

AGNIESZKA LINGAS-ŁONIEWSKA
Ostatni koncert

AGNIESZKA LINGAS-ŁONIEWSKA
Świt

MAGDALENA KNEDLER
Edgar

MAGDALENA KNEDLER
Mantyla

ADRIAN BEDNAREK
Pokój nr 106

ADRIAN BEDNAREK
Świąteczna niespodzianka

JOLANTA KOSOWSKA
Restart

JOLANTA KOSOWSKA
Zaręczyny

NINA REICHTER
Przyjaciół w wigilijną noc

DANIEL KOZIARSKI
Dwanaście przedwigilijnych potraw

ANNA KASIUK
Razem

ANNA KASIUK
Zwierciadło

ANNA SZAFRAŃSKA
Mały Książę

ANNA SZAFRAŃSKA
Zagubione

AGNIESZKA LINGAS-ŁONIEWSKA

Ostatni koncert

Uklonił się. Ogłuszający aplauz pieścił mu uszy, był jak dotyk szalonej kochanki, sprawiał, że krew zaczynała szybciej krążyć mu w żyłach. Mógł to porównać do uczucia, jakie ogarniało go tuż przed tym, kiedy miał zagłębić się w ciele kobiety. Ale i tak było milion razy lepsze. Wyprostował się, odłożył skrzypce i uniósł ręce. Hałas się nasilił. Był wirtuozem ludzkich mas. Nieznośny, złośliwy, przystojny. Bastard. Joachim Kropelski. Międzynarodowa gwiazda elektronicznego rocka, granego na skrzypcach, które zrobiono specjalnie dla niego.

Uśmiechnął się szeroko, prawie dotarło do niego zbiorowe westchnienie kobiet z pierwszych rzędów. O tak, wiedział doskonale, jak wykorzystywać swoją powierzchowność. Nie dość, że miał talent, to jeszcze wyglądał tak, że kobiety były w stanie zrobić wszystko, dosłownie wszystko, aby znaleźć się w jego garderobie. Miał nawet swoje groupies, które jeździły, a właściwie latały, za nim po całym niemal świecie. Ale wiedział, kiedy może sobie pozwolić na coś więcej. Żadna z nich nigdy nie trafiła do jego hotelowego pokoju. Utrzymywał stosowny dystans, aby podkreślać oczekiwanie i podniecenie, ale nie dać nic ponad to. Spojrzenie, dotyk, czasami pocałunek, to wszystko. Oczywiście, korzystał w bardziej dosłowny sposób z oszałamiającej popularności, ale tej grupki fanek potrzebował do zaspokajania potrzeby bycia uwielbianym, które napędzało go i dawało siłę do grania kolejnych koncertów, do komponowania i stawiania czoła ogromnemu szaleństwu, jakie go często otaczało.

Uklonił się po raz ostatni, pomachał, posłał całusy i scenę zasłoniła ciężka

kotara. Dostrzegł Angelikę, która cały czas stała za kulisami i jak zawsze nie spuszczała z niego wzroku.

– Napij się. – Podała mu jego ulubioną wodę, Evian, o temperaturze pokojowej. Kiedyś podała mu zimną, prosto z lodówki, to wylał jej ją na głowę. Nie cierpiał, kiedy nie słuchała, co do niej mówił.

– Samochód gotowy? – spytał oschle, oddając pustą szklaną butelkę.

– Tak. Hotel w Wiedniu też już gotowy.

– To chodźmy.

– A nie spotkasz się z fanami krakowskimi?

– Nie. Jestem zmęczony.

– Jasne, zatem chodźmy. Możesz się zdrzemnąć w czasie drogi.

– Właśnie to zamierzam zrobić.

W samochodzie Joachim usiadł z tyłu, nakrył się kocem i zamknął oczy. Angelika wiedziała, że po koncercie jest zawsze bardzo wyczerpany, dawał z siebie wszystko, energia wprost z niego buchała, potem musiał odpocząć. Teraz, po krakowskim występie, musieli jechać od razu do Wiednia, bo rano miał konferencję prasową, potem obiad z grupką wybranych fanów, którzy wygrali to spotkanie w jakimś konkursie, a o godzinie dziewiętnastej koncert. Ruszyli na południe, drogi były odśnieżone, ale zaczynał padać śnieg, Angelika miała nadzieję, że przejadą przez góry bez większych trudności, bo nie mogli się spóźnić. Sama była zmęczona, przecież od rana towarzyszyła Joachimowi w rozwiązywaniu jego codziennych problemów, a potem kibicowała podczas koncertu. Ale już się do tego przyzwyczaiała. Dziesięć lat temu poświęciła wszystko, aby on mógł realizować się jako rockman kompozytor; był dla niej najważniejszy. Był jej największą miłością, jej pierwszym chłopakiem, mężczyzną, którego kochała tak mocno, że zносиła wszystko, aby tylko on mógł czuć się dobrze i czasami obdarować ją tym swoim oszałamiającym uśmiechem gwiazdy rocka.

Zerknęła we wsteczne lustro. Podłożył pod głowę poduszkę i spał. Wyglądał tak pięknie i bezbronie. Jasne loki spadały łagodnymi falami na szerokie ramiona. Długie rzęsy rzucały cienie na policzki. Długie palce wirtuoza ze srebrnymi obrączkami zacisnęły się na kaszmirowym kocu. Jej serce skurczyło się z przepelniającej je miłości i tęsknoty. Tak dawno nie czuła jego dotyku na ciele. Jego ust na swoich. Tak dawno nie słyszała jego szeptu, gdy wypowiadał jej imię, zaraz po tym, gdy osiągał spełnienie, poruszając się w niej. Wiedziała o jego przygodach, o kobietach w hotelach, o małolatach w samochodach. Taka była cena sławy. One same podawały mu się na tacy, nie miał siły odmawiać. Rozumiała to. Bolało ją cholernie, ale nie mogła nic z tym zrobić.

Potrząsnęła głową, aby odrzucić ponure myśli. Najważniejsze, że on był tu z nią, że zawsze do niej wracał. A ona czekała i wciąż pozostawała mu wierna.

Skupiła się na drodze, coraz gęściej prószyno. Zjechała na jakąś boczną

drogę, nawigacja wskazała, że będzie trochę szybciej. Jednak widoczność była coraz gorsza. Śnieg padał prawie poziomo, czuła się jak na seansie *Gwiezdnych wojen*.

– Cholera – szepnęła, zwalniając prawie do dwudziestu kilometrów na godzinę. Nie widziała już niemal nic. Nie mogła dalej jechać, Joachim spał, na drodze nie było żywej duszy, a na zewnątrz rozpętało się istne lodowe szaleństwo. Pojazd ledwie się toczył. Nagle dostrzegła jakieś światło z lewej strony. Gdy podjechała bliżej, przeczytała słabo podświetlony napis, wydrążony w kawałku drzewa: Pensjonat pod Świerkiem.

Zdecydowała się skręcić. I tak nie była w stanie jechać, poczekają, może śnieg przestanie padać. Napiją się czegoś ciepłego. Joachim chyba poczuł, że auto zwolniło, przebudził się i spytał zachrypniętym głosem:

– Co się dzieje?

– Jakaś zamieć, nic nie widzę. Zjeżdżam do pensjonatu, wypijemy coś gorącego i poczekamy, może przestanie tak padać.

– Wiesz, że musimy zdążyć? – spytał sucho.

– Wiem. Ale nie mogę jechać, przecież widzisz.

– Zajebicie – warknął.

Podjechali pod okazały, ale nieco ponury, budynek przypominający kwadratową bryłę willi z lat siedemdziesiątych. Pensjonat nie sprawiałby miłego wrażenia, ale dzisiaj był ładnie oświetlony kolorowymi świątecznymi lampkami. Starszy człowiek stał w drzwiach i patrzył na nich, gdy parkowali przy wysokim ośnieżonym świerku.

– Mam nadzieję, że mają tutaj coś ciepłego, bo w takim lokalu w środku lasu nie spodziewałbym się zbyt wiele.

– Herbatę na pewno mają – mruknęła Angelika i wysiadła z samochodu.

Otworzyła bagażnik i włożyła szybko płaszcz, ale śnieg i tak już zdążył oblepić jej plecy i włosy. Joachim nie czekał na nią, był już na ganku.

– Zapraszamy. Ogrzejcie się. – Starszy człowiek otworzył drzwi i wpuścił gości do środka.

– Witamy w naszym pensjonacie. Jak tu trafiliście w taką zadymkę? – Wysoka blondynka, stojąca w recepcji, patrzyła na nich z lekkim uśmiechem.

– Przypadkiem. – Angelika ostukiwała buty ze śniegu.

Joachim już usiadł przy barze, nie zwracając sobie głowy ściąganiem kurtki.

– Macie coś na gorąco? Zjemy i jedziemy dalej – powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Mamy, zaraz przyjdzie mój brat i przyjmie od pana zamówienie.

– Ale raczej nigdzie dzisiaj nie dojedziecie. – Niski głos należał do ciemnowłosego mężczyzny po trzydziestce, który właśnie wyszedł z zaplecza. –

Jestem Gabriel, a to moja siostra Ewa – przedstawił blondynkę.

– Niby dlaczego? Nie dojedziemy? – Joachim patrzył na nich spod zmarszczonych brwi.

– Zeszła lawina, wszystkie drogi zasypane. Musicie poczekać do rana.

– Nie ma takiej opcji – prychnął Bastard.

– Posłuchajcie. – Starszy mężczyzna włączył radio, gdzie nadawano komunikat. Informowano, że nie ma jak się wydostać z Zakopanego i okolic, proszono o pozostanie w domach do rana. Nagle coś zawarczało i zerwała się łączność.

– Nie martwcie się, mamy generator. – Ewa uśmiechnęła się łagodnie. – Józef pomoże wam z bagażami, pokoje na górze są gotowe i bardzo przytulne.

– Angela. – Joachim spojrział znacząco na kobietę, a ta od razu do niego podeszła. – Słuchaj, wymyśl coś.

– Widziałeś, co się dzieje? Poczekajmy do rana, zadzwonię do organizatorów, przełożymy to na pojutrze. I tak śpimy w Wiedniu po koncercie.

– Nie podoba mi się ta dziura – powiedział całkiem głośno.

Angelika była pewna, że gospodarze to słyszeli.

– Nie mamy wyjścia. Zaraz sprawdzę, jak wyglądają pokoje.

– Dobra, idę z tobą. Nie podoba mi się również ten facet. – Wskazał na właściciela. – Gapi się na mnie, jakby chciał mi wbić sztylet.

– Myślę, że przesadzasz.

– Myślę, że jesteś gównianym kierowcą – odciął się, wyszarpnął jej kluczyki i wyszedł na zewnątrz. Tam otworzył samochód i wyjął swoją walizkę. Gdy wszedł do środka, rzucił kluczyki na stół i zwrócił się do Angeliki: – Swoje bagaże weź sobie sama.

Dziewczyna uśmiechnęła się niezręcznie do obserwujących ich gospodarzy.

– Zaprowadzę pana do pokoju. – Ewa sięgnęła po klucze z recepcji. – A Gabriel przyniesie pani bagaż.

– Dziękuję – powiedziała cicho Angelika.

Joachim był już na górze, gdzie pokierowała go właścicielka pensjonatu. Patrzyła za oddalającym się mężczyzną i po chwili zawiesiła wzrok na szczupłej rudowłosej kobiecie.

– Zapraszam do jadalni. Ma pani ochotę na gorący barszczyk? – spytała przyjaźnie.

– Tak, poproszę.

Angelika była zmarznięta i zmęczona. A przede wszystkim czuła bezbrzeżny smutek. Za każdym razem, kiedy on zachowywał się wobec niej okrutnie, coś łapało ją za serce i ścisnęło tak mocno, że przez chwilę nie mogła oddychać.

– Pani towarzysz jest trochę nerwowy. – Ewa postawiła przed kobietą filiżankę z aromatycznym barszczem.

– Jest artystą. Czasami nie może zapanować nad rozdrażnieniem.
– A czym się zajmuje?
– Nie poznała go pani? – Angelika była zdumiona. Joachima rozpoznawano na całym świecie. Jak widać, do małego górskiego pensjonatu jego sława nie dotarła.

Nie wiedzieć czemu, poczuła się lepiej.

– Niestety nie. Poza tym proszę mówić mi po imieniu. Nie lubię niepotrzebnej celebry. Ewa.

– Angelika – odparła z uśmiechem rudowłosa.

– Wracając do tego pana... – Ewa wskazała palcem na piętro. – Czym się zajmuje?

– Jest muzykiem. Komponuje i gra rocka symfonicznego. Na skrzypcach. Joachim, pseudonim Bastard. Naprawdę nie słyszeliście?

– Niestety. Ale miło nam, że ktoś znany zawitał do naszego skromnego pensjonatu. A ty jesteś jego... żoną?

– Nie, nie! – Angelika gwałtownie zaprzeczyła. – Jestem jego... – Zawahała się. Bo kim właściwie była dla mężczyzny, którego kochała nieprzerwanie od prawie piętnastu lat? Menedżerką, organizatorką, przyjaciółką, psychologiem, kochanką, dziewczyną do bicia, murem, w który rzucał za każdym razem, kiedy coś szło nie po jego myśli. Mogłaby wymieniać bez końca. Gdy kiedyś spytała, czy ją kocha, uśmiechnął się i zaczął całować. Nigdy nie usłyszała od niego tych słów, których tak bardzo pragnęła. Sama wielokrotnie mu powtarzała, że jest dla niej wszystkim. Oczekiwała tego samego. Kiedyś powiedział jej, że on potrzebuje czasu, że to poważna deklaracja i chyba nie chciałyby, aby rzucał słowa bez pokrycia. Że musi być na sto procent pewien. Więc czekała. Wciąż czekała.

– Angeliko? – spytała zaniepokojona właścicielka pensjonatu.

– Przepraszam. Jestem jego menedżerką. No i przyjaźnimy się.

– Rozumiem. – Ewa uśmiechnęła się łagodnie.

– Ciężko pracuje. Dlatego czasami jest... taki...

– Nie musisz tłumaczyć. Najważniejsze, że ty jesteś dla niego opoką. Czasami trzeba mieć kogoś takiego, na kim zawsze można się oprzeć.

– Właśnie... zawsze. – Angelika uśmiechnęła się trochę smutno.

– Ale to męczy, prawda?

– Nie...

– Wcale nie musisz być zawsze silna i niezawodna. Każdy z nas czasami może sam potrzebować oparcia.

– Pewnie tak. Ale jakoś nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek mogła okazać słabość.

– To niedobrze.

– Słabość okazać mogę tylko wtedy, kiedy jestem sama. Wiesz... – Angelika

dopiła barszcz i odsunęła filiżankę. – To dziwne.

– Co takiego? – Ewa uśmiechnęła się łagodnie.

– To dziwne, że tak ci się zwierzam.

– Nie widzę w tym nic dziwnego. Po prostu rozmawiamy. Na dworze szaleje zamieć, a my jesteśmy w ciepłym i przytulnym miejscu.

– A na górze jest mężczyzna, który przeklina każdą spędzoną tu chwilę. – Angelika przewróciła oczami.

– No właśnie. Nie powinnaś chyba się tym tak bardzo przejmować.

– Gdybym tylko umiała. Czasami jestem zła sama na siebie.

– Powinnaś właśnie siebie postawić na pierwszym miejscu.

– Już dawno o tym zapomniałam. Nie widzę siebie, dostrzegam tylko jego.

– A czy on to docenia? – Ewa postawiła przed Angeliką dzbanuszek z gorącą malinową herbatą. W murowanym kominku wesoło trzaskało drewno, było spokojnie, cicho i bardzo przytulnie. Angela po raz pierwszy od dłuższego czasu poczuła się bezpiecznie.

– On docenia tylko siebie. – Angelika uśmiechnęła się smutno.

– Jesteś jego menedżerką, pewnie wszystko za niego załatwiasz, powinien cię szanować.

– Chyba o tym zapomniał. Miałam być dla niego wszystkim, bo on jest wszystkim dla mnie. Niestety... – rozżaliła się Angelika.

Ewa pochyliła się i dotknęła lekko dłoni siedzącej naprzeciwko kobiety.

– Wiem, że mnie nie znasz, ale czasami dobrze jest się komuś zwierzyć. Z nieznanymi nie mamy zbyt wiele wspólnego, dlatego jeśli chcesz... – Spojrzała na okno, w które uderzał wiatr i śnieg. – Mamy całą noc.

– Chodzi o to, że... – Angelika nagle ochrypla, ale napiła się wody, którą Ewa jej podała, i potrząsnęła głową. – Chodzi o to, że wszystko... zawdzięcza tylko mnie. To ja skomponowałam jego uverturę, którą wysłał na konkurs organizowany przez Metropolitan Opera w Nowym Jorku. On był na skraju upadku. Alkohol, narkotyki... Długi. Przestał wierzyć w siebie, zanim naprawdę cokolwiek zrobił, aby zbudować w sobie to poczucie, że jest coś wart. Ale ja nigdy nie przestałam. Tkwiłam przy nim... Straciłam dziecko. Nasze dziecko. On nawet nie zauważył, ja w sumie też... chyba nie... Bardziej byłam zajęta wyciąganiem go z depresji, oczyszczaniem z myśli samobójczych. I wówczas pojawił się ten konkurs. Sama też komponowałam, miałam wiele kompozycji, utworów, którym oddałam duszę i serce, dlatego postanowiłam, że wyślę jeden z nich do Nowego Jorku. I okazało się, że wygrałam! A właściwie wygrał Joachim, bo wysłałam zgłoszenie pod jego nazwiskiem. I od tego wszystko się zaczęło, wszystko się zmieniło. A przede wszystkim... on się zmienił. Nabrał pewności siebie, sam zaczął tworzyć, ta wygrana coś w nim otworzyła. Stał się rockmanem muzyki klasycznej. Zainwestowaliśmy w wizazystkę, zmienił styl ubierania się, sama

widziałaś, wygląda doskonale.

– A ty wyglądasz na zmęczoną.

– Bo tak właśnie jest, czuję się bardzo zmęczona. Wszystkim. A najbardziej oczekiwaniem, że on w końcu dostrzeże, że istnieję. Że jestem nie tylko jego menedżerką. Ale także przyjaciółką, powierniczką, że go kocham. Naprawdę kocham.

– Z tego, co mówisz, sędzę, że on doskonale o tym wie, Angeliko. – Ewa pochyliła się, ponownie dotknęła dłoni siedzącej naprzeciwko kobiety i uśmiechnęła się łagodnie.

– I wykorzystuje to?

– Sama odpowiedz na to pytanie. Kim naprawdę jesteś, a kim powinnaś być. Kim chcesz zostać w przyszłości. I czy warto?

– Ten dom... – odezwała się po chwili milczenia Angelika. – Mogłabym tu mieszkać. Tutaj wszystko wydaje się takie proste.

– Zawsze możesz tu przyjechać. Aby pomyśleć.

– Już pomyślałam. Dziękuję za tę rozmowę. Muszę teraz... porozmawiać z kimś jeszcze.

– Oczywiście. I pamiętaj, kto dla ciebie powinien być na pierwszym miejscu.

– Niebieskie oczy Ewy nie przestawały obserwować twarzy Angeliki.

– Teraz już nie zapomnę.

– To dobrze. Śniadanie zrobię wam na siódmą trzydzieści.

– Dziękuję.

Joachim wpatrywał się w notebooka, gdzie oglądał swój ostatni koncert w Londynie, wrzucony na jego kanał na YouTube. Zadowolony stukął palcami po udzie i kiwał rytmicznie głową. Angelika popatrzyła na niego i nagle uświadomiła sobie, że w innym wypadku stałaby przez dłuższy czas i wpatrywałaby się w niego z zachwytem. Tymczasem teraz poczuła jedynie... zniecierpliwienie.

– Chyba znasz ten koncert na pamięć.

– Nieźle tu wyglądam.

– Wiesz, jak ma na imię twoja wizażystka? A dziewczyna od makijażu? A ta, co ci robi manicure? To im powinieneś dziękować.

Joachim spojrzał na nią uważnie i powoli zamknął laptopa.

– Jesteś zła? Ja też nie jestem szczęśliwy. Gdybyś wcześniej sprawdziła pogo...

– Nie jestem twoją pieprzoną pogodynką!

– Co się...

– Posłuchaj... – Angelika usiadła w fotelu naprzeciwko i splotła dłonie, opierając je o ławę. – Wystarczy.

– Angela... – Joachim otworzył szeroko oczy i wpatrywał się w nią, jakby widział ją pierwszy raz w życiu.

Angelika poczuła satysfakcję. O tak! Wreszcie ją zauważył. Po tylu latach przestała być niewidzialna. Dziesięć lat. Tyle zajęło jej zrozumienie, że została wykorzystana i nie może liczyć na nic więcej. Dziesięć lat zajęło mu dostrzeżenie, że ona żyje, a nie jest tylko elementem wyposażenia.

– Tak, to ja. I już wystarczy.

Zaniepokoił go jej dziwny, obcy wzrok.

– Nic się... – zaczął ugodowo, ale ona potrząsnęła głową, jakby nie miała zamiaru dłużej go słuchać.

– To już koniec. Trochę mi zabrało czasu uświadomienie sobie, że jestem dla ciebie tylko częścią wyposażenia twojej garderoby, czasami sypialni, kuchni... – Odginała palce, odliczając. – W nieskończoność czekałam, aż w końcu mnie dostrzeżesz. Mnie! – Uderzyła się w piersi. – Kobietę, dzięki której zrobiłeś karierę. Dziewczynę zakochaną w tobie wielką pierwszą miłością. Kochankę, która dawała ci tak wiele, w zamian nie dostając prawie nic. Ale to już koniec.

– Angie...

– Teraz ja mówię. Każdy twój występ okupiony był moimi nerwami, które potem kołałam tabletkami i wódką. Każda twoja przygodna panienska okupiona była moimi łzami, kiedy do rana szlochałam w poduszkę, wyobrażając sobie, co teraz robisz z inną, i wspominając twój dotyk, którego nienawidziłam i którego pragnęłam! Byłam przy tobie nie tylko wówczas, kiedy stałeś na piedestale, jak pan świata, mocarny i uwielbiany. Pamiętasz, co było dziesięć lat temu? Gdy stałeś w Przejściu Świdnickim i grałeś na skrzypcach, a ludzie wrzucali ci drobniaki do futerału? Wtedy nie miałeś ubóstwiających cię tłumów, wpatrzonych w ciebie pięknych kobiet, gotowych pójść z tobą na jedno skinienie. Wtedy byłam tylko ja, kochana Angie, która kołała twoje smutki, zabierała z ręki tabletki i chowała wódkę, abyś nie zdołał się całkiem upodlić.

– Wiem przecież... – jęknął Joachim, próbując się wbić w monolog Angeliki, ale ona nie zamierzała przestać mówić.

Wreszcie mogła powiedzieć, wyrzucić z siebie to wszystko, co siedziało w niej głęboko od tylu lat i powodowało bezsenne noce, nerwicę oraz początki depresji.

– Nic nie wiesz. Wiesz tylko, czego ty chcesz, czego sam pragniesz, i robisz wszystko, aby te żądze zaspokoić.

– Prosiłem cię o czas.

– Myślisz, że o to mi chodzi? Teraz? – parsknęła. – Jasne, czekałam jak głupia, że w końcu mnie dostrzeżesz, że będziesz chciał ze mną stworzyć dom. Dałabym ci wszystko. Kiedyś pragnęłam urodzić ci dziecko, być twoją żoną, leżałam nocami, bezsennymi i długimi jak niektóre twoje uwertury, i wyobrażałam

sobie, jak by to było. Ale teraz już nie chcę. Wiesz, czego pragnę?

– Nie – odparł cicho, patrząc na nią z przestachem. Zaciśnął dłonie w pięści i nie wiedział, co zrobić. Pragnął ją przytulić, ale najnormalniej w świecie bał się do niej podejść.

– Chcę odzyskać życie. Tylko tyle.

– Ang...

– Tylko tyle! – powtórzyła z naciskiem, odwróciła się i wyszła, cicho zamykając drzwi.

Joachim siedział przez jakiś czas i wpatrywał się w zamieć szalejącą za oknem. Przypominał sobie te wszystkie chwile, kiedy faktycznie stał na granicy samounicestwienia, a ta kobieta tkwiła przy nim i trzymała go ostatkiem sił, aby nie zniszczył siebie tak do końca. Wiedział, że wiele jej zawdzięczał, oczywiście, że tak. Nie był idiotą. Tylko zakochanym w sobie egoistycznym dupkiem. O tym też doskonale wiedział. Poza tym... było mu wygodnie, skoro jej to pasowało, dlaczego on miałby się sprzeciwiać? Jasne, że myślał o przyszłości, w tych jego myślach to właśnie Angela była przy nim, nosiła jego dziecko. Ale jeszcze nie teraz. Nigdy nie było „teraz”. Zawsze było „później”. Ale może to zbyt późno? Postanowił zająć się tym rano. Pojadą do Wiednia, wrócą potem do Wrocławia i porozmawiają. Powie jej, że ją kocha, bo tak właśnie jest. Nie przywykł do wyrażania swoich uczuć, ale jej to wyzna. Ponieważ ona tego potrzebuje. Może w tym przypadku warto będzie skupić się na jej uczuciach, na chwilę zapominając o swoich? Ech, kobiety są takie dziwne. Inne.

Położył się w ubraniu na łóżku, był już bardzo zmęczony. Tak, zajmie się tym jutro. Później...

Nazajutrz obudziło go słońce, które w końcu wyszło z za chmur. Nieco nieprzytomny zerknął na drugą połowę łóżka – Angeliki tam nie było. Pewnie już zeszła na śniadanie, zawsze była rannym ptaszkiem. Ale też zawsze go budziła. Chyba naprawdę się wkurzyła. Zerknął na zegarek, dochodziła ósma. Rozciągnął się, poszedł do łazienki, umył zęby, przebrał się i zszedł na dół. Właścicielka, pani Ewa, już szykowała kawę, której aromat rozchodził się po całym pomieszczeniu.

– Jak się panu spało? – spytała uprzejmie.

– Średnio. Mogę prosić o kawę? – Joachim rozglądał się po małej jadalni.

– Już podaję.

– Czy widziała pani moją... Angelikę?

– Rano nie.

– Może poszła do samochodu. – Zerknął przez okno wychodzące na parking.

– To chyba do pana. – Ewa podała mu złożoną kartkę.

Popatrzył nic nierozumiejącym wzrokiem.

– Co to?

– Proszę przeczytać.

Otworzył lekko drżącymi dłońmi. Poznał kartkę z notesu Angeliki, notesu, z którym się nie rozstawała i w którym zawsze zapisywała szczegóły dotyczące jego występów. Śmiał się z niej, że jest oldskulowa, że nie idzie z duchem czasu. A ona kiwała głową, wyciągała pióro i ładnym charakterem pisma notowała kolejne założenia jego kariery.

Teraz też miał przed oczami kształtne litery, układające się w słowa, a te w zdania.

Twój czas minął, teraz nadszedł mój. Muszę poszukać w sobie tej kobiety, którą kiedyś byłem, a którą ty skutecznie zniszczyłeś. Lecz nie do końca.

Radź sobie sam. Przecież lubisz być sam i wsłuchiwać się we własne myśli. Nie jestem ci już potrzebna. Teraz jestem potrzebna sobie.

Żegnaj.

Angelika

Joachim zgiął kartkę, zerwał się z krzesła i wybiegł na dwór. Słońce świeciło, sprawiając, że zimowy górski krajobraz iskrzył tysiącem światełek odbijających się od zmrożonego śniegu. Uniósł głowę i wyszeptał tylko jedno słowo. Jedno. Słowo, które w tej chwili było dla niego wszystkim. Od zawsze.

Szkoda, że tak późno to zrozumiał.

– Angeliko...

AGNIESZKA LINGAS-ŁONIEWSKA

Świt

Jechałem przed siebie. Wcisnąłem gaz do dechy, nie zważając na oblodzony asfalt górskiej drogi. Śnieg uderzał wielkimi płatami wprost w szybę, wycieraczki nie nadążały z odgarnianiem go z jej powierzchni, ale w niczym mi to nie przeszkadzało. Jechałem dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę z nadzieją, że w końcu wypadnę z zakrętu i może uderzę w drzewo. I zginę.

Jednak czasami nie można liczyć na głupi los, on robi, co chce, i rani, kiedy chce.

Z daleka dostrzegłem boczną drogę, która oznaczona była dużym kamieniem ze strzałką namalowaną fluorescencyjną farbą. Wjechałem tam, zauważając, że las zgęstniał, a widoczność była jeszcze mniejsza. Całkowite odludzie. Pustkowie. Takie samo, jak to w moim sercu. I świetnie.

Zatrzymałem się, wyłączyłem silnik i zamknąłem oczy.

Dlaczego jeszcze tu jestem? Przecież w grudniu ubiegłego roku moje życie praktycznie się skończyło. Wtedy też była taka zima, a ja byłem cholernie zapracowany. Jako dyrektor do spraw controllingu od rana do nocy tkwiłem w cyferkach, bo wszystkim zależało, aby zamknąć rok z dobrym wynikiem. Do domu wracałem około dwudziestej, zamieniałem dwa zdania z Kamilą, moją żoną, i padałem na pysk. Obiecywałem jej, że jeszcze trochę, żeby wytrzymała, zależało mi, aby zostać wiceprezesem, walczyłem o to od trzech lat. Byłem tak blisko... Tak bardzo blisko. Ona rozumiała, ale widziałem, że cierpi. I że tęskni za mną, za naszymi wspólnymi wieczorami, za wypadami w weekend do Karpacza. A potem... w ten grudniowy wieczór poczuła się źle. A ja nie mogłem wyjść, szykowałem zestawienie, które prezes miał zaprezentować radzie nadzorczej. Pamiętam to jak dzisiaj...

– Kochanie, wezwij karetkę. Może się czymś zatrzymała? – mówiłem do słuchawki, jednocześnie stukając w klawiaturę i walcząc z cyferkami w Excelu.

– Twój brat mnie zawiezie, zadzwoniłam do niego.
– Janusz? To dobrze. Zadzwonź potem do mnie, martwię się.
– Dobrze, mam wrażenie, że...
– Kochanie, muszę kończyć. – Zobaczyłem, że mruga mi w telefonie połączenie od prezesa. – Zadzwonię później, pa!

Nie usłyszałem więcej jej głosu. I nie wiedziałem, co chciała mi powiedzieć. Potem... domyśliłem się, o co jej chodziło. Ale na wszystko było za późno.

Gdy nastał świt, moje życie stało się tak samo zimne jak mroźny poranek i puste jak ulice, nad którymi wschodziło słońce. A wszystkiemu był winien on. To on wsadził ją do samochodu i chciał zawieźć do szpitala. Zawsze szybko jeździł, zawsze lubił ryzykowne zagrania, szybkie drifty, dudniącą muzykę. I tak też było w tę grudniową noc, kiedy mój brat wiózł moją żonę do szpitala – wypadł z zakrętu i uderzył w betonowy słup estakady. Nie dopilnował, żeby Kamila zapięła pasy, nie zachował ostrożności, nie pomyślał o niczym. Moja żona nie miała szans na przeżycie, wyleciała przez przednią szybę i zginęła na miejscu.

Od tamtej pory nie rozmawiałem z bratem. Nie przyszedłem na pogrzeb, bo była tam cała moja i jej rodzina. A ja przecież nie miałem już rodziny. Byłem sam, zupełnie sam, z dala od tej, która mnie kochała miłością pozbawioną egoizmu, krytyki, miłością czystą jak łza niemająca odwagi spłynąć po moim zmrożonym policzku. Klęczałem wśród śniegu i przymarzniętych kwiatów na jej grobie, prosząc litościwego Boga o to, aby zakończył moje nic niewarte życie i ukrócił męczarnię codzienności. Ale on nie słuchał. Albo wcale go nie było. A może nie było go dla mnie. Dlatego... postanowiłem wziąć sprawy w swoje ręce. Zawsze wszystko załatwiałem sam.

Teraz jechałem leśnym zaśnieżonym traktem i nagle coś zazgrzytało w silniku, huknęło i auto odmówiło współpracy. Próbowałem je odpalić, ale po przekręceniu kluczyka dobiegło mnie tylko ciche stuknięcie. Zupełnie spokojnie, a nawet z rezygnacją, otworzyłem drzwi i wysiadłem. Mróz uderzył we mnie z podwójną mocą, bo w samochodzie pracowało ogrzewanie, a ja nawet nie zdjąłem kurtki. Ale było mi to zupełnie obojętne. Ruszyłem w głąb lasu, mając nadzieję na spotkanie jakiegoś dzikiego zwierzęcia, które może zechce rozprawić się ze mną raz a dobrze.

Szedłem wolnym krokiem, niestety księżyc postanowił oświetlać moją drogę ku zatraceniu, a niebo było wyjątkowo bezchmurne.

Nagle wszystko stało się takie przejrzyste, wręcz krystaliczne. A do moich uszu doszedł jakiś szmer. Może to wilk? Może niedźwiedź? Cokolwiek! Byleby szybko, byleby teraz, tutaj! Nagle dojrzałem pochyloną postać jakiegoś człowieka. To był chyba starszy mężczyzna. Zdziwiłem się, co staruszek robił o tej porze w środku lasu.

– Zgubił się pan? – dotarł do mnie jego głos. Brzmiał spokojnie i jakoś

przyjaźnie.

– Nie... nie wiem.

– Wyszedłem na nocny spacer i dojrzałem odblaski na pana kurtce. – Spojrzał na mnie. – Dobrze je widać w świetle księżyca.

– Co pan robi w środku lasu?

– Jaki to tam środek... – Starzec machnął ręką i się uśmiechnął. – Pracuję w tym pensjonacie. – Wskazał na pogrążony w ciemności duży budynek.

– Pensjonat? Tutaj?

– Nie widział pan tablicy Pensjonat pod Świerkiem?

– Nie, nic nie widziałem.

– Lubi pan herbatę z rumem? – spytał z łagodnym uśmiechem.

– Ja?

– Zapraszam. Trzeba się rozgrzać.

– Ja nie...

– Mam na imię Józef. – Mężczyzna podał mi pooraną zmarszczkami rękę.

– Mariusz. – Wbrew wewnętrznemu oporowi uścisnąłem mu dłoń.

– I od razu robi się przyjemniej. Zapraszam. Właściciele na pewno nie będą mieć nic przeciwko nowemu gościowi.

– Nie mam zamiaru zostawać tutaj dłużej – powiedziałem cicho, ale poszedłem za tym dziwnym człowiekiem.

– Jasne, jasne, każdy gdzieś zmierza. Ale możesz poczekać ze mną do świtu. Nieprzyjemnie tak wędrować nocą.

Zbliżyliśmy się do kanciastej bryły budynku. Z zewnątrz nie wyglądał zachęcająco, typowy komunistyczny kubik. Teraz prezentował się trochę lepiej, oświetlony kolorowymi łańcuchami światełek. Przez ten radosny, świąteczny obrazek poczułem się jeszcze gorzej. O ile w ogóle było to możliwe. Weszliśmy do środka, na dole w małym salonie wesoło płonął kominek. Poczułem ogromne zmęczenie.

– Rozbierz się, możesz się ogrzać. – Józef wskazał mi głęboki fotel umiejscowiony tuż przy kominku. – Idę przygotować nasz trunek. – Uśmiechnął się i mrugnął do mnie zawadiacko.

Zdjąłem kurtkę i usiadłem blisko ognia. Byłem tak cholernie zmęczony. Nie nocną wędrowką – całym rokiem. Całym pieprzonym rokiem. Oparłem się o wysoki zagłówek i zamknąłem oczy. I znowu znalazłem się tam. W szpitalu.

– Bardzo nam przykro. Pańska żona odniosła wiele obrażeń wewnętrznych, zginęła na miejscu. Niestety, ciąża była zbyt wczesna, aby... Proszę pana! Proszę pana!!!

Biegłem korytarzem przed siebie. Nie chciałem słuchać tego, co miał mi do

powiedzenia lekarz. Nie mogłem przyjąć tego do wiadomości. Wypadłem ze szpitala wprost na zaśnieżone ulice Wrocławia i sam nawet nie wiem jak, ale znalazłem się w parku Południowym. Kamila uwielbiała tu przyjeżdżać na rowerze. A ja nigdy nie miałem czasu, aby jej towarzyszyć. Uklęknąłem na pokrytym śniegiem trawniku i tak bardzo chciałem zapłakać. Ale nie potrafiłem, mogłem tylko krzyczeć, lecz nie było nikogo, kto mógłby w jakiś sposób zareagować. Nikogo nie obchodził mój krzyk. I mnie też nic nie obchodziło. Teraz liczyło się tylko to, że straciłem wszystko, co kochałem. Straciłem przez niego!

Wiedziałem już, kogo mam nienawidzić. Siebie i jego. Mojego brata!

– Mariusz, obudź się! – Ktoś złapał mnie za ramię.

Otworzyłem oczy i rozejrzałem się trochę nieprzytomnym wzrokiem. Pan Józef siedział w drugim fotelu, który chyba przysunął do kominka, i podawał mi kubek z pachnącym i parującym napojem.

– Przepraszam, jestem zmęczony.

– Krzyczałeś przez sen. Wołałeś jakiegoś Janusza.

– To mój młodszy brat.

– Wszystko z nim w porządku? Bo nie brzmiało dobrze.

– Nie wiem. – Wzruszyłem ramionami i pociągnąłem spory łyk herbaty z rumem. – Nie rozmawiałem z nim od roku.

– Dlaczego?

Nie mam pojęcia, co było we wzroku tego starszego człowieka, ale opowiedziałem mu wszystko. O mojej pracy, o tym, że moja żona, niczym Penelopa, cały czas na mnie czekała, o tamtym przedświątecznym weekendzie, kiedy moje życie legło w gruzach. I o moim bracie, który tak bardzo płakał i mnie przepraszał, a ja nie chciałem nawet spojrzeć w jego stronę, chociaż wiedziałem, że jego życie też zostało rozbite na drobniutkie kawałeczki.

– A więc nie rozmawiałeś z bratem od roku?

– Tak. – Kiwnąłem głową.

– Czy jest ci z tym dobrze?

– Dobrze? – parsknąłem. – Od dwunastu miesięcy nie wiem, co znaczy czuć się dobrze.

– To dlaczego tak siebie karzesz?

– Siebie?

– I jego także. Jeśli coś do niego jeszcze czujesz, a on do ciebie, to obydwaj jesteście nieszczęśliwi.

– To mój brat. – Wzruszyłem ramionami. – Chciałem go znienawidzić. Prawie mi się udało. Dlatego uznałem, że nie mogę tak dalej żyć.

– I postanowiłeś zapuścić się w las w poszukiwaniu rozwiązania. – Starszy pan pokiwał głową.

– Tak – odparłem zaskoczony.

Ten człowiek wszystko tak dobrze rozumiał. Nie zastanawiałem się, dlaczego tak jest, w tej chwili poczułem coś na kształt ulgi. Po roku życia w napięciu i nienawiści było to jak gwiazdka z nieba.

– Kiedyś też odsunąłem się od rodziny. Nie miałem brata, ale młodszą siostrę. I kiedy chciałem wyciągnąć rękę na zgodę, okazało się, że jest już za późno.

– Co się stało?

– Umarła. Białaczka. Gdy w końcu do niej dotarłem, już mnie nie poznawała. – Józefowi drżał głos. – Musisz pamiętać, że w życiu czasami dotykają nas cudowne, ale i tragiczne rzeczy. Jednak to miłość i wsparcie bliskich nam osób mogą być jedyną receptą na to, aby dać radę, aby pokonać przeciwności, żyć dalej. Twój brat też na pewno cierpi. Myślę, że te dwanaście miesięcy dało wam okrutną szkołę życia. Ale teraz musisz iść dalej. I uwierz mi, w lesie nie znajdziesz rozwiązania. – Utkwił we mnie swoje przenikliwe spojrzenie, a ja czułem, jakby doskonale odczytywał to, co siedziało w mojej głowie. Jakby wiedział wszystko.

– Wiem, wiem...

– Podrzucić cię do samochodu?

– Tak, ale najpierw... muszę zadzwonić.

Gdy wyciągnąłem telefon, ten niespodziewanie zabłysnął przychodzącym połączeniem.

– Co... – Miałem wrażenie, że aparat parzy mnie w dłoń. Wstałem z fotela i odebrałem.

– Halo? Tak. Jestem... – Złapałem się za głowę. – Co? Jak to??? Jezu, jadę. Jestem w górach, niedaleko Zakopanego. Rano będę. Tak, nie martw się, już jadę, Ania. Jak coś, to dzwoń!

– Co się stało? – Józef patrzył na mnie, a ja w tym czasie gorączkowo zacząłem zbierać swoje rzeczy.

– Mój brat! To niemożliwe... – Pokręciłem głową. – Miał wypadek. Ściągał się gdzieś, na jakimś torze. Wypadł z zakrętu. Wszyscy twierdzą, że on chciał wypaść z tego cholernego zakrętu!

– Myślę, że twój brat szukał tego samego, czego ty szukałeś w naszym lesie. Ale teraz... – Starszy człowiek złapał mnie za ramiona i lekko przytrzymał. – Teraz musisz być spokojny, bo czeka na ciebie ktoś, komu jesteś potrzebny.

– Żona mojego brata... – wyszeptalem i potrząsnąłem głową. – Janusz...

– Tak. Oni cię potrzebują. Ona zadzwoniła do ciebie. To twoja rodzina.

– Wiem. Wiem! Dziękuję!

– Poczekaj, zawołam właściciela, podwieziemy cię do samochodu. Będzie szybciej.

Nie pamiętałem drogi do własnego auta, czym prędzej pożegnałem się z Józefem i właścicielem o imieniu Gabriel, który patrzył na mnie z takim

spokojem, że i mnie samemu to wyciszenie się udzieliło. Pożegnałem się z mężczyznami, podziękowałem raz jeszcze Józefowi i wsiadłem niezwłocznie do samochodu. Ruszyłem w stronę Krakowa, Zakopianka była w tym czasie pusta. Jak najszybciej musiałem dostać się do autostrady A4, która zaprowadzi mnie wprost do Wrocławia. Musiałem zdążyć przed świtem, musiałem zdążyć... Musiałem zobaczyć mojego brata!

Gdy wpadłem do szpitala przy Borowskiej, było jeszcze ciemno. Przebiegłem przez pusty hol i schodami udałem się na pierwsze piętro, gdzie znajdował się OIOM. Pielęgniarki nie chciały mnie wpuścić, ale zacząłem je błagać, płakać prawie, aby otworzyły drzwi na oddział. Wreszcie jedna zlitowała się i pozwoliła mi wejść na salę. Stały tam cztery łóżka, na ostatnim, pod ścianą, leżał mój brat. Wyglądał jak nie on, opuchnięty na twarzy, podłączony do respiratora, taki inny, a jednak poznałem go od razu.

– Zaraz zaczyna się kolejna zmiana, będzie pan musiał wyjść – powiedziała mi na ucho ruda pielęgniarka, podała stołek, abym mógł usiąść przy łóżku, i postawiła przepierzenie, zapewniając nam w ten sposób trochę prywatności.

– Dziękuję – wyszeptalem i usiadłem koło wysokiego szpitalnego łóżka z mnóstwem przycisków. – Janek... – Złapałem brata za chłodną dłoń, na której do jednego z palców przyczepiony był czujnik tętna. Ciche dźwięki wydobywające się z aparatury układały się w jednostajny szum, który zdawał się wszystko uspokajać. Pochyliłem głowę i ścisnąłem rękę brata. – Bardzo się pomyliłem. Straciłem tak wiele, kochałem ją, ale ciągle zapominałem jej to okazywać. Nie można tak robić, trzeba pamiętać, co naprawdę liczy się w naszym życiu. Trzeba wierzyć w drugiego człowieka, nie można zapominać o tych, którzy są dla nas ważni, którzy są obok nas, są wsparciem, bezpieczną przystanią, rodziną. Ty jesteś moją rodziną. Teraz mam tylko ciebie i nie wybaczę sobie tego, co się stało, jeśli ty nie zostaniesz ze mną. Nie możesz także ty mnie zostawić! – Zaszlochałem. – Pewnie sobie zasłużyłem, ale nie rób tego, Janek. Obiecuję, że wszystko naprawię, wszystko odwrócę. Znowu będziemy braćmi. Cały czas jesteśmy... Tylko błagam cię, nie zostawiaj mnie! Pamiętasz... – Wziąłem głęboki wdech. – Pamiętasz, jak byliśmy razem na obozie? I bawiliśmy się w nocne podchody, a ty się zgubiłeś w tym cholernym lesie? Szukaliśmy cię pół nocy, a ja wiedziałem, że muszę cię znaleźć, bo inaczej nie wrócę do domu. Nawet teraz czuję ten obezwładniający strach, że mogło ci się coś stać, że mogłem cię stracić. Tak samo jest teraz... Przepraszam cię za ten rok. Chciałbym cofnąć wszystko, co powiedziałem, co zrobiłem. Nie mogę tego zrobić, ale mogę zacząć na nowo być twoim bratem. Zacznijmy znów być rodziną. O to tylko cię proszę...

Usłyszałem hałas na oddziale, zapewne zmieniały się dyżury. Ruda

pielęgniarka podeszła do mnie i poprosiła o opuszczenie sali. Spojrzałem na śpiącego brata i wyszedłem na korytarz. Usiadłem na parapecie i zapatrzyłem się w daleki krajobraz, akurat te frontowe okna wychodziły na park i działki. Nad drzewami unosiła się poświata wschodzącego słońca. Świtało.

– Budzi się nowy dzień. Świta. Obiecuję, że jeśli on przeżyje, to ja też zacznę wszystko od nowa. Obiecuję, obiecuję, obiecuję, obiecuję... – powtarzałem gorączkowo jak mantrę, wpatrując się we wschodzące nieśmiało zimowe słońce.

Gdy pierwsze promienie oświetliły zmrożoną ziemię, podeszła do mnie znajoma ruda pielęgniarka. Widziałem w jej oczach strach.

– Co... – jęknąłem, nie mogąc wykrztusić z siebie słowa.

– To dziwne... ale pana brat się obudził. I woła pana. Nie może mówić przez ten respirator, ale pokazał, że chce coś napisać. Dałyśmy mu kartkę i ołówek, niewyraźnie napisał tylko jedno słowo. Mariusz. To pan, prawda?

– Tak! To ja! To znaczy, że on...

– Żyje, i wygląda na to, że będzie dobrze. – Uśmiechnęła się i poprowadziła mnie do sali.

Tuż przed wejściem spojrzałem w rozświetlone dziennym światłem okno.

Świt.

Wszystko będzie dobrze.

MAGDALENA KNEDLER

Edgar

Ach! Wzrok! Wzrok! Wzrok!...

Edgar Degas, list do Évariste de Valernes, Paryż, 6 lipca 1891 r.

Edgar był dzisiaj niespokojny. Popiskiwał cicho, trącał Tomasza nosem i częściej niż zazwyczaj kładł łeb na jego kolanach. Gabriel, współwłaściciel Pensjonatu pod Świerkiem, pytał, czy nie trzeba przynieść pupilowi czegoś do jedzenia lub picia, albo może koc, na którym mógłby się położyć w jadalni. Tomasz odmawiał. Znał Edgara. Piesek miał swój ulubiony koc, który musiał leżeć zawsze przy łóżku pana, niezależnie od tego, gdzie się akurat znaleźli. A posiłki przyjmował o stałych porach i w kwestii jedzenia był zdyscyplinowany. Spragniony, zawsze ciężko dyszał, teraz jednak jego oddech wydawał się normalny. Tomasz wyciągnął dłoń i pogłodził zwierzaka po łbie. Jego sierść była ciepła i miękka. Czyżby chodziło o dobiegające z kuchni zapachy? Franek, kucharz, którego Tomasz poznał przed dwoma dniami, kiedy pojawili się z pieskiem w pensjonacie, dwoił się i troił, by przygotować prawdziwą ucztę wigilijną. W powietrzu unosiła się woń barszczu, korzennych przypraw i pomarańczy.

Idealne miejsce, by spędzić święta Bożego Narodzenia. Zwłaszcza dla osób takich jak Tomasz – samotnych, stroniących od ludzi, za całe towarzystwo mających cwanego zwierza, bez którego nie potrafili się obejść. Edgar objaśniał mu teraz cały świat. Wskazywał ścieżki i wyznaczał przestrzeń, w której można się poruszać. Tomasz nigdy wcześniej nie lubił psów, w ogóle nie lubił zwierząt, uważał, że brzydko pachną i stale trzeba po nich sprzątać. Później jednak zmienił zdanie. Polegał na Edgarze dużo bardziej niż na swojej lasce. Laska okazywała się oczywiście niezbędna, ale nie wystarczała. Dzięki niej dało się jedynie wybadać przedmioty, ruchome obiekty i przeszkody, ale nie można było niczego poczuć i wyczuć, zwłaszcza na odległość. Pies, jak na żywy organizm przystało, reagował na otoczenie. Tomasz mu ufał.

Teraz też wiedział doskonale, z czego wynika zdenerwowanie czworonoga. Edgar czuł po prostu niepokój swojego pana i – zarazem – podopiecznego. Był przyzwyczajony do wykonywania poleceń, a jednocześnie kontrolowania sytuacji i zapewniania bezpieczeństwa, jak przystało na psa przewodnika. Teraz musiał na swój psi sposób wiedzieć, że nie jest w stanie pomóc. Wydarzyło się bowiem coś, co zachwiało równowagą jego pana. Co zburzyło ustalony porządek, a nawet nastrój oczekiwania na święta, które Tomasz z upływem lat polubił tak, jak nauczył się lubić zwierzęta. Zjawiała się... ona. Akurat tutaj, w górskim pensjonacie, i akurat w święta. A także akurat po trzydziestu latach od tamtych wydarzeń. Wiedziała, że tu był?

Jeszcze nie zamienili ze sobą ani słowa. Słyszał tylko głos Niny, kiedy rozmawiała z Ewą, współwłaścicielką pensjonatu, i prosiła ją o przygotowanie porcji pierogów bezglutenowych i kubka barszczu wegetariańskiego. Przeprosiła za kłopot, tłumaczyła, że zmiana diety zawsze odbija się na jej zdrowiu. Ewa z kolei oczywiście żadnego kłopotu nie widziała. W pensjonacie za całkiem normalne

uważało się spełnianie oczekiwań gości, zwłaszcza w święta. Dzień wcześniej pozwoliła grupce emerytów śpiewać kolędy w holu i nie miała nic przeciwko obecności Edgara. A Nina Rej była jej, o dziwo, znana. Tomasz wiedział, że w świecie sztuki znali ją absolutnie wszyscy, ale ludziom ze sztuką nieobeznanym mogła się wydawać osobą anonimową. Żadna z niej w końcu gwiazda seriali. Jedyne wielka awangardowa malarka, wyznaczająca nowe trendy, której prace wystawia się w najśłynniejszych galeriach całego świata. „Świadomy kicz Fridy Kahlo, wyobraźnia Salvadora Dalego, psychologia Edgara Degasa i światłocień Rembrandta”. Tak pisali o niej ci, którzy potrafili oceniać czyjeś dokonania jedynie poprzez porównywanie ich z dziełami innych twórców. A przecież Nina była wyjątkowa. Z pewnością. Tomasz nie mógł zobaczyć jej obrazów, ale tak właśnie czuł.

Poza tym miał wspomnienia. Wiedział, co sobą reprezentowała dawniej, że miała pazur, odwagę, nie oglądała się na reguły. Słowem – miała wszystko to, czego jemu brakowało. Tomasz był tylko zachowawczym artystą i profesorem, który dawał studentom wskazówki, jak należy malować. Owszem – on doskonale wiedział JAK. Mimo to czuł, że nigdy nie będzie w stanie wyjść poza konwencje i schematy, ponieważ brakuje mu ognia i wyobraźni. Nigdy w swoim malowaniu nie odnajdzie siebie, a jedynie zbiór wyuczonych reguł. Mimo to Nina go podziwiała. Szukała u niego rad, chciała, by ją uczył, częściej niż tylko podczas programowych zajęć na Akademii Sztuk Pięknych. Była fascynująca. Zgodził się, oczywiście. A później ją zniszczył. Na krótką chwilę, ale jednak. Po kilku latach ona odnalazła w sobie siłę i odrodziła się jak Feniks z popiołów, a on... nie mógł już malować.

I rzeczywiście – była tutaj. Nina o głosie, który dobrze znał, który na zawsze zapamiętał. Nie wiedział, jak wyglądała, czy bardzo się postarzała i czy w oczach nadal miała to osobliwe światło. Nie mógł wiedzieć. Słyszał jedynie jej głos i czuł zapach. Ten sam zapach, choć przecież minęły trzy dekady. Nina Rej miała teraz czterdzieści dziewięć lat, a Tomasz był od niej o dwanaście lat starszy. Kiedy widzieli się ostatnim razem, był przystojnym mężczyzną w sile wieku, utalentowanym, z posadą na uczelni, z kontraktami w kilku galeriach i muzeach. I z marzeniami. PRL chwiał się w posadach, artyści czuli na plecach oddech wolności.

Zostawił ją w święta... Właśnie dziś przypadała trzydziesta rocznica ich rozstania. Pamiętał tamten dzień, tamten moment na kilka godzin przed kolacją wigilijną, kiedy oznajmił młodej, zaledwie dziewiętnastoletniej, dziewczynie, że wszystko skończone. Że dzieli ich różnica wieku, życiowe doświadczenie, plany na przyszłość, że źle to wygląda i mogą mieć kłopoty. Oczywiście się nie mylił. Ona również to wiedziała. Profesor i studentka – stary schemat, nic nowego. A jednak w ich wypadku chodziło o coś innego. Ona chciała się uczyć, on ją uwiódł. Ona

liczyła na więcej, on dobrze się bawił. Ona się zakochała, on... zakochał się również. I to go właśnie przeraziło. Zakochał się w młodej dziewczynie, która miała – musiała – odnieść wielki sukces. Była do tego stworzona, każdy widział jej ogromny talent. Bał się, że odkryje przed nią swoje słabości i zrzuci maskę, którą dotąd nosił, ale też, że zapala do niej nienawiścią, kiedy nie będzie potrafił poradzić sobie z zawodową zazdrością. Nina Rej przerastała Tomasza Hoppena. I dlatego ją porzucił.

W jego kawalerce na wrocławskim Nowym Targu było ciepło i przytulnie. W tamtym czasie Tomasz nie przepadał za świętami, ale postawił na ławie małą sztuczką choinkę i nawet meblościankę udekorował łańcuchami z bibuły, które własnoręcznie wykonała córka sąsiadów. Z okolicznych mieszkań dobiegały odgłosy krzątania, w korytarzu unosiły się zapachy świątecznych potraw, ktoś wnosił po schodach zielony świerk. Nina przyniosła murzynek i blok czekoladowy. Sama zrobiła. Sąsiad z góry włączył płytę z kolędami, która ciągle się zacinała. „Lulajże że że że że że...”

Tomasz posadził Ninę na wersalce i szorstkim tonem wyjaśnił, że dłużej już tak nie może. Nie kocha jej. Nie chce utrzymywać tej relacji. Uważa ją za dziecko. Nie wydaje mu się, by miała jakikolwiek talent... Ma jedynie entuzjazm, który szybko się wyczerpie. Jego zdaniem nie zrobi wielkiej kariery. Powiedział to wszystko bez mrugnięcia okiem, przy akompaniamencie zacinającej się kolędy, a w tle, za oknem, cicho padał śnieg. I tak – pojawiła się już na niebie pierwsza gwiazdka. Nina nie pojechała do Kowar, by spędzić święta z rodzicami, bo przecież chciała być z nim. Ze swoim ukochanym. Swoim mentorem. Patrzył na nią z bólem w sercu, ale niczego nie odwołał. Widział, że zapada się w sobie, załamuje, w jej wielkich oczach zbierają się łzy. Dwa marzenia właśnie się posypały. Nie jest kochana. Nie jest utalentowana. Odeszła bez słowa.

Tomasz został sam w Wigilię, słuchał odgłosów wesołych rozmów, które zapewne toczyły się przy świątecznych stołach w sąsiednich mieszkaniach, i malował portret Niny. Wiedział aż za dobrze, że obraz jest niedoskonały. Dziewczyna rzuciła studia i więcej nie pokazała się w Akademii – kiedy go o nią pytano, wzruszał tylko ramionami. Dwa lata później zachorował na jaskrę. Myślał o Edgarze Degasie, wybitnym francuskim malarzu, który także powoli tracił wzrok, aż wreszcie musiał zwrócić się ku pastelom i rzeźbie. Rzeźba! Tomasz tak nią gardził, zawsze wskazywał wyższość malarstwa. A jednak rzeźba pod pewnymi względami je przerastała – choćby pod tym, że była dostępna także artystom, którzy utracili wzrok. Tomasz również próbował rzeźbić – w wosku, jak Degas. Niestety – nie potrafił. Stał się wkrótce, jak twierdził, parodią samego siebie. Niewidomym malarzem. Czy malarza może spotkać gorszy los?

Kiedy przed jedenastoma laty całkiem utracił wzrok, kupił sobie psa przewodnika. Nazwał go Edgar, na cześć Degasa. Dużo wcześniej słyszał już

oczywiście o wybitnej polskiej artystce, awangardowej malarce, której dzieła odniosły gigantyczny sukces najpierw na wystawie w Meksyku, a później prawie na całym świecie. Nina Rej... Krytycy chwalili zwłaszcza obraz *Dziewczyna płacząca pod świerkiem*. Tomasz nawet się do siebie uśmiechnął, kiedy o tym usłyszał. A potem pomyślał, że wszystko jest właśnie tak, jak miało być.

Każde kolejne święta okazywały się inne. Z początku próbował je spędzać z rodziną – rodzicami i siostrami – by zagłuszyć wyrzuty sumienia i zająć umysł dekorowaniem choinki i szukaniem widelców do kompletu. Po całkowitej utracie wzroku matka i siostry za bardzo się z nim cackały i poczuł się beużyteczny. Dlatego wybrał samotność. Od kilku lat towarzystwo Edgara satysfakcjonowało go w pełni. Co roku wybierali jakiś przyjemny pensjonat na odludziu i zaszywali się w nim na parę dni, by zjeść tradycyjną wieczerzę, odpocząć i jednocześnie uniknąć świątecznej gorączki. Z Edgarem dobrze się podróżowało. Nawet teraz, podczas krótkiego wieczornego spaceru tuż przed kolacją wigilijną, piesek nie wyszedł ze swojej roli przewodnika i opiekuna, choć to on bardziej potrzebował, by go wyprowadzono.

Tomasz podreptał za swoim kompanem z powrotem do pensjonatu i otrzepał buty ze śniegu. Czuł jego skrzypienie pod stopami i mróz szczypiący policzki. Wyobrażał sobie białe drobinki łączące się w większe całości i wreszcie tworzące na pobliskich sosnach i świerkach pierzaste czapy. Jeszcze pamiętał, jak wygląda śnieg.

– No! Panie Tomaszu, barszcz już jest – odezwał się tuż przy jego uchu melodyjny głos Ewy. – Zapraszamy. Wytrę pieskowi łapy.

– Sam to zrobię – zaprotestował łagodnie.

Edgar szczechnął z aprobatą.

– Dobrze, w takim razie proszę. – Włożyła mu do rąk czystą ściereczkę. – Poczekam tu z panem. Stolik już przygotowany.

– Dziękuję.

– Pana towarzyszka też już jest.

Tomasz zamarł na chwilę, po czym schylił się i zaczął wycierać łapy Edgarowi.

– Towarzyszka?

– Pani Nina Rej. Nie wiedziałam, że państwo się znają. Wspaniała artystka. Powiedziała, że umówiliście się tutaj na wspólną kolację wigilijną.

Tomasz oddał Ewie ściereczkę i kurczowo ścisnął smycz. Edgar zaskomlał. Dlaczego ten pies zdawał się wszystko rozumieć?

– Ach tak – powiedział tylko i dał się poprowadzić do jadalni.

Nie chciał robić scen. Nie ten czas, nie to miejsce. Edgar powiódł go

sprawnie między stolikami. Rozległ się cichy zgrzyt odsuwanego krzesła.

– Hoppen – odezwała się Nina. – Miło cię widzieć.

Właśnie tak na niego kiedyś mówiła. „Hoppen”. Tylko ona jedna, spośród wszystkich ludzi, których znał. Naprawdę wątpił w to, że przedstawiał sobą przyjemny widok. Nauczył się już wiele rzeczy wyczuwać i „patrzeć” dłońmi, ale nie był w stanie skontrolować swojego wyglądu, nie widział też kolorów – własnej cery, włosów, ubrań. Bez słowa usiadł na krześle, a Edgar zwinął się u jego stóp.

– Na co masz ochotę? Pierozki? Karp? Barszcz z uszkami?

– Poproszę pierogi – powiedział po krótkim wahaniu.

Pierogi wydawały się bezpieczne. Barszcz mógłby rozlać na obrus i wcale tego nie zauważyć, a karp miał zawsze ości, których przecież Tomasz nie był w stanie usunąć przed jedzeniem. Wyczuł pod palcami widelec.

– Nie chciałbyś najpierw podzielić się ze mną opłatkami? Kiedyś nam się nie udało.

Drgnął. To powinna być uszczypliwa uwaga, ale Nina wypowiedziała ją spokojnie, niemal pogodnie. Skinął głową. Nina wsunęła w jego dłoń opłatek.

– Życzę ci... – zaczął i umilkł.

Nie wiedział, co właściwie powinien powiedzieć. Że życzy jej szczęścia? Spełnienia marzeń? Nie widzieli się od trzydziestu lat, a to, co łączyło ich wcześniej, było zaledwie krótkim epizodem w skali całego życia. Właściwie jej nie znał.

– Życz mi szybkiego sfinalizowania rozwodu – pospieszyła mu z pomocą. – Do trzech razy sztuka, dwa poprzednie wlekły się niemiłosiernie, można osiwieć z tymi wszystkimi procedurami. Teraz mój prawie były mąż chce współpracować, więc trzeba myśleć optymistycznie.

– No... w porządku. W takim razie tego ci właśnie życzę – odparł zaskoczony.

– Dziękuję. A ja tobie życzę, żebyś jednak nauczył się rzeźbić. Próbowaleś gliny? Ceramika to dobre rozwiązanie. Albo biżuteria? Z czyjąś pomocą dasz radę. Musisz coś sobie znaleźć, bo uschniesz.

Powinien poczuć złość. Nina Rej była bezczelna, ośmieliła się ruszyć coś, co powinno pozostać nietknięte. Ale miała rację, a jemu zachciało się śmiać. Rzeczywiście – usychał od lat. Wcześniej żył malowaniem i patrzeniem na obiekty, jak każdy artysta, który urodził się z pędzlem w dłoni. Bez patrzenia nie ma malowania. Bez oczu także. Jeśli więc odebrano mu coś, co było treścią jego życia – musiał uschnąć. A jednak w tej chwili nie poczuł złości. Siedział obok Niny, która pachniała i brzmiała znajomo, i nabierał przekonania, że pewni ludzie są po prostu dla siebie czytelni – niezależnie do tego, jak często i na jak długo się spotykają. On również wiedział coś o niej. Domyślał się, że sztuka dała jej satysfakcję i artystyczne spełnienie, ale tego drugiego spełnienia, innego,

głębszego, wciąż szuka. W osobach kolejnych mężów, w podróżach, pewnie w czymś jeszcze.

Podłoga zaskrzypiała i po chwili w gwar rozmów wplotła się melodia, którą ktoś zaczął grać na pianinie. *O Holy Night*. Tomasz lubił tę kolędę. Przełamał się z Niną opłatkiem i zaczął powoli żuć swój odłamek.

– Dziękuję – usłyszał po chwili.

To był ten moment, w którym człowiek powinien posłać swojemu rozmówcy zaskoczone spojrzenie, unieść brwi, może zmrużyć oczy. Tomasz tylko lekko obrócił się w jej stronę. Może się zmarszczył, może skrzywił. Nie wiedział, jak grymas, który ułożył w określonej pozycji mięśnie jego twarzy, został odebrany na zewnątrz. Wydarzyło się jednak coś jeszcze. Nina chwyciła go za rękę, tę samą, która wciąż spoczywała na widelcu.

– Gdyby nie tamte święta, kiedy powiedziałeś mi, że to koniec, nigdy nie znalazłabym się w miejscu, w którym jestem teraz. Dzięki tobie odkryłam w sobie siłę. Nawet nie podejrzewałam, że aż taką mam.

– Skrzywdziłem cię.

– To prawda. Można powiedzieć, że zламаłeś mi serce. Chciałam umrzeć. Widocznie tego potrzeba artystom. Sam powiedziałeś kiedyś, że prawdziwa sztuka zawsze do pewnego stopnia karmi się smutkiem.

– Tak powiedziałem?

– Pamiętam każde twoje słowo.

– Nina...

– Tamtego wieczoru zaczęłam malować *Dziewczynę płaczącą pod świerkiem*. Pracowałam nad nią długo, przemalowywałam ją, ulepszałam. Praca zajęła mi ponad dwa lata. Ale opłacało się. Obraz za ogromną sumę kupiło MoMA1. Zachwycili się nim też krytycy w Meksyku.

– Słyszałem.

– A zatem powtórzę: dziękuję ci. Widocznie tak właśnie miało być.

– Ja też tak sądzę – mruknął, prawie nie otwierając ust.

– Bardzo mi przykro z powodu twoich oczu. Wiedz, że nigdy nie życzyłam ci źle. Nigdy.

– Na pewno życzyłaś, chociaż przez chwilę – odpowiedział, uśmiechając się.

– Mylisz się. Kiedy wyszłam z twojego mieszkania, usiadłam na ławce w rynku i tkwiłam tak na zimnie, nie strącając nawet z płaszcza płatków śniegu. Byłam absolutnie przekonana, że przecież musisz mnie kochać i coś jest w tym wszystkim bardzo nie w porządku.

– Kochałem cię.

– Wiem.

– Byłem zazdrosny o twój talent.

– Wiem. Teraz już wszystko to wiem, ale wiedza musiała dojrzeć.

– Jak mnie tu znalazłaś?

– Przyjechałam do Wrocławia, zostałam zaproszona na wystawę jednego z moich protegowanych. Zazwyczaj nie mam czasu na podobne rzeczy, ale teraz i tak planowałam przylecieć do Polski na święta. Na stare śmieci. Pokazałam się w ASP.

– Pewnie rzucili się na ciebie jak sępy.

– Mniej więcej. Kiedy już dali mi odetchnąć, zapytałam o ciebie. I usłyszałam, że dalej prowadzisz wykłady, bo przecież teorię i historię malarstwa znasz nadal mimo utraty wzroku. I że wyjechałeś na święta do „jakiejś pipidówki”. Zostawiłeś na wszelki wypadek namiary, gdyby coś się stało. I oto jestem.

– Dlaczego chciałaś się ze mną zobaczyć?

– Już mówiłam. Żeby ci podziękować. Poza tym chcę, byś wiedział, że nie myślę o tobie źle. I przykro mi. Bardzo mi przykro z powodu tego, co cię spotkało. Niemniej wydaje mi się, że nie życzysz sobie mojego współczucia. Mam więc dla ciebie zadanie.

– Zadanie?

Edgar podniósł łeb i trącił Tomasza nosem. Chyba był głodny. Ewa miała mu niebawem przynieść kolację, ale z powodu świątecznej gorączki wszystko się nieco opóźniło. Pies dzwignął się i wyszedł spod stołu. Tomasz poklepał go po grzbiecie. W jadalni w dalszym ciągu unosiły się gwar rozmów i dźwięki kolejnej kolędy, którą ktoś grał na pianinie. Kilka osób nieśmiało usiłowało śpiewać. „Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi...”

– Tak, mam dla ciebie zadanie – powtórzyła stanowczo Nina, jeszcze mocniej zaciskając palce na dłoni Tomasza. – Spróbujesz coś wyrzeźbić. Masz to, czego potrzebujesz.

– Mam?

– Tak. Dłonie.

– Próbowałem już rzeźbić i...

– Być może źle się do tego zabrałeś. Zaczynij od czegoś, co dobrze znasz. Od kogoś, kogo dobrze znasz.

– Kogoś? Masz na myśli...

Edgar pisnął i położył Tomaszowi pysk na kolanach. Ciepły, miękki łeb wiernego towarzysza. Tak dobrze znany. Dobrze... znany. Tomasz wstrzymał oddech, a Nina się roześmiała.

– No właśnie – powiedziała. – Edgar. Myślę, że się nada.

Tomasz nie mógł powstrzymać uśmiechu. Tak, Edgar. Rzeczywiście się nada. Gdzieś w tle wybrzmiały kroki, które ucichły przy ich stoliku. Ewa przyniosła psu obiecaną kolację. Postawiła miskę przy krześle Tomasza i szepnęła „Smacznego”. Po chwili spod stołu rozległo się mlaskanie. W jadalni zrobiło się ciepło i przytulnie, zapachniały ciasto i świeżo zaparzona kawa. Nikt nie zamierzał

kłaść się dzisiaj wcześniej do łóżka. Pianista zmienił repertuar i dla odmiany zagrał skoczne *Jingle Bells*. Tomasz miał pewność, że pierogi na jego talerzu całkiem już wystygły. Wydało mu się też, że nagle wszystko widzi. Ubranych odświętnie ludzi, pianino i człowieka pochylonego nad klawiszami, błyszczące ozdoby, gałązki świerku, udekorowaną na kolorowo choinkę. I ją. Ninę Rej, starszą wersję dziewczyny, którą kiedyś kochał. Dziewczyny płaczącej pod świerkiem.

Poczuł jej oddech na swoim policzku.

– Nie zapomnij o *Edgarze*. Ta rzeźba będzie dla mnie.

1 Museum of Modern Art w Nowym Jorku, ufundowane przez rodzinę Rockefellerów, w którym można obejrzeć między innymi słynne *Panny z Avignonu* Pabla Picassa.

MAGDALENA KNEDLER

Mantyla

Kiedy patrzę na Ewę, współwłaścicielkę Pensjonatu pod Świerkiem, zaczynam wierzyć w to, że niektórzy ludzie są tak po prostu, najzwyczajniej w świecie, zadowoleni z życia. I pogodzeni z nim. Ewa wygląda schludnie, ciągle się uśmiecha, nigdy nie siedzi beczynn timer i wydaje się całkiem usatysfakcjonowana faktem, że prowadzi z bratem swój pensjonat na zupełnym końcu świata. Zawsze byłam ciekawa, jak wygląda miejsce, w którym bociany mają zajezdnię, a psy... no, sami rozumiecie. I proszę – już wiem. Właśnie się w nim znalazłam. Ewa ma trzecie oko, którym widzi absolutnie wszystko. Na przykład to, że jestem teraz bardzo zdenerwowana i płynąca z radiowego głośnika *Cicha noc* w ślamazarnej aranżacji tylko to pogłębia. „Czuwa sama, uśmiechnięta”. Akurat. Nie wierzę w to, że ktoś, kto czuwa sam w żłóbku nad niemowlakiem, po długiej podróży i – zapewne – równie długim porodzie, może się jeszcze uśmiechać. Nawet jeśli faktycznie urodził gościa, który później przemieni wodę w wino.

Nie zrozumcie mnie źle, nie jestem wrednym cynikiem porywającym się na ogólnie zaakceptowane świętości. Po prostu bardzo się w tej chwili boję, bo do pensjonatu właśnie przyjechali moi rodzice, prosto z Berlina, a mój chłopak odkłada książkę (*Opowieść wigilijna* – wiem, nie wysilił się) i uśmiecha się szeroko, szczęśliwy, że wreszcie może ich poznać. Mieszkają w Niemczech, więc łatwiej mi było odwlec ten moment. Mój chłopak nie ma nawet pojęcia, co za chwilę nastąpi. A ja nie mam pojęcia, jak opanować tę sytuację. W pracy często widuję tak zwane żony ze Stepford. Znacie ten typ? Idealnie ubrane, umalowane i uczesane, z idealną rodziną, nakarmioną ekologiczną żywnością sprowadzoną z farmy pod Pcimiem Dolnym, ze zdany m na szóstkę testem białej rękawiczki, z babeczkami upieczonymi z mąki orkiszowej i bez jajek, obeznane z literaturą, którą „się czyta”, mające wszystko – wszystko! – pod kontrolą. Na pewno znacie. No cóż, fajnie by było przeistoczyć się czasem w taką żonę ze Stepford. Na

przykład teraz. Żona ze Stepford wiedziałaby, co robić, a ja nie wiem. Bo częściej niż w Stepford bywam w miejscu, które możemy umownie nazwać Czarną Dupą. A dziś jest najczarniej.

Wczoraj było zaledwie szaro. Przyjechaliśmy do Pensjonatu pod Świerkiem po południu, mój chłopak cały w skowronkach, ja z żołądkiem skurczonym do granic możliwości. Posiedzieliśmy w jadalni nad dobrą kolacją i gorącą czekoladą, którą podała nam kelnerka Matylda (kolejna zadowolona z życia osoba w typie „ja wiem, czego ci teraz potrzeba, Kochaniutka”), a później w bawialni, przy kominku, gdzie dopadł nas Gabriel, współwłaściciel pensjonatu i brat Ewy. Przyniósł nam krzyżówki, ponoć bardzo trudne, tylko dla zaawansowanych. Michał, mój chłopak, prawie się zakrztusił własnym entuzjazmem, bo krzyżówki to jego hobby. Stanowczo jednak twierdzi, że przy załatwianiu formalności nie wspomniął o niczym Gabrielowi. W innych okolicznościach pewnie drażylabym temat, ale w obecnych dałam sobie spokój. Michał podziękował za krzyżówki, a ja usiłowałam nie rzucić się na radio, z którego płynęło *Bóg się rodzi*, i nie łupnąć w nie solidnie pięścią. „Moc truchleje” – to był fragment, który wnerwiał mnie najbardziej, bo moja moc już struchlała – na amen. „Ogień krzepnie, blask ciemnieje” – no, wszystko się ogólnie zgadzało. W poetyce pewnie znalazłoby się na te sformułowania specjalne określenie, ale nie mam ochoty teraz nad nim dumać. Tak, jestem nauczycielką języka polskiego. I tak, zgadzam się – wcale tego teraz nie widać. A wiedzieliście, że *Bóg się rodzi* napisał Franciszek Karpiński, ten od Laury i Filona, którzy spotykali się pod jaworem? Na pewno nie. Laura i Filon nic wam nie mówią.

To wszystko jest odrobinę bez sensu, prawda? Gdybym w taki sposób napisała wypracowanie na swojej własnej lekcji języka polskiego, musiałabym wstawić sobie pałę. Może więc zacznę od początku. Zgadzaście się? No dobrze. Wczoraj przyjechaliśmy z Michałem do Pensjonatu pod Świerkiem, by spędzić tutaj święta Bożego Narodzenia. Spotykamy się prawie od roku – i prawie od roku unikam sytuacji, w której musiałabym przedstawić go moim rodzicom. Teraz jednak coś się w tej kwestii musi zmienić, bo mam przeczucie, że Michał chce mi się oświadczyć. Właśnie w święta. Lubi ten klimat, rozświetlone choinki, łańcuchy, bombki, mikołajki, szklane aniołki i piosenki o tym, że trzeba na kilka dni zawiesić wszelkie spory i najeść się pierników. Czy jakoś tak. I muszę wam się do czegoś przyznać. Jeśli mi się oświadczy i znajdę pod choinką pierścionek – zgodzę się. Wiem jednak, że to nie nastąpi, kiedy powiem mu prawdę. A powinnam być z nim szczerą. To z kolei świąteczny prezent ode mnie. Powiem mu o czymś, o czym nie wiedział dotąd żaden z moich byłych chłopaków. Dopuszczę go do swojego życia tak zupełnie, w całości. Powinien wiedzieć, na co się pisze, jeśli faktycznie zechce

ofiarować mi pierścionelek. Że razem ze mną coś mu wpadnie jako bonus.

I ten bonus właśnie pojawił się w Świerku. Wracamy do punktu wyjścia, bo już chyba trochę zorientowaliście się w sytuacji, prawda? Z głośnika płynie *Cicha noc*, a pastuszkowie biegną wielce zadziwieni. Do pensjonatu wkraczają moi rodzice. Zamieniają kilka słów z Gabrielem, w tle Ewa – nadal z wyrazem twarzy osoby absolutnie zadowolonej z życia – mruga do mnie i uśmiecha się „pokrzepiająco”. Pewnie widzi, że zaraz zejdem na zawal i zadne „gdzie się spełnił cud” mi nie pomoże. Michał wstaje z kanapy, a na stoliku równiutko układa *Opowieść wigilijną* i zbiór krzyżówek. Wspomina tylko, że zostało mu jedno hasło do wpisania i ma z nim spory problem. I zaraz wchodzi w rolę „dobrego chłopaka”, który wnosi sąsiadkom zakupy na czwarte piętro i uwielbia film *To właśnie miłość*. Z tego powodu chce mi się oświadczyć w święta. Kocham go. I właśnie dlatego serce mi pęka, że za chwilę wszystko między nami może się zmienić.

Rodzice są coraz bliżej. Michał uśmiecha się coraz szerzej. Moje serce bije coraz szybciej. Rodzice zatrzymują się przed nami. Michał uśmiecha się nadal, ale jakby bez przekonania. Moje serce właśnie przestaje bić. Między rodzicami stoi ona. Alina, Alka. Moja starsza siostra, którą także kocham. Ale chyba tylko ten Bóg, co się rodzi w żłóbku i nad którym czuwa uśmiechnięta matka, wie, jak trudna to miłość.

Alka nawija sobie na palec kosmyk włosów, powoli, metodycznie. Drugą dłonią rytmicznie uderza się w udo. Nie uśmiecha się – ona się nigdy nie uśmiecha. Patrzy na mnie długo.

– Jutro masz urodziny – mówi – o szóstej czterdzieści osiem. Było wtedy szaro, ale na niebie ciągle świecił księżyc. Tata miał kapcie w kratkę i granatową pizamę. Mama była w prześcieradle. Ja miałam różową koszulę nocną. Ty byłaś cała czerwona i krzyczałaś. Ja też krzyczałam, razem krzyczałyśmy. Lekarz nie zdążył dojechać. Firanka w sypialni miała kolor jasnozielony, a na stoliku leżały herbatniki. I jeszcze Dodo, mój pies. Piszczął i biegał. Zdechł dwa lata później, ale nie dokładnie, choć też w grudniu, dwunastego, o czternastej zero trzy. Mama wzięła mnie do weterynarza i zostałam w gabinecie. Wisiał tam zegar, biały, z czerwonymi wskazówkami. Wszystkiego najlepszego. Chociaż nie, to jutro.

Alina milknie i zapada cisza. Czuję na sobie spojrzenie Michała, ale na niego nie patrzę.

Moja siostra ma zespół Aspergera. A ja mam jutro urodziny. W wigilijny poranek. Wspominałam o tym?

– Nie wspominałaś o tym – mówi Michał, przechadzając się po pokoju.

Oczywiście nie ma na myśli moich urodzin. Muszę przyznać, że póki co stanął na wysokości zadania. Nie uciekł z krzykiem, zjadł spokojnie kolację,

rozmawiał z moimi rodzicami i usiłował nawet zagadać do Alki, ale wziął się do tego nieumiejętnie. No bo jeśli osobie z zespołem Aspergera zadajesz pytanie „Czym się zajmujesz?”, to musisz się liczyć z odpowiedzią w stylu: „jem kolację”, „piję wodę”, „siedzę przy stole”. I jeszcze z tym, że przy okazji usłyszysz „Masz brzydki krawat”. Alka jest zawsze konkretna, nigdy nie kłamie i nie przejmuje się takimi niuansami jak grymasy twarzy, ziewanie, wiercenie się na krześle, które mogłaby zaobserwować u swoich rozmówców. Nie potrafi czytać z twarzy i wszystko bierze dosłownie. A kurtuazyjne kłamstwa, uwagi o charakterze grzecznościowym czy konwersacja na tematy abstrakcyjne, wymagające uruchomienia wyobraźni, są poza jej zasięgiem. Alka potrafi natomiast zapamiętać całą książkę, którą aktualnie czyta, zdanie po zdaniu. Ona również skończyła filologię – germańską – i teraz pracuje w bibliotece uniwersyteckiej w Berlinie. W sumie skoro mają tam Alkę, to już nie potrzebują żadnych komputerów...

– Joanna!

Michał patrzy na mnie z wyrzutem. Kiedy się denerwuje, mówi „Joanna”, nigdy „Asia”.

– Co?

– Jakie: co? Nie wspomniałaś o niej!

– Ona ma imię.

– Tak, przepraszam. – Rumieni się i siada obok mnie na łóżku. – Alina. Nie wspomniałaś o Alinie.

– Zdajesz sobie sprawę, że nie mówimy o psychopatce z morderczymi instynktami?

– Tak, ale...

– Ale ona wymaga opieki. I będzie wymagać przez całe życie. Niemniej radzi sobie, ma pracę, nie trzeba jej karmić ani odprowadzać za rączkę do tramwaju. Potrafi natomiast zapomnieć o umyciu zębów i, na przykład, krzywo zapina sobie guziki swetra, przy czym zupełnie się tym nie przejmuje. Jest trochę niezgrabna i nieporadna, nie śmieje się, nie nawiązuje przyjaźni, w domu lubi przeorganizować wszystko tak, by pasowało do siebie kolorami i wielkością, a poza tym... trzeba się przyzwyczaić do jej konkretnego sposobu komunikowania się. I unikać abstrakcyjnych pojęć. Aha, i kiedyś jeszcze wpadała w szał, jak widziała u kobiet oczko w rajstopach. I nienawidziła kubków w groszki. Ale może coś się zmieniło... Jest jednak w stanie wyrecytować z pamięci całą *Iliadę*. *Odyseję* też, żeby było do pary.

– Jezu – jęczy Michał.

Bardzo w punkt, wszak pojutrze świętujemy Jego urodziny... Na dole w bawialni siedzi grupka emerytów, śpiewają *Przybieżeli do Betlejem*, słyszę ich nawet tu, dwa piętra wyżej. Kucharz Franek miał z nimi kłopot, bo dopytywali, czy wieczerza na pewno będzie tradycyjna, bezmięsna. Nie są przekonani co do tych

nowych zwyczajów. Franek lakonicznie oznajmił: „Będą państwo zadowoleni”. Każdy chce być zadowolony w Wigilię, prawda? Dochodzi północ, za oknem błyszczą gwiazdy i księżyc w pełni, a światła kolorowych lampek przyozdabiających pensjonat odbijają się w śniegu. Przypominają mi się nagle inne święta, spędzone w Berlinie, w domu moich rodziców. Po raz pierwszy i – jak się okazało – ostatni przyjechała do nas wówczas „ciocia z Ameryki”. Ela – Elizabeth – miała siedemdziesiąt lat i uważała, że za jej czasów nie było czegoś takiego jak zespół Aspergera, ludzie po prostu brali się w garść i nie szukali naukowo brzmiącej nazwy na określenie swojej życiowej nieporadności. Nie kłóciłam się z nią, bo moja matka szepnęła mi do ucha „Aśka, błagam”. Na szczęście Alka załatwiła sprawę za mnie. Pech chciał, że Elizabeth przywiozła moim rodzicom w prezencie serwis z porcelany. W groszki... Alka nienawidziła groszków. Na ich widok zerwała się z fotela, wyrzuciła naczynia z pudełka i zaczęła po nich skakać, skandując jednocześnie: „O Tannenbaum, o Tannenbaum,/ Wie treu sind deine Blätter!”¹.

– Jezu – powtórzył Michał. – I co się stało?

– Hm?

Dopiero teraz dociera do mnie, że opowiedziałam tę historię na głos. Patrzymy na siebie przez chwilę.

– Elizabeth wróciła do Bostonu – odpowiadam po prostu.

– Joanna... Ty chcesz mi powiedzieć, że Alina kiedyś będzie musiała z tobą zamieszkać, prawda?

„Z tobą”. Uśmiecham się z przekąsem. Nie powiedział „z nami”, to już ten moment, kiedy na wszelki wypadek należy się asekurować. Emerycy w bawialni śpiewają teraz *Mizerna, cicha stajenka licha*, a ja myślę, że to naprawdę trudny dla mnie podkład muzyczny. Poeta romantyczny Teofil Lenartowicz, autor tekstu, musiał się bardzo postarać, by tak radosny przekaz zamknąć w tak melancholijnej formie. A może to wina kompozytora?

Biorę głęboki wdech.

– Tak, Alka będzie musiała kiedyś ze mną zamieszkać. Bo choć jest w miarę samodzielna, to nie na tyle, by funkcjonować samotnie. A moi rodzice nie będą żyli wiecznie. Niemniej... uważam, że wielu ludzi ma naprawdę większe problemy niż siostra, która cytuje z pamięci *Iliadę*.

– Bardzo dobrze wiesz, o czym mówię – odbija piłeczkę. – Jeśli myślimy o wspólnej przyszłości, musimy uwzględnić...

– Alkę w naszym wielkim projekcie? Jak ewentualny kredyt, działkę pod Warszawą, liczbę dzieci, które chcemy mieć, i kwotę, którą będziemy co miesiąc odkładać na fundusz emerytalny?

– Asiu, wiesz dobrze, o co mi chodzi – protestuje.

Znowu jestem „Asią”. I tak – wiem, o co mu chodzi. Właściwie nawet go

rozumiem. Siedzimy obok siebie przez chwilę bez słowa. On kładzie swoją dłoń na mojej i przez sekundę wydaje mi się, że jest jak dawniej. My, ja i on, we dwoje. Mój wrodzony cynizm i szydzenie z żon ze Stepford, jego bezbrzeżna cierpliwość i uwielbienie dla *To właśnie miłość*.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? Nie uprzedziłaś mnie jakoś wcześniej?

– A chciałbyś tu wtedy przyjechać?

– Uważasz, że bym stchórzył? Nie ufasz mi?

– Nie wiem.

– Bardzo to miłe z twojej strony.

– A twoje zachowanie jakoś niespecjalnie przeczy moim obawom.

– Po prostu cała ta sytuacja jest bardzo niespodziewana. – Michał podnosi na mnie wzrok. – Muszę się oswoić z myślą, że w przyszłości będzie nas więcej i że wcale nie chodzi tu o bandę pyskatych dzieciaków.

– Skąd wiesz, że pyskatych?

– Po tobie nie mogą być inne.

Parskam śmiechem, choć tak naprawdę jest mi smutno. Mam złe przeczucia. Michał usiłuje nadrabiać miną, jest poruszony, ale próbuje żartować, boi się, a jednak stara się zmanifestować siłę.

– Pójdę na dół – odzywam się. – Może spotkam Gabriela lub Ewę, albo i Franka, to wyżebrzę kakao. A ty... no nie wiem, pomyśl chwilę w samotności. Wiem, że nie dojdiesz do sensownych wniosków w godzinę, ale może będziesz gotowy na składniejszą rozmowę.

Opuszczam pokój w ciszy, nie oglądając się za siebie. W korytarzu uderza we mnie muzyka. Emeryci, którzy najpewniej wypili po herbatce z wkładką, śpiewają „pójdźmy wszyscy do lodówki, do kielbasy i parówki”. Jak by nie patrzeć – rymuje się.

W bawialni natykam się na Ewę, która wciąż – nie sądziłam, że to możliwe – poraża mnie swoim rozanielonym wyrazem twarzy. Jak się okazało, nie wytracił jej z równowagi nawet chór emerytów, naprawdę usiłujących przypuścić szturm na lodówkę. Zaczynam szczerze współczuć Frankowi, kiedy słyszę dochodzące z kuchni odgłosy. Na szczęście śpiewy umilkły i w salonie panuje względny spokój. Nieopodal kominka błyszczą wysoka choinka, żywa, wokół unosi się zapach świerkowego igliwia.

– Szuka pani swojej siostry? Aliny?

Pytanie Ewy mnie zaskakuje, ale może nie powinno, bo widocznie ona i jej brat Gabriel wszystko o wszystkich wiedzą. Kiwam głową.

– Siedzi tam.

Ewa uśmiecha się – a jakże – i lekko mnie popycha. Podchodzę do kanapy,

na której zwinęła się w kłębek Alka. Siadam obok, a ona posyła mi lekko nieobecne spojrzenie. Widzę w jej dłoni zbiór krzyżówek Michała, musiał o nim zapomnieć, kiedy spotkaliśmy się z moimi rodzicami. Pod krzyżówkami spoczywa, również najwyraźniej zapomniana, *Opowieść wigilijna*. Czuję ukłucie w okolicy serca, zarówno na myśl o Michale, jak i na myśl o Alce. Chciałabym ją przytulić, poplotkować z nią, tak jak się powinno plotkować z siostrą, zjeść popcorn i obejrzeć jakąś świąteczną komedię, przy której będziemy smarkać w rękawy i udawać, że wcale nie jesteśmy poruszone, a ten film to w gruncie rzeczy popkulturowa szmira. Z Alką się tak nie da. Ale da się inaczej. Przysuwam się i wiem, że ona w tym samym momencie napina mięśnie. Łapię ją lekko za rękę. Czuję, jak się uspokaja, nie oddycha już tak szybko.

– Pamiętasz jeszcze *Dzwony* Dickensa?

– Nie.

– Nie pamiętasz? Ach tak, nie *Dzwony*, tylko...

– *Karylion. Goblinowa opowieść o dzwonach, które wypędziły graniem stary rok i przywołały nowy.*

– Właśnie. – Uśmiecham się. To właśnie cała Alka. – Powiesz mi to?

Zaczyna mówić, cytuje z pamięci całe świąteczne opowiadanie o Tobiaszu Vecku i jego córce Małgorzacie. Przez chwilę jestem gdzie indziej i kiedy indziej, w dziewiętnastym wieku, w Londynie, w wigilię Nowego Roku. Patrzę na rozświetloną choinkę, a później, wciąż wsłuchana w monotony, pozbawiony wszelkiej ekspresji głos Alki, sięgam po zbiór krzyżówek, który położyła na stoliku. Zaczynam przerzucać strony i jednocześnie, przy jednym z fragmentów *Karylion*a, zaczynam chichotać. Alka zerka na mnie bez zrozumienia. W bawialni nadal pachnie świerk, z kuchni nie słychać już odgłosów wydawanych przez chór emerytów, migoczą świece na kominku. Właśnie – świece? Wydaje mi się, że przed chwilą jeszcze ich nie było.

I nagle przestrzeń się zmienia. Słyszę ciche kroki. Ktoś siada obok mnie na kanapie, a siostra na chwilę urywa swoją deklamację, po czym ją kontynuuje, bo nikt przecież nie prosił, by przestała. Michał wyjmuję z moich dłoni zbiór krzyżówek. Jego obecność nie rozdrażnia Alki, która na ogół nie przepada za obcymi. To dobry znak. Albo też byłby dobry, gdyby... Michał przysuwa się do mnie i teraz nasze ramiona znajdują się jedno przy drugim. Zerkam na niego, a on posyła mi uśmiech, szczery i niewymuszony. Czuję dławienie w gardle, do oczu napływają mi łzy. To takie nie w moim stylu, ja jestem przecież cynikiem szydzącym z żon ze Stepford, dziewczyną, której siostra skacze po porcelanowych kubkach w groszki. Gdzieś w tle odzywają się skrzypce i wybrzmiewa melodia. To *O Tannenbaum*. Chce mi się śmiać. A może płakać? Sama już nie wiem.

Alka jeszcze przez chwilę recytuje *Karylion*a, po czym urywa, nagle tak zwyczajnie, po ludzku, niepewna, czy ktoś nadal jej słucha. Patrzy na nas

i wskazuje zbiór krzyżówek.

– Mantyla – mówi.

Wymieniamy z Michałem spojrzenia. Alka cmoka.

– Nie wpisałeś jednego hasła. Chodzi o mantylę. Najprostsze ze wszystkich pytań.

Michał wciąga gwałtownie powietrze i zaczyna kartkować książeczkę z krzyżówkami.

– „Nosi ją kobieta Velázquez” – mamrocze, po czym stuka się w czoło.

– Chodzi o obraz – wyjaśnia spokojnie Alka. – *Kobieta w mantyli*, który powstał najpewniej w latach tysiąc sześćset dwadzieścia pięć–tysiąc sześćset trzydzieści. Obecnie można go oglądać w Chatsworth. Byłyśmy tam z Aśką.

Alka urywa i zaczyna stukać się rytmicznie w biodro, ale przestaje, kiedy ponownie biorę ją za rękę. Rzeczywiście, byłyśmy w Chatsworth. Tyle że ja nie pamiętam mantyli u kobiety Velázquez, bo dla mnie rzeczywistość nie ogranicza się do detali. A może powinna? Michał, bardzo uszczęśliwiony, wpisuje w siedem kratek słowo „mantyla”. Rzeczywiście – nie było to wcale trudne. Wsłuchuję się w dźwięki skrzypiec, które wciąż, niestrudzenie, wygrywają *O Tannenbaum*.

Może nie wszystko jest takie trudne, jak z początku się wydaje? Michał znowu się do mnie uśmiecha. On chyba też tak myśli.

1 „O choinko, o choinko,/ Jak zielone są tve liście!” – fragment popularnej niemieckiej pieśni bożonarodzeniowej *O Tannenbaum*.

ADRIAN BEDNAREK

Pokój nr 106

Wycieraczki nie nadążały ze zbieraniem syfu z przedniej szyby. Deszcz, śnieg, breja spod kół samochodu przede mną, wszystko naraz. I tak w kółko od kilku godzin.

Jak zawsze starałem się zachowywać bezpieczną odległość, jechać zgodnie z przepisami. Co z tego, że wariaci za mną co chwilę używali klaksonu i długich świateł, żeby mnie pospieszyć. Nie zamierzałem ustępować. Miałem do przejechania długą drogę. Jechałem odwiedzić mamę.

Mama... tak bardzo za nią tęskniłem. Nie widzieliśmy się już tydzień, przez co ominęły ją moje trzydzieste drugie urodziny, które spędziłem sam w naszym mieszkanku z kubkiem gorącej czekolady i kolorowym czasopiśmie dla dorosłych. Czasopismo stanowiło jedyne umilenie czasu.

Od początku odradzałem mamie wyjazd do sanatorium na Słowację. Miałem spędzić urodziny bez niej? Pierwszy raz w życiu? Chory pomysł, który ze względu na jej stan zdrowia musiałem przełknąć. Ale Wigilia i Święta Bożego Narodzenia? Tego już za wiele. Przecież oprócz niej nie miałem nikogo na tym świecie! Ojca nigdy nie poznałem, mama twierdziła, że był jej grzechem, a ja nie miałem powodów, żeby jej nie wierzyć. Zawsze mówiła prawdę.

Musiałem do niej jechać, musiałem ją odwiedzić. Wiedziałem, że zimą drogi w górach nie nadają się do bezpiecznej jazdy. Mama przez telefon upominała mnie: „Uważaj synku, jedź tylko za dnia, jak górską drogą zrobi się zbyt śliska, od razu znajdź sobie nocleg”. Ignorowałem jej rady, nawet trochę na nią nakrzyczałem, w końcu jestem już jakby dorosły i chyba mam prawo podejmować własne decyzje, a argument, że mam jej słuchać, bo żyję głównie z jej pensji, to żaden argument.

Kolejny klakson przerwał moje rozmyślenia, zaraz po sygnale ostrzegawczym na lewym pasie pojawił się czarny wypasiony samochód, wyprzedził mnie, jadąc pod prąd, po czym błyskawicznie schował się na prawy

pas.

– Jedź jeszcze szybciej, idioto! Na pewno dotrzesz na miejsce w plastikowym worku! – krzyknąłem do pustego wnętrza mojego samochodu i zamrugałem mu długimi światłami.

W odpowiedzi kierowca superbryki gwałtownie zahamował, choć przed nim nie było nikogo. Czerwone światła stopu pojawiły się zniemacka, niczym demoniczne oczy węża. Ze strachu sam wbiłem hamulec w podłogę. Mój samochód nie miał ABS-u i zatańczył na prostej drodze jak pijana baletnica. Prząd na lewo, tył na prawo i na odwrót. Tylne koła otarły się o zaśnieżone pobocze. Kręciłem kierownicą, zdesperowany, i jeszcze mocniej wciskałem hamulec. Auto uspokoiło się dopiero kilkadziesiąt metrów dalej, choć czułem, że nie mam nad nim kontroli.

Piekielna maszyna, chyba prowadzi się sama, pomyślałem z drżącym sercem. Waliło mocniej niż młot Thora. Cały się spociłem. Słyszałem kanonadę klaksonów za plecami. Wnet przypomniały mi się słowa mamy o ostrożności i niebezpieczeństwie na górskich drogach.

Spojrzałem na termometr samochodowy, który zainstalowałem przed wyjazdem. Pokazywał minus dwa stopnie. Deszcz, śnieg, mróz, a choć była dopiero czwarta po południu, słońce całkowicie zaszło. Taka jazda to nie dla mnie. Może i jestem dorosły, ale mama ma więcej życiowego doświadczenia. Poszedłem za jej radą, zjechałem z głównej drogi tuż za tablicą reklamową z wielkim napisem Pensjonat pod Świerkiem i strzałką wyznaczającą kierunek do tego przybytku. Cały w nerwach pokonałem kilkanaście kilometrów drogi przypominającej biały dywan z dwiema szynami wyżłobionymi przez koła samochodów. Na szczęście deszcz przestał padać, został tylko śnieg.

Pensjonat z zewnątrz wyglądał ładnie, przypominał elegancki dom wypoczynkowy zbudowany przez władzę ludową – był akurat taki, do którego chciałoby się zabrać mamę na święta, żeby ożywić w niej wspomnienia młodości, zamiast kisić ją w głupim sanatorium. Na parkingu stało ledwie kilka niezłych wozów. Wigilia dopiero jutro, pewnie wtedy zacznie się prawdziwy ruch. Szkoda, że mój matiz wyglądał przy nich tak ubogo. Trudno, może jeszcze mamie uda się zarobić w życiu prawdziwe pieniądze i pozwolimy sobie na coś lepszego. Grunt, że chwilowo miałem duży zapas gotówki. Jedyne, obok kolorowych czasopism, plus wyjazdu mamy do sanatorium był taki, że zostawiła całą pensję. Firma, w której pracuje, pokryła koszt wyjazdu.

Zaparkowałem tuż przy bramie wjazdowej. Na wszelki wypadek. Gdyby wybuchł pożar albo zaatakowali nas jacyś terroryści, moje auto będzie pierwsze do ucieczki. Aż dziw, że nikt z gości nie zajął tego miejsca przede mną. Ich strata.

Zabrałem torbę podróżną z bagażnika i poszedłem się zameldować. Pokonanie schodów od parkingu do głównego wejścia stanowiło nie lada

wyzwanie. Nie, nie byłem gruby, przecież do setki brakowało mi kilograma! Zresztą mama tłumaczyła mi, że duża waga to nie moja wina. „Jesteś, synku, grubszej kości, ojciec cierpiał na tę samą dolegliwość”.

– Dzień dobry, czy jest wolny pokój? – spytałem kobietę w recepcji, próbując unormować ciężki oddech.

Była niebrzydka, choć urodą w niczym nie przypominała dziewczyn z kolorowych czasopism. Mama pewnie określiłaby ją mianem zołzy udającej poczciwą tylko po to, żeby móc mnie usidlić i okraść po ślubie.

– Dzień dobry, mam na imię Ewa, jestem właścicielką pensjonatu – poinformowała, jakby fakt, że jest właścicielką i sama przyjmuje gości, miał dla mnie jakieś znaczenie. Zerknęła na monitor komputera. – Jedyńka. Na dłużej czy tylko na dzisiaj?

– Na dzisiaj! – niemal krzyknąłem z radości, bo bałem się, że nie będzie nic wolnego, a wizja jazdy po zaśnieżonych drogach nocą w poszukiwaniu wolnych pokoi w górach sprawiała, że ogarniał mnie strach. – Tego potrzebuję. Jedynki, tylko na dzisiaj. Wie pani, jestem w drodze do mamy... – Ugryzłem się w język. Za dużo gadam.

– Jestem przekonana, że pobyt w pensjonacie będzie dla pana niezapomniany – powiedziała z wyuczonym sztucznym uśmiechem serwowanym wszystkim gościom – panie...

– Krystian – przedstawiłem się i wyciągnąłem dowód z wewnętrznej kieszeni polaru.

Zameldowałem się i zapłaciłem za nocleg taką cenę, że włosy stanęły mi dęba. Dostałem klucz. Po hotelu z nocką za parę stów spodziewałem się plastikowej karty. Cóż, widocznie tutaj stawiali na klasykę. Pięć minut później byłem już w swoim pokoju. Nuda, nuda... W telewizji ciągle polityka, reklamy i kolędy, czasopisma nie zabrałem ze sobą, a w brzuchu zaczęło mi burczeć. Nic nie jadłem od dwóch godzin. Włożyłem ciemne dżinsy, zielony sweter w romby i szedłem do jadalni.

Tam było znacznie ciekawiej. Oprócz mnie przy różnych stolikach siedziały dwa małżeństwa. Jedno starsze, kobieta w wieku mamy. Jedli makaron, pili wino i dyskutowali. Drugie w moim wieku. Ona – szczupła blondynka z kręconymi włosami i nogami, które zatrzymują męskie spojrzenia. Jak z okładki. Mama nazwałaby ją ździrą. On – przystojny, wysoki brunet, pewnie dobre geny i brak choroby „grubszej kości”.

Wcinałem kolację przysłuchując się ich rozmowie. Wywnioskowałem, że wspólnie prowadzą agencję reklamową. Karierowicze. Matka mówi o takich: „Zepsuci ludzie. Nie chcą mieć dzieci, nie doceniają chrześcijańskich wartości, nic, tylko pieniądze i kariera”. Oni mnie nie zauważali. Standard, nikt nie zwraca uwagi na grubasa z wielkim nochałem i wyrazem twarzy pryszczatego clowna, który

maskuje gęstą brodą. I dobrze, tylko tego mi brakuje, żeby się na mnie gapili.

– Wszystko przez ciebie, Olaf – powiedziała do swojego męża blondynka. – To ty chciałeś spędzić święta na zadupiu! Co my będziemy tu robić? Nie ma restauracji, barów, sklepów. Nawet wi-fi ledwo zipie! Zamierzasz całe Boże Narodzenie tkwić w tej pozał się Boże knajpie?

– Tobie chodzi tylko o lans, Ewelino – odpowiedział facet. – Zobacz, co się z nami stało! Kiedyś potrafiliśmy się cieszyć drobnymi przyjemnościami. A teraz? Jak przez godzinę żaden facet nie rozbiera cię wzrokiem, wariujesz! Poza tym wiesz, jaka jest nasza sytuacja...

– Niby jaka?! Żyjemy jak wszyscy, przecież każdy ma zobowiązania! Nie gadaj głupot.

Kłótnia zdawała się rozkręcać. Podeszła do nich kelnerka, coś powiedziała, ale za cicho, żebym usłyszał. Sądząc po minach pięknych małżonków, chyba chciała ich uspokoić. Korzystając z jej przyjścia, zamówiłem deser i piwo. Żal wracać do pokoju, poza tym ta dziewczyna... Musiałem jeszcze na nią popatrzeć.

– Dziecko wiele by zmieniło... – westchnął głośno Olaf.

– Pewnie! Mnie w grubą bekę, a ciebie...

– Co masz na myśli?

– Chcę zarabiać pieniądze! Nie będę mamuszką, która każde święta spędza, zmieniając pieluchy! Chciałeś kurę domową? Trzeba było ożenić się z tą prostytutką, jak jej było? Dorota!

– Wiem! Lepiej kręcić tyłkiem po modnych kurortach, żeby dowartościowywać swoje ego! A pieniądze to my zarabiamy chyba tylko na papierze, więc przestań wreszcie o nich gadać!

Ich kłótnia sprawiała mi coraz większą frajdę. Dziewczyna robiła kwaśne miny, prawie leciały jej łzy.

– I kto to mówi? Myślisz, że nie widziałam, jak się gapieś na tę niunię na stacji benzynowej?! – Swój atak nerwów podkreśliła uderzeniem widelca o talerz. Zabrzęczało na całą restaurację. – Przestanę, jak zaczniemy je zarabiać... – odburknęła nieco ciszej.

Po chwili zjawiała się Ewa z tym swoim sztucznym uśmiechem, towarzyszył jej facet z jeszcze większym bananem na twarzy. Miał na imię Gabriel. Powiedział, że jest jej bratem. Interwencja właścicieli trwała prawie cały mój deser i połowę piwa, ale przyniosła pożądany efekt.

– Proszę państwa, są święta, czy to nie czas, w którym powinniśmy zakopać topór wojenny zamiast rozwijać niepotrzebne konflikty? – mówiła Ewa.

– Spójrzcie państwo na siebie, jesteście młodzi, piękni, wyglądacie na niezależnych. Czy naprawdę warto się kłócić jak małe dzieci? Pomyślcie o dniu, w którym się poznaliście, o waszym ślubie, o momentach, które uczyniły was szczęśliwymi. Nadal jesteście tacy sami, tylko musicie odnaleźć swoje najlepsze

chwile. Świąteczna atmosfera wam w tym pomoże – wtórował jej Gabriel.

Małżeństwo przeprosiło za swoje zachowanie. Zanim właściciele sobie poszli, zamówiło butelkę valpolicelli. Pojawienie się wina zwiastowało jeszcze ciekawszy rozwój sytuacji. Mama często powtarzała, że po procentach w ludzi wstępnie diabeł. Właściciele już nie było, więc młodzi mogli sobie dalej folgować. Zamówiłem jeszcze jeden deser i zaciekawiony przysłuchiwałem się ich dalszej rozmowie. Ku mojemu zdziwieniu kłótnia zaczęła zmieniać się w obrzydliwe kizianie i mizianie w miejscu publicznym. Alkohol wcale ich negatywnie nie nakręcał. Przeciwnie, co chwilę się obejmowali, całowali i przytulali.

– Wybacz, chciałem tylko, żebyśmy spędzili święta inaczej, bardziej romantycznie. – Olaf głąskał dziewczynę po dłoni, mówiąc czule słówka. Wytężyłem słuch, żeby ich usłyszeć.

– To ja przepraszam, zdarza mi się przesadzać, wiem. – Pocałowała go, tak obrzydliwie, z językiem. Mama powiedziała, że zachowuje się jak dziwka. – Pędzimy całe życie i czasami zapominamy, co jest dla nas najważniejsze.

Pocałunki, przytulanki, druga butelka wina. Zjadłem trzeci deser, przyglądając się małżeństwu. Moja irytacja narastała. Przecież ich życie nie może być takie piękne. To tylko fasada, za którą kryją się same problemy, kryzysy i brak cielesnej przyjemności. Tymczasem oni gruchali jak gołąbki i nic nie zapowiadało nawrotu wcześniejszej kłótni. Towarzyszyłem im do końca flaszki. Byli pijani, bez dwóch zdań. Ale agresji i wzajemnej nienawiści zero. Zamówili jeszcze jedną flaszkę na wynos, wstali od stołu, ja chwilę po nich. Ich pokój mieścił się na moim piętrze. Weszli objęci i szczęśliwi. Pewnie za chwilę będą to robić...

W nocy nie mogłem spać. Dziesiątki myśli torpedowały moją głowę. Bzyczały jak rój wściekłych pszczół, a jedna niczym królowa przebijała się przez wszystkie inne. Brzmiała głosem mamy. Jej słowa zdawały się logiczne i racjonalne. Odniosłem wrażenie, że bardzo chce mi pomóc.

Wstałem z łóżka, bałem się jak cholera, mimo to szedłem za głosem królowej. Ubrałem się w kreszowe dresy, które dostałem od niej w zeszłym roku pod choinkę. Cichaczem wyszedłem na korytarz. Byłem sam, pensjonat zapadł w sen. Napędzany myślami poszedłem wprost pod pokój małżeństwa. Chciałem tylko przyłożyć ucho do drzwi i podsłuchać kobiece dźwięki, jakich nie słyszałem nigdy w życiu.

Moje zaskoczenie było naprawdę duże, gdy zobaczyłem, że drzwi są minimalnie uchylone. Widocznie w alkoholowym amoku, spragnieni swoich ciał, zapomnieli je zamknąć. Podniecony i jednocześnie przerażony, pchnąłem je lekko i zajrzałem do środka. Wnętrze pokoju oświetlała jedna lampka nocna świecąca na komodzie. Małżonkowie spali odkryci. On nagi, ona w samej bieliźnie. Widok sprawił, że przeszły mnie ciarki.

Wszedłem do pokoju, stopą zamknąłem drzwi. Przez moment nie

wiedziałem, co robić. Głos królowej był wyraźny, mówił jasno, jak należy w tej sytuacji postąpić. Przez chwilę przyglądałem się kobiecie. Była piękna, miałem ochotę dotknąć jej aksamitnej skóry. Nie zrobiłem tego, tylko nachyliłem się nad nią, wciągnąłem jej woń. Pachniała słodkimi perfumami i winem. Inaczej, niż to sobie wyobrażałem. Mężczyzna głośno chrapał. Znów wyciągnąłem rękę, centymetry dzieliły moje palce od pośladków Eweliny. Niemal czułem malutkie włoski najeżone od zimna, ale w ostatniej chwili głos królowej i jedno obrzydliwe wspomnienie sprawiły, że zrezygnowałem.

Rozejrzałem się po pokoju. Na blacie przy lustrze leżała kosmetyczka. Pilnik, czązki, pęseta, nożyczki i jakieś przybory dla kobiet lekkich obyczajów. Nigdy takich nie widziałem, mama ich nie używała. Głos był coraz donośniejszy, wspomnienie coraz wyraźniejsze. Moja nienawiść narastała, może była to zazdrość? Nieważne, chciałem tylko jednego.

Schowałem prawą dłoń do rękawa bluzy, przez dresowy materiał chwyciłem nożyczki. Były nieduże, miały ostrą końcówkę. Wróciłem przed łóżko. Już się nie denerwowałem, ogarniała mnie ekscytacja, oddech stał się cięższy. Pewnie przez te desery. Stanąłem nad Olafem. Spał na plecach z odchyloną szyją. Chrapał coraz głośniej. Spojrzałem na Ewelinę. Była wręcz odrażająco piękna. „Zło, zło w najczystszej postaci. Urodzona, żeby krzywdzić dobrych i poczciwych chłopców jak ty, Krystianku”. Tak powiedziałyby mama, tak mówił głos królowej w mojej głowie. Wbiłem ostrze nożyczek w szyję Olafa tuż przy grdyce. Zacharczał. Pijacki amok sprawił, że dopiero po chwili otworzył oczy. Natychmiast wbiłem nożyczki ponownie, po drugiej stronie grdyki. Wydał z siebie cichy syk. Podniósł ręce, pijany mózg wolno rejestrował fakty. Trzeci cios zadałem w bok szyi, chyba trafiłem w tętnicę. Krew trysnęła jak po przebicciu foliowego woreczka z napojem, nie dając facetowi szans na obronę. Ręce opadły wraz z powiekami. Olaf był martwy, jego pijana żona nadal smacznie spała.

Schowałem nożyczki do kieszeni bluzy i zapiąłem ją na zamek. Nie denerwowałem się choć chyba powinienem. Zabiłem człowieka, złego człowieka. Zła kobieta obok jeszcze tego nie wiedziała. Głos królowej na dobre zmienił się w głos mamy, wciąż powtarzała mi: „Będzie dobrze, Krystianku, będzie dobrze. Mamusia nie pozwoli, żeby coś złego stało się jej kochanemu synkowi”.

Zmotywowany głosem opuściłem pokój numer sto sześć, zamykając za sobą drzwi. Pokręciłem się po korytarzach, aż znalazłem tylne wyjście dla personelu i obsługi technicznej. Wyszedłem na dwór. Trzęsąc się na mrozie, dotarłem do ogrodzenia okalającego tylną część pensjonatu. Wyciągnąłem nożyczki i trzymając przez bluzę, wyrzuciłem za płot. Wylądowały gdzieś na śniegu. Nie wiem, gdzie dokładnie, bo natychmiast wróciłem do środka.

W pokoju pod prysznicem przeparałem brudną od krwi bluzę i rozwiesiłem na kaloryferze. Później położyłem się na łóżku. Spałem jak niemowlę. Śniły mi się

panie z kolorowych czasopism. Wszystkie mnie wielbiły, traktowały jak swojego króla, były gotowe spełnić każde moje życzenie...

Z krainy snów wyrwał mnie, jak i chyba wszystkich gości pensjonatu, przerażający kobiecy krzyk. Ewelina odkryła martwe ciało męża jeszcze przed wschodem słońca. Darła się wniebogłosy, słyszałem, jak wybiegła z pokoju, wzywając pomocy i prosząc Boga o ratunek. Postawiła na nogi cały pensjonat. Żeby nie wyróżnić się na tle pozostałych, też wyszedłem z pokoju. Moja wizyta na korytarzu trwała krótko. Ewa i Gabriel, którym na wieść o trupie sztuczne uśmieški w końcu zniknęły z ust, kazali wszystkim wracać do swoich pokoi.

Policja przyjechała dopiero po godzinie. Na dworze było już widno. Zabezpieczyli pokój numer sto sześć, zebrali wszystkich w jadalni i przystąpili do przesłuchiwania świadków. Ewelina siedziała osobno, w rogu przy choince, rozmawiając z jednym funkcjonariuszem. Wyglądała strasznie – jakby w ciągu kilku minut los wyssał z niej dziesięć lat życia. Twarz jej się pomarszczyła, oczy zapadły, nawet włosy zdawały się tracić kolor platynowego blondu i dążyły ku siwiźnie.

Policja przesłuchiwała kelnerkę, właścicieli, starsze małżeństwo z restauracji i mnie. Wszyscy powiedzieliśmy prawdę o małżeńskiej kłótni zakończonej winem na zgodę. Później na stołówkę przybiegł młody aspirant z zakrwawionymi nożyczkami w aluminiowym woreczku. Detektyw pokazał je Ewelinie, a ta potwierdziła, że należą do niej. Kolejnych rewelacji słuchałem, stojąc wraz z całym personelem za ścianą, bo detektywi nas wyprosili. Okazało się, że małżeństwo miało ogromne długi, samochód i mieszkanie na kredyt. Ponadto oboje mieli wykupione polisy na życie. To wystarczyło jako podstawa do zatrzymania. Policjanci uznali, że Ewelina zabiła męża, licząc, że narzędzie zbrodni zniknie pod grubą warstwą śniegu, co pozwoli uniknąć więzienia, ale na jej nieszczęście w nocy przysła odwilż. Idąc do pokoju, słyszałem magiczne słowa wypowiedane przez detektywa: „Jest pani zatrzymana pod zarzutem morderstwa”. Mama miała rację, wszystko będzie dobrze.

Wigilijne śniadanie z racji porannych wydarzeń zostało podane w jadalni. Zjadłem ze smakiem, wziąłem dwie dokładki. Na dworze wreszcie wyszło słońce, śnieg przestał padać. Spakowany wymeldowałem się z hotelu.

– Mam nadzieję, że pomimo tej tragedii nie będzie pan źle wspominał Pensjonatu pod Świerkiem? – spytała na pożegnanie Ewa.

– O nie, tu jest pięknie. Nic nie poradzimy na to, że po świecie chodzą szaleni ludzie. – Uśmiechnąłem się gorzko. – Wesołych świąt, mimo wszystko.

– Wzajemnie, panie Krystianie, szerokiej drogi.

Jezdnia była szeroka, czarna, a koła matiza wreszcie się do niej kleiły. W radio leciały same kolędy, przeplatane świątecznymi życzeniami od słuchaczy i prowadzących audycję. Przyjemnie mi się ich słuchało. Jadąc, wspominałem

dawne czasy. Zwłaszcza ostatnią klasę podstawówki, gdy po latach milczenia w końcu zebrałem się na odwagę, kupiłem czekoladki, wielki bukiet róż i wbrew radom mamy podszedłem do pięknej blondwłosej Eweliny Zawadzkiej, żeby zaprosić ją na randkę. Szkolna piękność wyśmiała mnie przy wszystkich, zwyzywała i upokorzyła. Miałem przez nią mnóstwo problemów. Zwłaszcza z pęcherzem. Moczyłem się w nocy aż do końca liceum. Nie pomagały wizyty u lekarzy i psychologów. Ciągle śniło mi się, że ją zapraszam, ona mi odmawia, po czym budziłem się w nocy mokry.

Nigdy więcej nie odezwałem się do pięknej kobiety. Mama twierdziła, że to przez Ewelinę mam problemy. W tamtym czasie sama podupała na zdrowiu, czego konsekwencją jest choćby jej wyjazd do sanatorium. Nie widzieliśmy się z Eweliną przeszło piętnaście lat. Na początku nie byłem pewien, czy to ona, ale ordynarny ton, złośliwość w głosie i piękne włosy nie pozostawiły wątpliwości. Jej uroda nie przeminęła, przeciwnie, zdawała się rozkwitać. Ona oczywiście mnie nie rozpoznała.

Słuchając jej małżeńskiej kłótni, poczułem lekką satysfakcję. Dobrze było wiedzieć, że jej się nie układa, ale szybko zrozumiałem, jak bardzo się mylę. Miała kochającego męża, osobę, która jest z nią na dobre i na złe, a kłótnia to jedynie przejściowy kryzys. Była szczęśliwa, mimo że wiele lat temu zniszczyła życie małemu chłopcu i nie zasługiwała na szczęście. Teraz chłopiec wreszcie się odegrał. Ona dostanie dożywocie, ale nie to będzie dla niej najgorsze. Każdego dnia, zaraz po otwarciu oczu w więziennej celi, będzie się zastanawiać, kto zabił jej męża i dlaczego.

Rozbawiony tą myślą podkręciłem głośność w radio. Właśnie grali *Lulajże, Jezuniu*, a ja zbliżałem się do granicy. Głos królowej podpowiadał mi, że szykują się niezapomniane święta. Wprost nie mogłem się doczekać, aż podzielę opłatek i opowiem mamie, co wydarzyło się w Pensjonacie pod Świerkiem. Będzie ze mnie dumna. Powie, że wreszcie zachowałem się, jak przystało na prawdziwego mężczyznę.

ADRIAN BEDNAREK

Świąteczna niespodzianka

– Maciuś! Jak tu pięknie! – krzyknęła podekscytowana Magda, gdy w wigilijny poranek przekroczyli próg Pensjonatu pod Świerkiem.

Miała dwadzieścia lat, trzy poprzednie Wigilie spędzała według ściśle ustalonego planu. Rano widzenie w więzieniu u ojca, w południe widzenie u brata, po południu szybki opłatek i karpik z ukochanym, a wieczorem robota. W końcu Wigilia to żniwa w ich branży.

– W istocie, warto było zawalić pracę – stwierdził starszy o dwa lata chłopak. Partner w pracy, partner w życiu. Na dobre i na złe. – Myślisz, że się wściekną, jak wyślemy im kilka fotek?

Miał na myśli pozostałych członków „ekipy z betonu”, bo tak sami siebie nazywali. Zespół zawodowych złodziei. Żyli z kradzieży, używali wyrafinowanych metod i sprzętu najwyższej jakości. Każdy skok dokładnie planowali, byli świetni w tym, co robili. Wigilia stanowiła gorący okres, mnóstwo pustych domów przepełnionych drogimi gadżetami, które łatwo spieniężyć. Ale w te święta wyjątkowo chcieli odpocząć, oderwać się od codzienności. Spędzić je we dwójkę, z dala od ryzyka i niebezpieczeństw. Reszta ekipy została w mieście i pracowała pełną parą.

– Będą nam zazdrościć – powiedziała z zachwytem, rozglądając się po przestronnym wnętrzu recepcji. – A więc tak odpoczywają ludzie z pieniędzmi?

– Daj spokój. – Maciek objął swoją dziewczynę. – To ustronne, romantyczne miejsce. Jakbyśmy pojechali do pięciu gwiazdek w Zakopcu, dopiero byś zobaczyła.

– Mnie ten w zupełności wystarcza, chciałabym tak żyć.

Podeszli do recepcji. Przywitała ich dwójka ludzi. Magda z przekąsem zauważyła, że są do siebie podobni – jasne włosy, szczupli, niebieskie oczka.

– Dzień dobry, mam na imię Ewa, a to mój brat Gabriel, jesteśmy

właścicielami pensjonatu. – Kobieta wnet rozwiąła jej wątpliwości. – Cieszymy się, że wybraliście państwo nasz pensjonat do spędzenia wyjątkowego okresu, jakim jest Boże Narodzenie – walnęła wyuczoną formułkę, którą zapewne serwowała wszystkim gościom. – Mogę prosić dowód osobisty któregoś z was?

Spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Maciek nie mógł się powstrzymać. Pocałował Magdę namiętnie. Kit z tym, że właściciele na nich patrzą, kit z tym, że za nimi ustawia się kolejka nowo przybyłych gości. Wreszcie zabrał swoją jedyną w miejsce, w które powinno się zabierać niezwykłą kobietę.

– Cudownie jest patrzeć na młodych, zakochanych ludzi – westchnął Gabriel, też niespecjalnie przejmując się kolejką. – Zazdroszczę tej miłości. Sam wiele bym dał, żeby spotkać kobietę, która będzie patrzeć na mnie jak pani na pana.

Rozbawiona Magda otworzyła torebkę, chwilę w niej pogrzebała, wyciągnęła dowód osobisty i podała go Ewie.

– Mieliśmy zarezerwowany apartament małżeński – przypomniał Maciek. – Zaliczka wpłacona przelewem pocztowym.

– Oczywiście, wszystko się zgadza – powiedziała Ewa po spisaniu danych z dowodu. – Życzę udanego pobytu, pani Jadwigo, panu również, i wesołych świąt, niech spełnią się wasze marzenia.

Zabrali jedyną torbę, jaką mieli ze sobą, i przytuleni wolnym krokiem ruszyli do pokoju.

– Jadwigo? – wyszeptał Maciek prosto do ucha ukochanej. – Serio? Musiałś to zrobić?

– Nowiutki dowodzik, prosto od fałszerza. Jeszcze ciepły – wyjaśniła. – Gdzie lepiej go przetestować niż tutaj? Nie powiesz mi, że zarezerwowałeś pokój na prawdziwe nazwisko?

W odpowiedzi pocałował ją w czoło.

Pokój wyglądał jak marzenie. Olbrzymie łóżko, komoda, lustro zawieszane na ścianie i mała nastrojowa choinka z niebieskimi lampkami. Do tego taras z widokiem na góry i łazienka z dużą wanną. Maciek przeszedł samego siebie, wybierając apartament. Wszystko toczyło się dokładnie tak, jak sobie zaplanowali. Długa, gorąca kąpiel przy świecach. Butelka wina zamówiona do pokoju. Podzielili się opłatkiem, życząc sobie bezpieczeństwa na akcjach, wiecznej wolności, niekończącej się miłości i najważniejszego – skoku, który pozwoli im na dobre wyrwać się z szarych blokowisk wielkiego miasta.

Ekipa traktowała złodziejstwo jak firmę. Kradli dużo, zarabiali coraz więcej, ale cały czas inwestowali. W sprzęt, fałszywe dokumenty, wtyki w agencjach ochrony i w elektronikę. Magda marzyła o jednym złotym strzale i ucieczce do innego świata. Oczami wyobraźni widziała się w małym domku na przedmieściach,

z dwójką roześmianych dzieciaków i Maćkiem u boku. Wiedział o tym, znał jej marzenia, dlatego życzył jej tego z całego serca. Nie miała wątpliwości, że gdyby mógł, zabiłby, żeby tylko uczynić ją szczęśliwą.

Po opłatku oboje byli tak wzruszeni, że nie chcieli opuszczać pokoju. Tulili się i kochali aż do wieczora. Wtedy zeszli na wigilijną kolację, gdzie na szczęście goście hotelowi nie wpadli na upierdliwy pomysł wspólnego łamania się opłatkiem, skończyło się na ogólnych życzeniach wygłoszonych przez właściciela. Ale i tak rodzeństwo właścicieli okazało się szczególnie natrętne. Dosiedli się przy makowcu i wypytywali ich o wszystko – skąd pochodzą, czym się zajmują, jakie mają plany na przyszłość. Opowiedzieli im spontaniczną bajkę o parze studentów polonistyki, którzy w przyszłości zamierzają zostać wykładowcami na Akademii Pedagogicznej i szkolić przyszłych nauczycieli. Bawili się przy tym przednio. Gabriel ciągle zwracał się do Magdy „Jadwigo”, a Maciek przedstawił się jako Karol. Do pokoju wrócili przed pasterką ubawieni jak po maratonie filmów Barei.

Pasterka, na którą zapraszali właściciele, ich nie interesowała. Mieli własną metodę celebrowania szczęścia. Maciek zadbał o nastrój, Magda postanowiła go podkręcić. Pończochy, kusa spódniczka, piętnastocentymetrowe czerwone szpilki, gorset, kajdanki i bita śmietana stanowiły znacznie lepszą rozrywkę od dwugodzinnego śpiewania psalmów. Wyśpiewali własne.

Rankiem Maciek zaserwował jej masaż całego ciała. Długi, delikatny, z olejkami. Potem zeszli na śniadanie. Pierwszy dzień świąt zapowiadał się równie znakomicie jak Wigilia. Po śniadaniu oboje wyszli przed główne wejście oddać się swoim małym grzeszkom – papierosom. Palili, walcząc z siarczystym mrozem, gdy na podjeździe zaparkował samochód, który przykuł ich uwagę. Subaru Impreza WRX na warszawskich blachach.

– Chciałabym chapnąć... – westchnęła.

Magda w swojej krótkiej złodziejskiej karierze skroiła dziesiątki starych volkswagenów, toyot, fiatów i daewoo. Umiała otworzyć i odpalić wszystko, co nie miało w sobie zbyt wiele elektroniki. Niebieskie subaru na razie stanowiło niedoścignione marzenie. Magda dopiero zaczynała się uczyć rozbrajać nowoczesne systemy zabezpieczeń.

– Wczoraj trzy razy wychodziliśmy jarać przed hotel. – Maciek mocno zaciągnął się papierosem. – Nie pamiętam tej bryczki.

Z auta wysiadł mężczyzna. Na oko mógł mieć czterdzieści pięć, może pięćdziesiąt lat. Miał olbrzymie zakola i gęste wąsy. Ubrany był w długie palto. Typ urzędasza, nie pasował do subaru. Otworzył bagażnik, rozejrzał się uważnie po parkingu i wyciągnął skórzaną teczkę zamykaną kodem. Minął ich ze spuszczoną głową i poszedł prosto do recepcji.

– Sam w pierwszy dzień świąt? Coś mi tu nie gra... – Magda zgasila papierosa, myśląc na głos.

– Może rodzina przyjechała dzień wcześniej, a on musiał jeszcze pracować?
– Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć. – Pewnym krokiem ruszyła do drzwi.

– Podsluchujemy? – spytał, w pośpiechu dogaszając fajkę.

Magda tylko skinęła głową.

– Opcja słodziaki – zakomunikowała, gdy weszli do środka.

„Opcja słodziaki” była jedną z form bezpiecznego podsłuchiwania w miejscach publicznych. Tak samo jak wiele innych, opanowali ją do perfekcji. Zdarzało im się podsłuchiwać rozmowy niczego nieświadomych właścicieli bogatych willi, które zamierzali okraść. W ten sposób wyłapywali informacje, kiedy cel będzie poza domem, jakie ma plany na wieczór i tym podobne. W hotelu było to dziecinnie proste. Wystarczyło stanąć kilka metrów przed recepcją i zacząć się czule obejmować. Poruszali ustami, niby coś do siebie szepcząc, a w rzeczywistości całą energię skupiali na mężczyźnie z teczką. Gość miał zarezerwowaną jedynekę na ostatnim piętrze. Na dwie noce. Za pobyt zapłacił gotówką, oprócz teczek nie przywiózł ze sobą żadnego bagażu. Zamówił sobie stolik na kolację w jadalni, po czym odebrał klucz.

– Naprawdę nie ma nic piękniejszego niż taka szczęśliwa para – powiedział stojący przy recepcji Gabriel, kiedy facet z teczką sobie poszedł. – Wiem, że to złe, ale wasz widok napawa mnie niezdrową zazdrością.

Rzucili mu na odchodne kilka frazesów w stylu „pana na pewno też trafi kiedyś strzała amora” i mieli go z głowy. W pokoju, zamiast dalej delectować się magią świątecznego wyjazdu, zaczęli łamać sobie głowy nad gościem z teczką.

– Facet przyjeżdża sam, bez bagaży, w pierwszy dzień świąt, ma wypasioną brykę i teczkę – podsumowała Magda. – Co to może oznaczać?

– Dragi, kasa, lichwiarz albo się przed kimś ukrywa. Cokolwiek tam trzyma, na pewno jest to cenne.

– Co robimy?

Magda chodziła zdenerwowana po pokoju. Nosiło ją, pojawiły się myśli o złotym strzale, robocie życia. Domek i dwójka dzieci znów były na tapecie. Maciek chwycił ją za rękę i przyciągnął na łóżko, żeby nieco uspokoić.

– Po co pytasz? – Objął jej twarz dłońmi. – Przecież oboje wiemy... Zasluzylismy na swiateczna niespodzianke.

Uśmiechnęła się w sposób, który sprawiał, że miękły mu nogi.

– Jeśli ma dragi, zostawiamy i dajemy sobie spokój. Jak są fanty, bierzemy i *au revoir*, górski pensjonacie. Masz ze sobą sprzęt?

Zamiast odpowiedzieć wypełnił jej usta swoim językiem. Podniecona myślą o akcji Magda zawsze smakowała niesamowicie. Adrenalina mieszała się ze strachem i ekscytacją. Pocałunek nakręcił również jego. Kochali się na dziko, co było ich tradycją przed każdą kradzieżą. Ostry, zwierzęcy seks pozwalał

rozładować napięcie. Poczynili przygotowania, ustalili plan i punktualnie o dziewiętnastej zeszli do jadalni.

Sympatyczna niczym piesek chihuahua kelnerka o imieniu Matylda, wyglądem przypominająca otyłą Niemkę, zdawała się lekko zawiedziona, gdy zamówili tylko colę i orzeszki. Pewnie liczyła na romantyczny, wykwintny posiłek i napiwek adekwatny do zamówienia. Niedoczekanie. Żłopali czarny gazowany napój, obserwując faceta z teczką. Siedział po drugiej stronie restauracji. Teczka leżała na krześle obok, jakby była jego towarzystwem przy posiłku. Jadalnia była pełna, w pierwszy dzień świąt zaczynało się ostre świętowanie. Całe rodziny siedziały przy stolikach, wlewając w siebie hektolitry alkoholu i zjadając tony potraw. Dzieciaki biegały między stolikami. Panował ogólny harmider. Czekali, aż Matylda zrealizuje zamówienie ich celu.

– Lane piwko, klasycznie do bólu – stwierdziła Magda. – Ja odwracam uwagę, ty sypiesz?

Pierwotny plan zakładał, że Magda podchodzi do stolika i korzystając z osobistego uroku, odwraca uwagę faceta. Na tę okazję włożyła nawet mini. W tym samym czasie Maciek wyspuje mu do drinka środek powodujący gorączkę i silne wymioty. Zamówione piwo zmieniło ich zamiary.

– Szkoda ryzykować. Pije browar. Gwarantuję ci, że nie wytrzyma do końca bez wizyty w kiblu.

Miał rację. Facet nie był w stanie opróżnić nawet połowy szklanki. Wstał i z teczką pod pachą podążył do łazienki. Maciek odczekał kilka sekund i poszedł w kierunku właściwego stolika. Zatrzymał się przy nim, wyciągnął komórkę, udając, że coś sprawdza. Zrobił to na wszelki wypadek, gdyby ktoś mu się przyglądał. Nie musiał, wszyscy goście byli zajęci sobą i świątecznymi dyskusjami. Magda obserwowała go z poziomu stolika. Wsadził rękę do marynarki i wyciągnął plastikową strzykawkę bez igły do podawania leków niemowlakom. Wlał dziesięć mililitrów do piwa i poszedł w stronę toalet. Środek był bezwonny i bezbarwny. Lider ekipy kupił go od jakiegoś Ruska. Nie wiedzieli, co to jest, ale kilka razy testowali. Magda wsypała go swojej matce i jej kochasiowi podczas przymusowego spotkania. Działał bez zarzutów.

– Załatwione. – Maciek wrócił z toalety. – Minąłem go w drzwiach. Z bliska wygląda okropnie. Jest blady jak śmierć.

Spojrzała na zegarek, udając, że nie słucha. Nigdy nie lubiła wiedzieć zbyt wiele o okradanych ludziach. Liczyły się tylko podstawy. Inwigilacja należała do innych członków ekipy. Każdy miał swoje zadania. Ona odpowiadała głównie za organizowanie samochodów, Maciek z kolei był mistrzem w otwieraniu zamków za pomocą wytrychów.

– Idziemy do naszego pokoju? – spytała.

W odpowiedzi jednym łykiem opróżnił szklankę z colą.

Czekali przeszło godzinę, zanim zdecydowali się wejść na najwyższe piętro pensjonatu, gdzie nocował ich cel. Przez dziurkę od klucza dostrzegli światło. Na korytarzach było pusto. Świąteczna kolacja trwała w najlepsze. Magda obserwowała swojego chłopaka. Wciąż nie mogła się nadziwić gracji, z jaką wyjmuje wytrychy, przymierza do zamka, ocenia, który będzie pasował. Zachowywał się jak prawdziwy magik.

– A jak się okaże, że zabrał teczkę ze sobą? – Nie mogła się powstrzymać. Musiała zapytać.

Maciek wsadził falowany srebrny wytrych w dziurkę od klucza.

– Kochanie, nie przesadzaj. – Zamknął jedno oko, drugim zajrzał w głąb dziurki. Cały czas mówili szeptem. – Przecież nie pójdzie rzygać z teczką. Bankowo położył ją na łóżku albo na fotelu.

Kilka szybkich ruchów wytrychem i drzwi stanęły otworem. Maciek dyskretnie wsadził głowę do środka, Magda pilnowała sytuacji na zewnątrz. Łazienka znajdowała się na lewo, przy samym wejściu. Drzwi były przymknięte, świeciło się w niej światło. Sądząc po odgłosach, rosyjski specyfik nadal działał bezbłędnie. Maciek dostrzegł teczkę, leżała na podłodze przy łóżku. Rzucił Magdzie triumfalne spojrzenie i podniósł kciuk. Odpowiedziała uśmiechem. Z gracją kobry atakującej przyszłą kolację dostał się do łóżka i ukradł teczkę. Wychodząc, zamknął drzwi wytrychem.

Dwie godziny później szampan w apartamencie małżeńskim lał się strumieniami. Zamówili cztery butelki. Jedną wypili, trzema uzupełnili wodę w wannie. Wspólna kąpiel w bąbelkach stanowiła puentę magicznych świąt. Polewali się szampanem niczym sportowcy po wejściu na podium. Krzykom, piskom i śmiechom nie było końca. Zachowywali się jak dzieci, które wreszcie dostały od rodziców pod choinkę wymarzone zabawki. Spontaniczna radość trwała długo. Oczywiście zadzwonili do ekipy pochwalić się świątecznym prezentem. Ci skradzione w Wigilię gadzety wycenili na marne piętnaście tysięcy. Nie umywały się do czterdziestu kawałków, które znaleźli w teczce.

– Powinniście częściej wyjeżdżać na urlop, a nie ciągle pracować! – krzyczała rozradowana Magda do komórki.

Satysfakcja była ogromna. Nie interesowało ich, do czego facet potrzebował tej kasy. To był jego problem. Oni zyskali gotówkę, która pozwoli im przeżyć uczciwie kilka miesięcy. Ewentualnie zainwestować ją w jakiś grubszy napad. Skok życia, domek, dwójka dzieci... Marzenie realniejsze niż kiedykolwiek wcześniej.

Nazajutrz, zgodnie z harmonogramem urlopu, zjedli śniadanie, spakowali się, po raz ostatni kochali się na gigantycznym łóżku i z zalem poszli wymeldować

się z pensjonatu. Czekali w kolejce, wielu gości wracało do domów w drugi dzień świąt. Czarną teczkę schowali głęboko w swojej walizce, forsę też. Od rana ani razu nie widzieli obrobionego przez siebie faceta. Rodzeństwo z recepcji też nie wspominało nic o tym, by ktoś zgłosił kradzież. Za to wciąż zachwycali się najpiękniejszą parą świąt.

– Jakaż szkoda, że musicie nasz, opuszczać – lamentował Gabriel, od którego pieprzenia Magdzie zbierało się na mdłości.

– Pamiętajcie o nas, zwłaszcza gdy będziecie się zastanawiać, gdzie spędzić miesiąc miodowy. – Siostrzyczka nie chciała być gorsza. – Organizujemy również wesela.

Zgodnie potwierdzili, że bardzo chętnie wrócą w to urocze miejsce.

– Szkoda, że więcej tu nie przyjedziemy... – Magda z żalem spojrzała we wsteczne lustro i po raz ostatni zerknęła na bramę prowadzącą do Pensjonatu pod Świerkiem. Znała zasadę: nigdy nie wracaj do miejsca, w którym pracowałaś. – Było tak pięknie...

Maciek rozsiadł się wygodnie w fotelu pasażera, zapiął pasy i położył dłoń na jej udzie.

– Jest wiele pięknych miejsc, w których możemy zbudować szczęśliwe wspomnienia – powiedział na pocieszenie, widząc, że jego dziewczyna naprawdę się zasmuciła. Podziałało, Magda przejechała palcami po jego dłoni. – Najważniejsze, że mamy siebie i czterdzieści wigilijnych kawałków – dodał z przekorą. – Kocham cię, Madziu.

– Ja ciebie też, skarbie, to były najlepsze święta w moim życiu. – Uśmiechnęła się i mocniej wcisnęła gaz, prowadząc samochód w kierunku ich wielkomiejskiej codzienności, która wkrótce miała się odmienić.

Ciężko zmęczony mężczyzna wyszedł z łazienki po wielogodzinnych torturach. O ile wcześniej czuł się tak, jakby jego żołądek zmienił się w nieustannie tryskający gejzer, to gdy tylko zobaczył, że w pokoju nie ma teczki, miejsce gejzera zajął eksplodujący wulkan. Choć zdawało mu się, że nie ma już czym wymiotować, zwrócił biały płyn wprost na dywan. Ciśnienie mu podskoczyło, głowa zawirowała niczym w kołowrotku. W panice przeszukał cały pokój. Dwukrotnie zajrzał pod łóżko, sprawdził wszystkie półki, a nawet lodówkę. W ten sposób oszukiwał samego siebie, bo dokładnie pamiętał, gdzie zostawił teczkę. Drzwi nadal były zamknięte na klucz, a przecież teczka sama nigdzie nie poszła! Wnet pożałował, że nie zna się na nowinkach technologicznych. Mógł przecież zostawić w teczce jakiś nadajnik GPS albo coś takiego. Roztrzęsiony wypił

malutką buteleczkę czystej, która znajdowała się w lodówce. Szczeniaczek zalał wzburzony wulkan, uspokoił głowę i pomógł się wreszcie skupić. Mężczyzna przemyślał swoją sytuację. Wyglądało na to, że jednak ktoś musiał go okraść. Ale przecież drzwi były zamknięte! Po piwie poczuł się fatalnie. „Grypa żołądkowa, musiałem zarazić się od brata na Wigilii, – zawyrokował. W ogóle nie powinien iść wczoraj na Wigilię, ale żona nalegała, żeby zachowali niezbędne pozory... Końcówkę pobytu w jadalni pamiętał jak przez mgłę. Odleciał w gorączce. Może tylko wydawało mu się, że zostawił teczkę na podłodze w pokoju?

Całą noc i rano poświęcił na poszukiwania swojej zguby. W ogóle nie spał. Był zdeterminowany, od zawartości teczek zależało wszystko. Najpierw poszedł do jadalni, goście dawno wyszli, została jedna kelnerka. Dla niepoznaki zamówił espresso i zaczął krążyć między stolikami. Zaczął od swojego, pamiętał, że trzymał teczkę na krześle, później poszedł do łazienki, po powrocie skończył piwo, gejzer w żołądku zaczął wybuchać, a jemu urwał się film. Dla pewności sprawdził łazienkę, pokręcił się koło baru i poszedł do recepcji. „Może ktoś z obsługi ją znalazł?” – pomyślał z nadzieją. Nie chciał pytać bezpośrednio, więc zrobił krótkie podchody. Nawiązał niezobowiązującą rozmowę z właścicielką i rzucił niby przypadkiem:

– Podczas takich dni ludzie muszą gubić dużo rzeczy, prawda?

Liczył, że ta durnie uśmiechnięta babka się wygada, tymczasem ona odpowiedziała tylko:

– Wbrew pozorom nie. Zdziwi się pan, ale ostatnimi czasy ludzie bardzo pilnują swoich rzeczy.

Sam nie mógł zgłosić zaginięcia. Zdesperowany szukał dalej. Pogodził się z faktem, że w gorączkowym zwidzie zostawił gdzieś teczkę i ktoś ją ukradł. Dyskretnie przeszukał kosze na śmieci w całym pensjonacie. Chodził po pobliskim lesie. Dotarł nawet do miasteczka, gdzie szukał zguby wśród ludzi i też zerkał do śmietników. Przed południem wrócił do hotelu. Część gości już wyjechała, sprzątaczkę zaczęły doprowadzanie pokoi do porządku. Kręcił się przy nich, zaglądając do kolejnych pokoi. W ten sposób udało mu się przeszukać ponad połowę. Liczył, że złodziej wzięł zawartość, ale zostawił samą teczkę, a wtedy on zdobędzie w recepcji namiar na rabusia, zadzwoni i powie, do czego potrzebuje pieniędzy. Może złodziej zmięknie, gdy mu obieca, że nie wezwie policji... Niestety wciąż nic, teczka zniknęła.

Gdy zbliżała się dwunasta, zrezygnowany wrócił do swojego pokoju. Usiadł ciężko na łóżku, czekając na telefon. Zadzwonił w samo południe.

– Masz? – spytał oschły męski głos po drugiej stronie.

– Miałem... – odparł, przetykając ślinę kłującą niczym kolce kaktusa. – Ktoś mi ukradł. Potrzebuję więcej czasu.

– Przykro mi, nie tak się umawialiśmy. – Głos nie zdradzał cienia emocji. –

Miałeś zostawić kasę w lesie pod pensjonatem punktualnie o dwunastej dwadzieścia.

– Błagam! – Mężczyzna podskoczył na równe nogi. – Miałem forszę, mówię prawdę, przysięgam! Zdobędę nową, tylko daj mi jeszcze trochę czasu!

– Za późno. Nie mogę niańczyć małolaty w nieskończoność.

Ze słuchawki wydobyły się najbardziej przerażające dźwięki, jakie kiedykolwiek słyszał. „Nie! Zostaw mnie! Niiiii! Tatusiu, na pomoc! Zapłać mu! Nie, ja chcę żyć!” Potem padł strzał i połączenie zostało przerwane.

Mężczyzna w głowie słyszał jedynie krzyki swojej córki. Całkowicie wyłączył myślenie. Poszedł do samochodu, z bagażnika wziął gruby sznur, schował go pod płaszcz i wrócił do pokoju. Po drodze zdawał się nie zauważać mijanych ludzi, traktował ich jak powietrze. Ogólna radość panująca dookoła sprawiała obrzydliwe wrażenie. Jedyne, czego chciał, to uciec. Ściągnął żyrandol z sufitu, upewnił się, że hak, na którym wisiał, jest solidny. Przywiązał do niego sznur, wszedł na krzesło i oplótł linę wokół własnej szyi. Zeskoczył z krzesła, kończąc swoje ostatnie święta.

JOLANTA KOSOWSKA

Restart

– Kupiłeś już coś Damianowi pod choinkę? – Głos mamy przeplatał się z szumem fal i krzykiem morskiego ptactwa. U nich w grudniu jest pełnia lata. Zwykle dzwoni do mnie, siedząc na brzegu oceanu. Ponoć tylko tam ma dobry zasięg. – My kupiliśmy Damianowi na Amazonie narty, ocieplacz, kask, kijki, gogle, rękawice. Pewnie paczka dotrze do was już jutro. Dla ciebie też jest drobiazg. Nowy ocieplacz – mówiła pogodnie. – Rodzice Adama zarezerwowali wam miejsce w pensjonacie u swoich znajomych. Ponoć to niedaleko od Zakopanego. Gdzieś tam znajdziecie szkółkę narciarską. Czas, żeby Damian zaczął jeździć na nartach. Poszuszecie, pobędziecie wśród ludzi, odpoczniecie... Będziecie mieli cudowne święta!

„Cudowne święta” – powtórzyłam w myślach. Cóż moja mama może wiedzieć o naszych świętach? W zeszłym roku też nic z nich nie rozumiała. Zadzwoiła w nocy, parę godzin po Wigilii, bo pomyliły jej się strefy czasowe. Obudziła nas w środku nocy, kiedy nareszcie udało nam się zasnąć.

– Cieszcie się z choinki! – krzyczała podekscytowana do telefonu. – Bóg się rodzi. Wszystko zaczyna się od nowa! Dla was również. Wszystko da się zapomnieć.

Minął rok, a ja tkwiłam w tym nadal. Jakoś nic nie zaczęło się od nowa i niczego nie dało się zapomnieć. Ludzie są mniej lub bardziej popaprani. Nie są w stanie zrozumieć samych siebie, a co dopiero wejść w skórę innych. Do tych bardziej popaprzanych należy moja matka. Odkąd mieszka za oceanem, stała się bardziej amerykańska od wszystkich Amerykanów, jeszcze bardziej *happy* od nich.

– *Don't worry, be happy*, córeczko! Życie jest krótkie i biegnie dalej. Zrestartuj swoje życie! Czas zacząć wszystko od nowa.

Minął rok, a mnie nie udało się niczego zrestartować. Zabrakło mi sił, możliwości, czasu, chęci... A może po prostu było na to jeszcze za wcześnie i za

smutno. A teraz znowu zbliżały się święta, przeklęty czas, który boli bardziej niż każdy inny. Wszystkie święta są beznadziejne, ale najgorsze jest Boże Narodzenie. Wydobywa z pamięci szczegóły, ulotne chwile, niespełnione marzenia i zawiedzione oczekiwania. Zmusza do wspomnień, konfrontuje szczęśliwą, ciepłą przeszłość z byle jaką, obojętną terażniejszością.

Przed rokiem przepłakałam całe święta. Teraz zbliżały się znowu. Wyglądały już z witryn sklepowych, miały ciepłym blaskiem choinki i wszechobecnymi kolędami, jarmarkami bożonarodzeniowymi i grzanym winem. Oszukiwały złudną obietnicą nadziei i radości. W tym roku wyjadę z Damianem. Może i dobrze, nie chcę nigdy więcej przeżyć takich świąt, jak te w ubiegłym roku! Wszystkie ubiegłoroczne świąteczne dni zlały mi się w pamięci w jeden przeciągły szloch, rozpacz, ból głowy, poczucie beznadziei. Człowiek jest genialny, potrafi wymyślić pigułki na ludzkie nieszczęście. Leki miały pomóc, może i pomogły, bo zmieniły rozpacz w obojętność, a ostry ból w schorzenie przewlekłe, spowodowały, że gwałtowny pożar przeszedł w pełzające po zgliszczach ogniki, a później w snujące się gdzieś pasma szarego dymu. Z czasem żar wygasł zupełnie, a nad pogorzeliem sporadycznie unosił się tylko zapach spalenizny. Genialne są te antydepresanty... Zapewne ktoś kiedyś dostał za ich odkrycie Nobla. To one spowodowały, że udało mi przeżyć bez Adama tamte święta i wszystkie kolejne miesiące tego roku.

Było to pierwsze Boże Narodzenie bez niego. Jedna chwila zmieniła nasze szczęśliwe, pełne marzeń i celów życie w szarą, pozbawioną sensu egzystencję. Adam zginął w wypadku samochodowym. Stało się to wczesną jesienią ubiegłego roku. Nigdy nie zapomnę tamtego październikowego dnia. Pewnie już na zawsze październik będzie mi się kojarzył z piskiem opon i głuchym odgłosem zgniatanej karoserii. Wracaliśmy we trójkę – Adam, Damian i ja – z weekendu nad morzem. W aucie wydawało mi się, że nadal słyszę szum morskich fal i krzyk ptactwa, czuję na twarzy lekką morską bryzę. Byłam cudownie zmęczona. Jeszcze tego dnia rano spacerowaliśmy po plaży. Pomiędzy nadbiegającymi falami rysowaliśmy na mokrym piasku zwierzęta – konia, psa, kota, hipopotama, żyrafę... Jeszcze jedno, i jeszcze jedno. Raz Damian, raz Adam, raz ja. Damian uganiał się bosy za mewami po plaży. Ptaszyska wzbijały się ku niebu w pogoni za każdym kawałkiem rzucanego im przez nas chleba.

Po południu ruszyliśmy w drogę powrotną do domu. To był cudowny jesienny dzień. Jeden z tych podarowanych jesieni przez odchodzące lato. Niebo było błękitne, drzewa mieniły się całą gamą ciepłych kolorów, podmuchy ciepłego wiatru unosiły pojedyncze liście. Złote listki brzozy wirowały i tańczyły tuż nad drogą. Przekrzykiwaliśmy się, śpiewając o zającu, który siedział na kołku na środku morza. Każde z nas śpiewało po swojemu. Najgłośniejszy był Damian. Właśnie mieliśmy wyprzedzić jadącą przed nami furmankę, kiedy niespodziewanie

jakiś motocyklista wyjechał z bocznej drogi. Adam odbił kierownicą. Samochód wpadł w poślizg i zaczął tańczyć po wąskiej szosie. Nosiło nas raz w jedną, raz w drugą stronę, od jednego do drugiego pobocza, od jednego do drugiego rzędu drzew rosnących przy wąskiej drodze.

– Uważaj na Damiana!

Krzyk Adama zlał się z hukiem zgniatanej karoserii. Samochód uderzył w przydrożne drzewo. Odbił się od niego i stanął pośrodku jezdni jakieś dwadzieścia metrów dalej. Nagle zapanowała cisza. W tej ciszy słyszałam ptaki pogwizdujące w oddali, krzyk woźnicy tamtej mijanej przez nas furmanki, turkot kół wozu po drodze, miarowy dźwięk końskich podków po asfalcie... Na krótką chwilę mój mózg zamarł w przerażeniu i bezwiednie rejestrował tylko dźwięki. Nam z Damianem nic się nie stało. Adam doznał urazu głowy. Kiedy samochód się zatrzymał, on był już nieprzytomny. Zmarł w drodze do szpitala. W moich uszach pozostał tamten krzyk: „Uważaj na Damiana!”. Ostatnie słowa – jak swoiste pożegnanie. Słowa, które towarzyszą mi w dzień, wracają w nocy. To przecież jasne, że uważam na Damiana. Uważałam, uważam i będę uważać. Jak mogłoby być inaczej! Damian był, jest i będzie zawsze najważniejszy. Adam odszedł na zawsze, a ja zostałam sama z Damianem.

Pamiętam stary wiejski cmentarz położony na nadmorskich wydmach, obok niego mały drewniany kościółek, dziesiątki mniej lub bardziej obcych mi ludzi, którzy próbowali zrozumieć mój ból. Padło mnóstwo słów, które nie miały żadnego znaczenia, które potęgowały tylko rozpacz i cierpienie. Nie miałam siły słuchać nikogo i niczego. Stałam, trzymałam Damiana za rękę i patrzyłam na morze. Tego dnia niebo nie było już letnie. Ciemne, stalowe chmury raz po raz przysłaniały słońce. Porywisty wiatr bił w twarz drobinami piachu, rzeźbił pustynne krajobrazy na plaży. Na wzburzonej powierzchni morza pojawiały się białe grzywy fal. Na jednej z tych fal usiadło stado ptaków. To dziwne, że w takim momencie moje zmysły zapamiętały to wszystko. W środku czułam pustkę, moje myśli przesuwały się coraz wolniej i wolniej, z zewnątrz docierały do mnie nic nieznaczące bzdury. Mój mózg się bronił. Przeszedł na tryb awaryjny. Nie chciał się poddać rozpacz.

– Niezbadane są wyroki Boże. Nam, ludziom, trudno je zrozumieć. Nie nam je oceniać. – Słowa kapłana dochodziły do mnie jak z zaświatów. – Adam żegna się z Agatą i Damianem. Powierza ich naszemu wsparciu i naszej modlitwie... Niezbadane są wyroki Boże. Nam, maluczkim, trudno je zrozumieć. Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie...

„Niezbadane są wyroki Boże – powtarzałam w myślach – nam, ludziom, trudno je zrozumieć, nie nam je oceniać”. A we mnie była już tylko pustka, jakby nagle wypaliło się wszystko, jakby zostały tylko ruiny i zgliszcza. Nic. Pod powiekami miałam widok wzburzonego, groźnego morza, w uszach szum fal i rozdzierający krzyk mew szybujących ponad wydmami. Nagle po prostu nic –

i z tym „nic” musiałam nadal żyć dla Damiana.

– Chodźmy stąd, mamo – usłyszałam szept Damiana. – Zimno tu. Tato na pewno czeka już na nas w domu.

Ja też już chciałam tylko pojechać do domu, zasłonić okna, usiąść na łóżku, przytulić Damiana i zasnąć. Zostaliśmy sami. Nie było już Adama. Nasz bezpieczny pojazd na trzech kołach stał się nagle mniej pewnym jednośladem. Musieliśmy nasz świat zacząć budować od nowa. Początkowo wydawało mi się, że to tylko sen, że któregoś dnia się obudzę i ten koszmar minie. Było trochę tak, jakby Adam wyjechał do pracy. W końcu wyjeżdżał często, pracował daleko od domu, bywało, że nie widzieliśmy się przez parę tygodni. Przywykliśmy z Damianem do tego, że zostawialiśmy sami. Ale tym razem było inaczej. Mijały kolejne dni, które układały się w tygodnie. Tygodnie zaczęły układać się w miesiące, z miesięcy zrobił się rok, a Adam nie wracał. Z dnia na dzień tęskniliśmy za nim coraz bardziej.

– Coś tato nie dzwoni... – powiedział kiedyś Damian, bawiąc się klockami.

– Dzwonił niedawno – skłamałam. Nie stać mnie było na prawdę. Damian był na pogrzebie i nic nie zrozumiał. Nie miałam pojęcia, jak należy rozmawiać z pięcioletkiem o przemijaniu, umieraniu i śmierci. – Już spałeś... – dodałam po chwili.

– Tato obiecał mi kupić zamek z klocków Lego...

– Skoro obiecał, to kupi. – Chciałam, żeby zabrzmiało beztrąsko.

– To było już dawno.

– Przypomnę mu, kiedy zadzwoni.

Kupiłam Damianowi ten zamek. Pudło wstawiłam do jego pokoju. Powiedziałam, że tata przysłał pocztą. Uwierzył. Ucieszył się. Przez parę wieczorów budowaliśmy olbrzymie średniowieczne zamczysko ze zwodzonym mostem i fosą, wieżą, więzieniem, skarbem i duchami. Składaliśmy konie i rycerzy. Zakładaliśmy pułapki na wrogów.

– Spieszmy się! – pogaśniał mnie Damian. – Tato niedługo przyjedzie... Zamek musi być wtedy już gotowy.

Każdego dnia wieczorem poprawiał ten zamek. Przesztawiał rycerzy. Podnosił most. Zamykał skrzynie z talarami w skarbcu.

– Może zaprosimy do nas Marka? Pobawicie się zamkiem – zapytałam kiedyś.

– Nie. Nie teraz. Najpierw tata musi go zobaczyć.

Coś ścisnęło mnie w gardle. Serce zabiło jak szalone. Pod powiekami poczułam łzy. Co ja wyprawiam, do jasnej cholery? Brnę w jakieś gówno. Z dnia na dzień jest tylko gorzej. Miał zapomnieć, a pamięta coraz bardziej. Mijały dni. Zamek pokrył się kurzem. Przestał budzić emocje. Zapomniany wylądował na szafie.

„Tak jest lepiej – myślałam – nie wiem, jak powiedzieć Damianowi prawdę”. Był na pogrzebie i nie zrozumiał, patrzył, ale nie widział. Tłumaczyła mu babcia, a on i tak chciał jechać do domu, bo wierzył, że tam czekał na niego tata. Pomyślałam, że wszystko oddali się przyćmione mnóstwem nowych wydarzeń i Damian zapomni. Bezboleśnie przejdzie z faktu, że tato jest, do faktu, że tato był i gdzie się zapodział po drodze. A może w ogóle o nim zapomni? Ale Damian jakoś nie chciał zapomnieć.

– Tato do nas nie przyjeżdża – powiedział któregoś dnia, próbując kolejny już raz zmierzyć się z zapinaniem butów. Kiedyś Adam mu przy tym pomagał.

– Przyjedzie – skłamałam.

– Kiedy?

– Nie wiem. Nie mówił. Ma dużo pracy.

Damian wstał z podłogi. Zaczął energicznie upychać w plecaku rzeczy do przedszkola.

– Może on nas nie kocha? – zapytał niespodziewanie, wciskając czerwone autko.

– Kocha – powiedziałam pospiesznie.

– Skąd wiesz? – dopytywał.

– Ciebie nie można nie kochać.

„To była prawda – pomyślałam – nie nałgałam”. Tylko czas się zmienił na przeszły. Tamten krzyk zamieszkał na stałe w mojej pamięci: „Uważaj na Damiana!”. Dla Adama zawsze Damian był najważniejszy.

Obojgu było nam ciężko. Każdemu z nas po swojemu. Ja rzuciłam się w wir pracy. Potrzebowaliśmy pieniędzy. Banki są bezlitosne. Kredyt wzięty na mieszkanie trzeba spłacać. Pracowałam w biurze, brałam zlecenia do domu, robiłam projekty, pisałam opinie. Damiana z przedszkola odbierała niania. Spędzałam z panią Wandą całe popołudnia. Wieczorami byliśmy razem. Staralam się zawsze, żeby weekendy były tylko dla nas. Od paru tygodni miałam dla Damiana jeszcze mniej czasu. Do połowy grudnia trzeba było zakończyć pracę nad projektem. Harowaliśmy jak szaleni. Czas kurczył się niebezpiecznie. Zostawałam w biurze po godzinach, pracowałam wieczorami w domu. Często kładłam się spać nad ranem. Zdążyliśmy. Dzisiaj projekt został przyjęty. Kiedy zadzwoniła moja mama, właśnie szliśmy całym zespołem na kolację. Było już bardzo późno, gdy przyszedłam do pani Wandy odebrać Damiana.

– Wejdz! – zaprosiła mnie do środka. – Nie stój w progu! Jest już noc. Głos niesie się po całym korytarzu... – dodała, widząc moje wahanie.

– Dochodzi jedenasta – powiedziałam niepewnie. – Nie chciałabym przeszkadzać.

– Nie przeszkadzasz.

Posadziła mnie na kanapie. Podreptała do kuchni. Postawiła przede mną na

ławie szklanę z gorącą herbatą. Przyniosła konfitury malinowe, parę prażonych orzechów... Nie spieszyła się do rozmowy. Może i lepiej. Dała mi czas, żebym mogła ochłonąć. Jeszcze w głowie miałam gwar rozmów z tamtej restauracji, krew płynęła mi w naczyniach w takt jazzowej muzyki, a oczy piekły od papierosowego dymu. Raptem cisza, spokój, szklanka ciepłej herbaty, chwila na oddech. Czas nagle zwolnił. Zaczął płynąć wieczornie i leniwie. We mnie też wszystko zwolniło i przycichło. Myśli przestały galopować, a zaczęły płynąć zupełnie niespiesznie.

Na moment poczułam się u pani Wandy jak w domu. Znam ją od pięciu lat. Urodziłam Damiana, będąc na trzecim roku studiów. Już po miesiącu wróciłam na uczelnię. Dzieckiem opiekowała się właśnie ona. I tak już zostało. Dla Damiana pani Wanda należy do naszej rodziny. Jest kimś kochanym i bliskim. Myślę, że bardziej kochanym niż babcia. To ona odbiera go z przedszkola, zajmuje się nim popołudniami, opiekuje się nim, kiedy jest chory. Prowadzi go do ogniska muzycznego i na basen. Razem chodzą na spacer z psem i na plac zabaw. Ostatnio byli w kinie na *Pięknej i Bestii*. Bez pani Wandy nie dałabym rady, szczególnie teraz – po śmierci Adama.

– Damian śpi. – Głos pani Wandy dotarł do mnie jak z zaświatów. – Zostańcie u mnie na noc. Szkoda go budzić. Niedawno zasnął.

– Nie chciałam przeszkadzać – powiedziałam pod nosem

Bardzo chciałam zostać. Czulałam się coraz bardziej senna i zmęczona. Grudniowa noc za oknem straszyla przenikliwym chłodem i zimnym wiatrem. Z nieba na ziemię spadała marznąca mżawka. Wszystko pokryte było cienką warstewką lodu. Może to i dobry pomysł ten pensjonat niedaleko Zakopanego i narciarski wyjazd na święta?

– Nie chciałam przeszkadzać – powtórzyłam.

– Nie przeszkadzasz – zaprzeczyła kolejny raz pani Wanda. – Zostań... Jutro sobota. Pośpicie dłużej. Zrobię wam na śniadanie ulubione omlety Damiana – kusila.

Ruszyła już do swojej sypialni, ale raptem zatrzymała się w pół kroku.

– Muszę z tobą chwilę porozmawiać. – Jej słowa zabrzmiały dziwnie poważnie.

– Porozmawiać? – zapytałam zdziwiona. – Teraz? O czym?

– O tobie i Damianie. Martwię się o was.

– Nie ma powodu – przerwałam jej gwałtownie. Zabrzmiało niegrzecznie. Poczulałam się rozdrażniona. Nie cierpię współczucia, brzydzę się litością. – Radzimy sobie – dodałam łagodniej.

Ona sądziła inaczej. Mówiła, że z Damianem zaczyna się dziać coś złego. Twierdziła, że zauważono to w przedszkolu, w szkole muzycznej, na basenie... Według niej chłopiec zachowuje się inaczej. Jeszcze do niedawna był rozgadany i wesoły, usta mu się nie zamykały. Ostatnio coraz częściej milczy. Na pytania

odpowiada monosylabami. Nie chce rozmawiać. W przedszkolu ponoć stroni od innych dzieci. Najlepiej czuje się tylko sam ze sobą.

– On zaczyna żyć w swoim świecie – dokończyła pani Wanda. – Nie zauważyłaś tego?

„Nie zauważyłam” – pomyślałam przerażona. Przez ostatnie tygodnie odbierałam go od pani Wandy tuż przed ósmą. Szliśmy szybkim krokiem do domu. Oboje byliśmy za bardzo zmęczeni, żeby próbować rozmawiać. Pospieszenie szykowałam kolację. Około dziewiątej Damian był już w łóżku. Włączałam mu cicho bajkę na dobranoc. On zasypiał, a ja w pokoju obok pracowałam często prawie do rana. Niczego nie dostrzegłam. A miałam uważać na Damiana. Długo nie mogłam zasnąć. Przewracałam się z boku na bok. Patrzyłam na śpiącego tuż obok mnie synka. Schrzaniłam to wszystko! Pomieszały mi się priorytety. Zasnęłam z myślą, że już za parę dni święta. Nagle zaczęłam marzyć o tym wyjeździe w góry. Pojedziemy do położonego na uboczu pensjonatu, pojeździmy na nartach, nacieszymy się śniegiem, ulepimy bałwana, stoczmy bitwy na śnieżki, nacieszymy się choinką... Będziemy mieli prawdziwe święta. Nie spędzimy ich sami. Odbudujemy i naprawimy wszystko.

Zasnęłam. Obudził mnie cichy szept Damiana. Chłopczyk siedział na podłodze przy łóżku i szeptał psu do ucha.

– Wiesz, Ares, może ze mną nie jest jeszcze tak najgorzej. Dzisiaj spała ze mną moja mama. Ona mnie kocha. Tylko tato przestał mnie kochać. Pewnie musiałem zrobić coś złego, coś paskudnego. Jak myślisz, Ares, czy jak się poprawię, to on mnie znowu pokocha?...

Słyszałam szept Damiana, widziałam, jak tuli się do rudego cocker spaniela pani Wandy, i czułam łzy pod powiekami. Świat wirował. W uszach słyszałam bicie własnego serca. „Niech to diabli! – pomyślałam przerażona. – Schrzaniłam wszystko”.

– Pomogę ci – powiedziała niespodziewanie pani Wanda, nakładając mi na talerz potężnego omleta. – Pojedziemy tam razem... Zobaczysz, wszystko będzie dobrze...

Padął pierwszy śnieg. Drobne płatki wirowały w powietrzu. Świat wokół wydawał się cichy i spokojny, jakby nagle ten padający puch stłumił wszystkie dźwięki. Nie było słychać huku fal, tylko cichy plusk dobijającej do brzegów wody. Ptaszyska spacerowały leniwie po plaży. Powierzchnia morza wyglądała jak srebrna tafla ciągnąca się spod naszych stóp aż po horyzont.

– Dokąd idziemy? – spytał Damian.

– Na cmentarz...

Nie dopytywał więcej. Może sobie coś przypomniał, a może było mu wszystko jedno. Damian i pani Wanda poszli przodem. Ja wlokłam się za nimi noga za nogą. Nie miałam siły się spieszyć. Ares poszczekiwał radośnie, biegając

od nich do mnie i z powrotem. W końcu wybrał ich towarzystwo. Oddalali się w szybkim tempie. Zostałam sama. Może i lepiej, bo jak na złość łyzy zaczęły się toczyć po moich policzkach i coś ścisnęło mnie za gardło. „Nie da się niczego zacząć od nowa – pomyślałam – kiedy wszystko jeszcze tak boli”. Ostatni raz byłam tutaj wczesną jesienią, w rocznicę śmierci Adama. Przyjechałam bez Damiana. Chciałam zmierzyć się sama z sobą. To był głupi pomysł. Nagle poczułam się jeszcze bardziej samotna. Moje życie wydało mi się puste i pozbawione sensu. Samochód postawiłam na parkingu przed wydymami. Padał deszcz, morze huczało jak szalone, olbrzymie fale podbiegały aż pod wydmy. Nim doszłam na cmentarz, byłam cała mokra. Krople deszczu mieszały się ze łzami. Stałam w deszczu i patrzyłam na nagrobek. Niekształtna bryła szarego granitu, na której obok imienia i nazwiska, daty urodzenia i śmierci widniał napis „A jednak wierzę, że to nie koniec, lecz początek drogi...”. Dzisiaj muszę o tym przekonać Damiana. Trudno przekonać kogoś do czegoś, w co samemu nie do końca się wierzy. Śnieg prószył coraz mocniej i mocniej. Plaża pokryła się cienką warstwą białego puchu. Ściana sosen wznosząca się ponad wydymami stała się zamglona i mało wyraźna. Zatrzymałam się na chwilę. Przysiadłam na pniu wyrzuconym przez morze. Patrzyłam, jak płatki śniegu topią się po zetknięciu z taflą wody. Bezmyślnie obserwowałam mewę, która usiadła na wodzie. Nagle zabrakło mi sił, żeby dojść na cmentarz.

– Mamo, nie idziesz na grób taty? – Głos Damiana z trudem przebił się do mojej świadomości. – Chodź, ulepimy małego bałwanka. Postawimy go tuż przy grobie. Będzie się tacie podobał. Znalazłem już dwa kamyki na oczy, nos zrobimy z szyszki...

Obok bałwanka pojawiły się na śniegu dwa pękate serca ułożone z sosnowych szyszek. To większe jest ponoć moje, to mniejsze Damiana.

– Musimy tu jeszcze przyjechać przed świętami. – Damianowi nie zamykały się usta. Szedł obok, trzymał mnie za rękę, drugą prowadził psa na smyczy. – Ciocia Wanda mówi, że można przystroić grób na święta. My w przedszkolu robimy takie małe drzewka. Moje przywiozę tacie...

Szedł, podskakiwał, opowiadał i nagle zaczęłam się bardzo cieszyć na święta i na nasz wyjazd w góry.

Boże Narodzenie zbliżało się wielkimi krokami. Były jasełka w przedszkolu, koncert świąteczny w szkole muzycznej, spotkanie wigilijne w pracy, kupowanie prezentów, ubieranie choinki... Zawieźliśmy Adamowi drzewko zrobione przez Damiana w przedszkolu. Ulepiliśmy trzy bałwanki trzymające się za ręce. Jeden był duży, drugi średni, trzeci mały.

– Jak tato, ty i ja – stwierdził Damian. – Bo my jesteśmy cały czas razem. Tato patrzy na nas z nieba i nadal nas kocha.

Tuż przed wyjazdem w góry pojechaliśmy do pani Wandy przełamać się

opłatkiem.

– Czas zacząć życie od nowa. Mieć nowe cele i marzenia – szepnęła mi do ucha. – Tego wam życzę. Ten wyjazd to może być wspaniały początek...

Zaczął się pechowo. Kiedy dobrnęliśmy do Zakopanego, było już zupełnie ciemno, temperatura spadła do minus czterech stopni, w radiu ostrzegano przed silnym wiatrem i zamiecią śnieżną. Damian zasnął na tylnym siedzeniu, a mnie ze zmęczenia trzęsły się nogi. Nigdy wcześniej nie przejechałam zimą tylu kilometrów. Wydawało mi się, że widzę tylko tumany śniegu wyrzucane spod kół jadących przede mną samochodów i odbicia świateł pojazdów sunących z naprzeciwka. Srebrny odbłask reflektorów na pokrytej lodem nawierzchni drażnił oczy. Do Zakopanego dotarłam śmiertelnie zmęczona. Byłam już bardzo blisko celu, ale nie mogłam odnaleźć drogi do tego naszego pensjonatu. GPS wariował. Moja mapa była za mało dokładna. Na stacji benzynowej tłumaczono mi długo i dokładnie, ale ja byłam tu pierwszy raz, więc i tak niewiele z tego rozumiałam. Wkrótce przestałam już wierzyć w to, że kiedykolwiek trafię do Pensjonatu pod Świerkiem.

– Może ma pani jakiś telefon? – mruknął mężczyzna przy kasie. – Zasięg jest, niech pani tam zadzwoni...

Wybrałam w komórce numer pensjonatu.

– Zaraz po was przyjadę. – Męski głos w słuchawce zabrzmiał przyjaźnie. – Poczekajcie na mnie na stacji benzynowej.

Przyjechał po nas Gabriel, właściciel pensjonatu. Śnieg padał coraz gęstszy. Ruszyłam za światłami samochodu mężczyzny. Wydawało mi się, że podążamy na koniec świata. Już dawno zjechaliśmy z głównej drogi. Teraz toczyliśmy się wolno jakąś polną drożyną, z dwóch stron ograniczoną zwałami śniegu. Jeden zakręt, później drugi i droga stała się jeszcze węższa. Szosa dochodziła do obszernej polany, pośrodku której stał pensjonat. Ciepły blask padający z okien wydawał się w środku tej głuszy czymś zaskakującym i tajemniczym. W oknach na parterze widać było światła choinki. Dziwne miejsce na te nasze święta wybrali dla nas rodzice Adama.

Gdy wstałam rano, słońce wisiało już wysoko na niebie. Dzień zapowiadał się słonecznie. Pogoda była wymarzona: lekki mróz, błękitne niebo, promienie roziskrzające śnieg milionami świetlnych refleksów, niebieskie cienie rzucone przez drzewa. W nocy dopadało śniegu. Na zabudowaniach, drzewach, ogrodzeniu pojawiły się wielkie śnieżne czapy. Z dachów zwisały długie sopele. Wyszliśmy na dwór jeszcze przed śniadaniem. Śnieg skrzypiał pod butami. „Wymarzony dzień na narty” – pomyślałam. To był idealny czas na narty, magiczne, zupełnie inne święta.

Wszystkie dni tego wyjazdu zlały się w mojej pamięci w jedno cudowne wspomnienie, pełne zapachu choinki, migotliwego blasku świec, wybornego kuligu, dźwięku dzwonek przy saniach, szalonych zjazdów na nartach, ciepłych

życzeń, uśmiechniętego Damiana... Wczesnym popołudniem wybraliśmy się na narty. Nazajutrz mieliśmy już wracać do domu. Stałam na stoku i czekałam na zjeżdżającego Damiana. Szło mu coraz lepiej. Parę dni pod okiem instruktora wystarczyło, żeby poczuł się pewnie na stoku. Patrzyłam, jak zbliża się do mnie.

Nagle tuż obok ktoś przejechał. Prawie się o mnie otarł.

– Czas zacząć wszystko od nowa! – usłyszałam. Głos wydał mi się znajomy.
– Uważaj tylko na Damiana. Damian jest najważniejszy!

Granatowy kombinezon, gogle na twarzy, kask na głowie, dziwnie znajome ruchy.

Adam?! Świat zawirował dookoła. Śnieg iskrzył się w promieniach słońca. Cienie drzew wydawały się jeszcze dłuższe i jeszcze bardziej niebieskie. Mężczyzna zatrzymał się jakieś pięćdziesiąt metrów dalej. Uniósł rękę. Zamachał do mnie. Odbił się kijkami i już po chwili zniknął mi z oczu.

– Spotkało mnie dzisiaj coś zaskakującego na stoku... – powiedziałam przy kolacji do Ewy, właścicielki pensjonatu.

Spojrzała na mnie z uśmiechem na twarzy. Położyła palec na ustach.

– Wiem, nie mów nic więcej. W święta dzieją się różne piękne rzeczy...

JOLANTA KOSOWSKA

Zaręczyny

Szlag by to trafił! Jeszcze dzisiaj rano miałem nadzieję, że to jakaś bzdura. Wczoraj kupowaliśmy z Laurą naszą pierwszą wspólną choinkę, pierwsze bombki, pierwsze lampki na drzewko... Mieszkanie pachniało nowością, świerkiem, cynamonem, skórką pomarańczową i wanilią. Tak bardzo się cieszyliśmy na nasze pierwsze wspólne święta. Miały być wyjątkowe.

W mojej kieszeni spoczywał pierścionek zaręczynowy kupiony przed paroma dniami. Już dawno nosiłem się z zamiarem kupienia go. Długo wybierałem, nie mogłem się zdecydować, stworzyłem z tego zakupu swoiste misterium. Chciałem, żeby był wyjątkowy, żeby Laura nosiła go zawsze. Kupiłem pierścionek, w którym dwa odcienie złota przeplatają się ze sobą i są uwieńczone koszyczkiem z krystalicznie czystym diamentem. Pierścionek jest elegancki, subtelny i delikatny. Będzie do niej pasował. Poleciałem wygrawerować napis „Laurze na zawsze – Stefan”. I nagle dzisiaj w jednej chwili to „na zawsze” szlag trafił! Usłyszałem diagnozę i nie miałem już siły wrócić do domu.

Ordynatora Wrońskiego znam od pięciu lat. To z nim przeszedłem przez istne piekło. Przed pięcioma laty rozpoznano u mnie nowotwór jądra. Zachorowałem tuż po zdaniu matury. Właśnie wypożyczyliśmy z kumplami łajbę i wybieraliśmy się na Mazury, kiedy nagle w moczu zobaczyłem krew. Przeprowadzono liczne badania i w ich wyniku postawiono tę przerażającą diagnozę, która nijak nie pasowała do atmosfery radości, luzu i wakacji. Niespodziewanie runął cały mój świat. W jednej chwili prysnęły wszystkie odważne marzenia, dobrze przemyślane plany i dalekosiężne cele. Ich miejsce zajęły: strach, rozpacz i terapia.

Przeszedłem przez operację, chemioterapię i radioterapię. Pamiętam zapłakanych rodziców, milczących przyjaciół, lekarzy uciekających w bok wzrokiem, psychologa klinicznego, który próbował do niedawna jeszcze pełnemu

radości życia dziewiętnastolatкови wytłumaczyć filozofię umierania i śmierci. Pamiętam wymioty po chemioterapii, poduszkę ciemną od włosów, które wypadły mi w ciągu jednej nocy, drzenie mięśni, przerażające uczucie duszności i ogarniającą mnie falę słabości. Pamiętam emocje: strach, rozpacz, złość, bunt, żal do całego świata i do Pana Boga.

Przeszedłem przez to wszystko, nie pokonało mnie to, przeżyłem. Widocznie śmierć nie była mi jeszcze wtedy pisana. Z czasem, tak samo jak chemioterapia, oddalił się gdzieś lęk. Mijały lata i nic się nie działo. Kolejnym kontrolom towarzyszyło coraz mniej emocji. Przestały mnie straszyć po nocach, budziły coraz mniejszy niepokój. Były coraz rzadsze, stały się rutyną. Niemal o wszystkim udało mi się zapomnieć. Myślałem, że to prezent od Pana Boga, że podarował mi drugą szansę na szczęśliwe życie. Poczuję się pewnie, uwierzyłem w swoje szczęście. Skończyłem studia, podjąłem pierwszą pracę, zakochałem się w Laurze, prawie zapomniałem o tamtej chorobie.

Właśnie meblowaliśmy wspólne mieszkanie, kiedy po raz pierwszy poczułem ból. Był ostry, szarpiący, pochodził z pachwiny. Zbagatelizowałem go, usprawiedliwiłem dźwiganiem ciężkiej szafy, odsunąłem od siebie, a po kilku dniach o nim zapomniałem. Parę tygodni później w moim moczu pojawiła się krew. Tego nie potrafiłem już zignorować. Przypomniałem sobie początek choroby. Zadzwoiłem do ordynatora Wrońskiego i umówiłem się z nim na kontrolę. Zaniepokoił się, zlecił mnóstwo badań, zdecydował o przeprowadzeniu pełnej diagnostyki.

Dzisiaj przed południem spotkaliśmy się, żeby porozmawiać o wynikach.

– Proszę usiąść, panie Stefanie – zabrzmiało, jak zawsze, przyjaźnie.

Posadził mnie przy małym stoliku w kącie gabinetu. Usiadł tuż obok. Spojrzał na mnie przelotnie i nagle przestał się spieszyć do tej naszej rozmowy. Przeniósł wzrok za okno. Przyglądał się płątkom śniegu wirującym za szybą.

– Nie jest mi łatwo pana o tym informować – odezwał się po chwili. – W wykonanych badaniach stwierdzono wznowę. Nowotwór nacieka cewkę moczową, w rezonansie widać przerzuty do węzłów chłonnych pachwinowych. Naciek jest stosunkowo nieduży, ale widać sporo powiększonych węzłów. Przerzutów odległych nie stwierdziliśmy... Tu przynajmniej jest dobrze. Nie znaleźliśmy niczego ani w płucach, ani w mózgu, ani w wątrobie...

On mówił, a ja serce poczułem w gardle. Szum w uszach zagłuszał jego słowa. „To nie może być prawda! To jakieś brednie! – pomyślałem przerażony. – On musiał się pomylić. Coś przeoczył, o czymś nie pomyślał, o czymś zapomniał albo coś źle zinterpretował. Pan Bóg by mi tego nie zrobił – powtarzałem w myślach. – Nie teraz, nie w tym momencie”.

– Musimy rozpocząć terapię. – Słowa lekarza docierały do mnie jak z zaświatów, z trudem przebijały się do mojej świadomości. Szum w głowie

zmienił się w huk wodospadu. Bezskutecznie próbowałem zaczerpnąć powietrza. Było mi duszno i mdło. Miałem wrażenie, że Wroński musi słyszeć głośnie bicie mojego serca.

Chyba rzeczywiście słyszał, bo spojrzał na mnie uważniej, zamilkł, wstał i otworzył szeroko okno. Do gabinetu wpadł podmuch chłodnego zimowego powietrza, a wraz z nim parę płatków śniegu.

Patrzyłem bezmyślnie na topniejące drobiny. Pomogło. Ten moment wystarczył. Świat przestał wirować. Huk w głowie ucichł. Nawet mój oddech stał się spokojniejszy.

– Wiem, że nie spodziewał się pan dzisiaj takich informacji – powiedział Wroński. – Nikt się takich wyników nie spodziewał – dodał. – W czasie ostatniej kontroli nie było żadnych niepokojących sygnałów. Od tamtej pory minęły zaledwie cztery miesiące. Obaj już odwykliśmy od złych wiadomości.

Słuchałem go w milczeniu.

Patrzył na mnie. Nie spuszczał wzroku z mojej twarzy. Zastanawiał się, czy może mówić dalej.

– Wczoraj przedstawiłem pana przypadek na konsylium onkologicznym. Wniosek był jednoznaczny: konieczne jest przeprowadzenie operacyjnego usunięcia wznowy i dotkniętych przerzutami węzłów chłonnych. Po operacji trzeba zastosować trzy cykle chemioterapii, a po nich naświetlania tych węzłów chłonnych, które wydają się teraz niezmienione... Tak na wszelki wypadek. Terapię rozpoczniemy zaraz po świętach... Istnieje duża szansa na zatrzymanie procesu... Być może nawet na całkowite wyleczenie. – Mówił matowym głosem, zacinął się co chwilę, przerwy pomiędzy zadaniami stawały się coraz dłuższe. Sprawiał wrażenie, jakby sam do końca w to nie wierzył. – Wyzaczyłem już termin pana operacji – dodał po chwili. – Przeprowadzimy ją tuż po świętach, dwudziestego siódmego grudnia...

– Muszę się zastanowić! – przerwałem mu gwałtownie.

– Zastanowić?

– Mam chyba prawo sam decydować o moim życiu. – Zabrzmiało to opryskliwie i niegrzecznie.

Zaskoczyłem go. Wyprostował się nagle, spiął w sobie, dziwny grymas przebiegł mu po twarzy.

– Na pana miejscu bym się nie zastanawiał – powiedział chłodno. Spojrzał na mnie przelotnie. Nasze oczy na moment się spotkały. To ja pierwszy uciekłem wzrokiem. – Im szybciej podejmiemy terapię, tym skuteczniejsza ona będzie – dodał. – Choroba wyprzedziła nas o parę kroków już na starcie. Nie ma na co czekać – mówił powoli, cedził każde słowo, chciał, żebyśmy te informacje, zrozumiał i zaakceptował.

W dupie miałem wszystko, co chciał mi jeszcze powiedzieć. To, co zdołał mi

przekazać, wystarczyło, żeby mnie powalić i zniszczyć, żeby kolejny raz z mojego życia zrobić gówno.

– Tę chorobę trzeba dopaść, zrównać się z nią i ją pokonać. – Jego głos docierał do mnie jak przez mgłę. – Nie ma sensu odkładać terapii. Każda chwila zwłoki zwiększa ryzyko porażki.

Skończył i czekał na odpowiedź, a ja nie miałem mu nic do powiedzenia. Bo co miałem powiedzieć? Że Pan Bóg znowu przestał mnie kochać? Że znowu, zupełnie bez przyczyny, spadły moje notowania u Boga?

– Zrozumiał pan to, co powiedziałem?

Nie rozumiałem. Nie chciałem rozumieć. Czuję pustkę w głowie. Chciałem wyjść stamtąd jak najprędzej, usiąść gdzieś spokojnie i spróbować skupić sparaliżowane lękiem myśli. Teraz było jeszcze gorzej niż przed laty. Wtedy byłem tylko ja, teraz moje życie od wielu miesięcy związane było z życiem Laury. Ta diagnoza zmieniała wszystko. Wroński raz po raz podnosił na mnie wzrok, a ja nie miałem ochoty na żadną dalszą rozmowę.

– Muszę to przemyśleć – powtórzyłem głośno.

Spojrzał na mnie uważniej. Wbił we mnie wzrok, jakby chciał mnie tym wzrokiem przeświecić na wylot.

– Tu nie ma o czym myśleć – powiedział dobitnie. – Wczoraj głowił się nad tym cały zespół specjalistów. Nie ma innej możliwości, żadnej alternatywy, żadnego innego rozwiązania. Nie można czekać na cud. Cuda zdarzają się rzadko, a jeszcze rzadziej dotyczą zwykłych ludzi.

– Muszę to przemyśleć... – powtórzyłem głośnie.

Wstałem gwałtownie. Potrąciłem stojące obok krzesło, które z hukiem runęło na kamienną posadzkę. Nawet się nie obejrzałem. Bałem się, że spróbuje mnie zatrzymać. Pospiesznym krokiem ruszyłem w stronę drzwi.

– Nie wiem, czy jestem gotów jeszcze raz przejść przez to wszystko – rzuciłem w przestrzeń. – Muszę się nad tym zastanowić. Zadzwonię, kiedy się zdecyduję.

Od rozmowy z Wrońskim minęło zaledwie pół godziny, a ja już wiedziałem, że do niego nie zadzwonię. W Google'u wpisałem hasło „późny nawrót choroby nowotworowej u pacjentów chorych na nowotwór jądra”. Statystyka jest bezlitosna. Pod pozornie nic nieznaczącym szeregiem suchych cyfr kryje się tak wiele: ludzkie cierpienie, okaleczenie i śmierć. Statystyka wszystko porządkuje i czyni prostym, zamienia rozpacz i poczucie beznadziei na procenty. Usłyszałem diagnozę, zobaczyłem dane statystyczne i nie miałem już siły wrócić do domu. Wroński opowiadał o możliwej terapii, o szansach i nadziejach, a we mnie wszystko raptem zamarło. Nagle świat podzielił się na to, co było przed godziną, i na to, co jest teraz. Dwa zupełnie inne życia i dwóch zupełnie innych Stefanów. W okamgnieniu wypaliło się we mnie wszystko, zostały ruiny i zgliszcza. Pustka

i szarość. Nic. Postanowiłem nie podejmować walki. Nie miałem siły jeszcze raz przez to przechodzić. Musiałem tylko coś zrobić z Laurą. Ona nie może mi towarzyszyć w drodze przez czekające mnie piekło. Bo niby dlaczego? W imię złe pojętej miłości? W Laurze jest tyle radości, ciepła i marzeń. Ja umrę, a ona zostanie sama. Sama z uczuciem porażki. Z pogodnej, radosnej, pełnej życia dziewczyny zmieni się w dojrzałą, zgorzkniałą, przybitą przez los kobietą.

Nagle przyszło mi na myśl, że to dobrze, że nie zdążyłem się jej jeszcze oświadczyć. Gdybym to zrobił, byłoby mi teraz dużo trudniej. Ponownie spojrziałem na statystyki. Nieleczony nawrót choroby kończy się śmiercią w przeciągu kilku miesięcy. Przeciętą przeżywalność to pół roku. Siedziałem w kawiarni, piłem kawę i zastanawiałem się, jak spędzić te moje ostatnie święta. „Wszystko jedno jak – pomyślałem – byle nie z Laurą”. Przypomniałem sobie o Pensjonacie pod Świerkiem. Spędziłem w nim parę tygodni przed pięcioma laty, tuż po chemioterapii. Pojechałem tam, żeby nabrać sił. Pamiętam Ewę i Gabriela, właścicieli pensjonatu. To ciepeli, taktowni i przyjaźni ludzie. O nic nie pytali i niczego nie chcieli wiedzieć. Wtedy, przed laty, wiało otuchą i optymizmem, teraz totalną klęską.

Nie pojechałem tam już nigdy później. Jakoś nie było okazji. Co roku otrzymuję od nich świąteczne kartki. W tym roku też już dostałem. Obok życzeń był krótki dopisek: „Odwiedź nas. Czekamy”. Nagle przyszło mi na myśl, że to dobry pomysł, że ten cichy, spokojny, położony na odludziu pensjonat będzie dobrym miejscem na te moje samotne ostatnie święta. Musiałem jeszcze tylko powiedzieć Laurze, że wyjeżdżam. To zadanie mnie przerosło. Nic nie przychodziło mi do głowy. Kolejny już raz próbowałem to sobie ułożyć po swojemu, kiedy odezwała się komórka. Dzwoniła Laura.

– Coś się stało? – zapytała. – Umieram z niepokoju. Gdzie jesteś? Mówiłeś, że będziesz dzisiaj wcześniej. Wróciłam, a w domu pusto...

– Miałem coś do załatwienia – mruknąłem pod nosem.

– Uff, to dobrze – ucieszyła się. – Miałam dziwne przeczucie, że stało się coś złego.

– Nie stało się nic złego – skłamałem.

– Pamiętaj, że mamy dzisiaj podjechać do Zośki? Jutro już Wigilia i zaczynają się święta – mówiła ciepło. – Obiecaliśmy pomóc jej przy ubieraniu choinki. Dokupiłam parę drobiazgów. Jej choinka będzie cudowna, podobna do naszej. Musimy jeszcze tylko po drodze kupić lampki. Zosia mówiła, że nigdy ich nie miała. Choinka bez lampek nie ma takiego uroku. Kupię jeszcze złoty łańcuch. Światło lampek odbite w złocie wygląda tak radośnie. Będzie miała Zośka w tym roku piękną choinkę na święta – paplała pogodnie, usta jej się nie zamykały, a ja z minuty na minutę czułem się coraz bardziej rozdrażniony. „Nic mnie dzisiaj nie obchodzą obcy ludzie – pomyślałem – i te ich głupie święta”.

– Nigdzie dzisiaj nie jadę – warknąłem do telefonu. – Jestem zmęczony – dodałem. – Mam jeszcze parę spraw na głowie. Nie wiem, kiedy dotrę do domu.

– Pojadę sama – przerwała mi pośpiesznie, próbując pod beztróskim tonem ukryć rozczarowanie.

– Jedź! – burknąłem. – Ja mam powyżej dziurek w nosie pomagania innym. Nie mam na to ani czasu, ani ochoty.

– O czym ty mówisz? – zapytała zaskoczona. – Przecież to Zosia. Od lat opiekujesz się Zochą... Od tamtego nieszczęśliwego wypadku. Bez ciebie nie dałaby rady.

– Może te parę lat już wystarczy? Nigdy nie mówiłem, że będę ją niańczył przez całe życie. Najwyższa pora, żeby nauczyła się radzić sobie sama – wypaliłem z premedytacją. Wiedziałem, że Laura bardzo lubi Zosię.

– Ugryzło cię coś? – Głos Laury zadrżał niebezpiecznie. – Coś ci się stało? Dlaczego mówisz takie brednie? Chcesz wszystko zepsuć? – dopytywała, coraz bliższa płaczu. – Co w ciebie wstąpiło? Chcesz nam zniszczyć święta?

– Święta, święta, w kółko święta – warknąłem. – Jakby nie było już na świecie żadnych innych tematów.

– Nic nie rozumiem, przecież cieszyłeś się na Boże Narodzenie – szepnęła.

Wiedziałem, że płacze. Mnie też coś ścisnęło za gardło. Atakowałem tych, których kocham. Niszczyłem coś, co było dla mnie najważniejsze na całym świecie. Robiłem to z premedytacją.

– Udawałem – brnąłem w te brednie. – Wszystkie kobiety kochają święta... A mnie one przytłaczają – mówiłem coraz głośniejszym głosem, nakręcałem się coraz bardziej. Chciałem i musiałem wywołać awanturę. Powtarzałem sobie w myślach, że cel uświęca środki.

– Naprawdę? – Nie mogła zrozumieć. – Nie chcesz świąt? A ja czułam i myślałam inaczej.

– Nie chcę! Święta to bzdura! Nikomu nie są do niczego potrzebne. Przerosły mnie. Mam je w dupie. Wyjeżdżam. Wrócę po świętach.

To Laura się rozłączyła. Ja zostałem z milczącym telefonem w dłoni. Jeszcze wczoraj kupowaliśmy choinkę. Ubraliśmy ją zaraz po powrocie do domu, bo chcieliśmy koniecznie zobaczyć, jak będzie wyglądać. Laura stała na palcach i wieszała bombki, wiązała cukierki, robiła z kolorowych słomek długie łańcuchy. W naszej kuchni piekły się ciasteczka. Ich zapach rozchodził się po całym domu. Mieszkanie pachniało świerkiem, cynamonem, wanilią i skórą pomarańczową. Pachniało tak, jak pachną święta. Jutro miało być na naszym stole dwanaście potraw i mieliśmy oglądać prezenty. Jutro miałem się oświadczyć w ciepłym blasku świec, miał być długi spacer zasypaną śniegiem plażą, karmienie morskiego ptactwa, pasterka w polowym kościele na wydmie...

Wymarzyliśmy i zaplanowaliśmy te święta w każdym najdrobniejszym

szczególe. To miało być nasze najpiękniejsze Boże Narodzenie. Po raz pierwszy w życiu czułem magię zbliżających się świąt i przed chwilą zdołałem ją zniszczyć. Nie wiem, jak długo włóczyłem się po ulicach miasta. Nie wiem nawet dokładnie, gdzie byłem. Nie miało to dla mnie żadnego znaczenia. Byle dalej, byle przed siebie, byle tylko nie musieć z nikim rozmawiać, nie myśleć o Laurze i o tym wszystkim. Wpadałem na przechodniów, przepraszałem automatycznie. Czułem ucisk w klatce piersiowej, szum w uszach, łzy pod powiekami, rozpacz i żal...

Wszystko spieprzyłem! „To nie ja – usprawiedliwiałem się po chwili – to głupi los wszystko zniszczył. Ja tylko chcę przed tym ochronić Laurę”. Nic nie mogło mnie uspokoić, nic nie mogło mi pomóc. Wsiadłem do samochodu i pojechałem do knajpy, w której upiłem się przed laty, kiedy usłyszałem po raz pierwszy o swojej chorobie. Od tamtego czasu minęło pięć lat. Wtedy wyciągnęli mnie z niej rodzice. Teraz znów było mi wszystko jedno. Chciałem choć na chwilę utopić żal w alkoholu. Knajpa była ponura, wszystko wydawało mi się obce i beznadziejne, szare, brudne i zadymione. Duchota i odór alkoholu w pierwszej chwili nie uspokajały, a wręcz przeszkadzały.

Usiadłem tuż przy barze. Drażniły mnie rozchichotane rozmowy młodych ludzi. Jakiś facet w końcu sali pobrzękiwał coś na pianinie. Pojedyncze dźwięki mieszały się z szumem rozmów. Zamówiłem setkę. Już po chwili trzymałem w ręku zroszony, zimny kieliszek. Opróżniłem go jednym haustem. Zaparło mi dech w piersiach. Odwykłem od smaku wódki. Później zamówiłem drugi, trzeci i kolejne kieliszki... Nic nie pomagało. W ręce cały czas ścisnąłem telefon. Wyjąłem z niego baterię, żebym w impulsie rozpaczony nie mógł od razu zadzwonić i żeby Laura nie mogła zadzwonić do mnie. Wyobraźnia malowała przed moimi oczami obrazy: Laura zaskoczona, przerażona, zapłakana, rozczarowana, zrozpaczona. Nigdy mi tego nie zapomni, nigdy mi nie wybaczy, nigdy nie zrozumie. Zachowałem się jak gnój, prostak i cham. Miałem ją chronić, a zraniłem. Nawet ta myśl, że rozstać się teraz jest lepiej niż zostawić ją później, niczego nie zmieniała.

Przestałem już liczyć kieliszki. Nic nie pomagało. Z minuty na minutę, z kieliszka na kieliszek czułem coraz większą rozpacz, coraz większy żal, coraz podlejszą pustkę, coraz mocniej ogarniającą mnie beznadziejność. Żalu do całego świata nie da się utopić w alkoholu. Wszystko mnie drażniło, z każdą chwilą mocniej. Nagle poczułem się źle w tej knajpie. Było tu za duszno, za głośno, za ciasno... Poczulem, że muszę stamtąd wyjść, że muszę natychmiast na zewnątrz... Wstałem gwałtownie, świat zawirował. Pijany... Jak dawno nie byłem pijany. Chwiejąc się na nogach, zapłaciłem rachunek i ruszyłem w kierunku drzwi.

Kelner wykrztusił z siebie dziwnie serdeczne „dziękuję”. „Pewnie zapłaciłem za dużo – pomyślałem – srał go pies, pieniądze do niczego nie będą mi już potrzebne”. Ktoś za moimi plecami powiedział, że wypiłem stanowczo za dużo,

że nie wytrzeźwieję do świąt. „I co z tego – pomyślałem – i tak w dupie mam te święta”. Wiedziałem, że się zataczam, nogi odmawiały mi posłuszeństwa, błędnik wariował, świat wirował i kręcił się wokół mnie. Przesadziłem, nie wytrzeźwieję do rana, nie dojadę przed wieczorem do pensjonatu. To prawie siedemset kilometrów.

Na dworze już od dawna było ciemno. Owiąło mnie ostre, mroźne powietrze. Przez moment poczułem się odrobinę lepiej. „Przynajmniej trochę chłodniej – pomyślałem – mniej duszno, nie tak głośno”. Ciekawe: czy moje komórki nowotworowe też są pijane? Nigdy się nad tym wcześniej nie zastanawiałem. Ciekawe: czy pijane dają przerzuty wcześniej, czy później od tych trzeźwych? W świetle latarni zobaczyłem mój samochód. Próbowałem do niego dojść. Potknąłem się, cały świat zatańczył. W ostatniej chwili udało mi się podeprzeć ręką. Jeszcze moment, a wylądowałbym twarzą w zamarzającym powoli błocie. Wyprostowałem się z wysiłkiem, ubłoconą rękę wytarłem odruchowo w spodnie. W kieszeni poczułem pudełko z zaręczynowym pierścieniem. „Laurze na zawsze – Stefan”. Ładne mi „na zawsze”, jak już dzisiaj wszystko szlag trafił.

Z trudem utrzymywałem pion. Gdzieś po przytłumionych alkoholem zakamarkach mojej świadomości błąkała się myśl, że może lepiej nie jechać do tego pensjonatu, może lepiej będzie od razu ze sobą skończyć? Bez durnowatych psychicznych dylematów i tych cholernych świąt? Pomysł wydał mi się prosty i genialny. Właśnie znowu zaczął prószyć śnieg. Jego płatki wirowały radośnie w świetle starych gazowych latarni. Po raz pierwszy pocałowałem Laurę w ubiegłym roku zimą. Wtedy też, tak jak dzisiaj, prószył śnieg. Pamiętam płatki śniegu na jej włosach, ciepło jej dłoni, nieśmiałość jej ust, cichy szept: „Niech tak jak dzisiaj będzie już zawsze”. „Zawsze” – głupie słowo klucz, które wraca i wraca bez końca. Nic w życiu nie jest na zawsze. Zszedłem nagle na jezdnię prosto pod koła nadjeżdżającej taksówki. Kierowca odbił w ostatniej chwili. Fala zmarzniętego błota zmieszanego z wodą z kałuży oblała mnie od stóp do głów. Taksówkarz wyskoczył z samochodu jak oparzony.

– Kretyn! Pijany jak bela bęcwał! Skąd się biorą na świecie tacy idioci? – wrzeszczał. – Jakim prawem, człowieku, chcesz mi zepsuć święta?!

Krzyczał coś jeszcze o bezmyślnych, pozbawionych wyobraźni pijanych palantach, którzy innych narażają na śmierć. Dotarły do mnie jego słowa. Przebiły się jakimś cudem do resztek świadomości. Widocznie nie wszystkie moje komórki mózgowo były w tym samym stopniu upojenia. Niektóre z nich zachowały jeszcze odrobinę swoich możliwości. Przeprosiłem go. Przyznałem mu rację, że koncentrując się na sobie, nie pomyślałem o nim. Powiedziałem mu, że nie miałem ochoty nikogo poza sobą zabijać. Zawiózł mnie do najbliższego hotelu. Przesiedział tam ze mną parę godzin. Wypałem się, wytrzeźwiałem, umyłem, doprowadziłem do porządku ubranie i postanowiłem przejechać wzdłuż całą

Polskę, żeby dotrzeć do pensjonatu pod Zakopanem, by przeżyć jakoś godnie te swoje ostatnie święta. Z rana zadzwoniłem do Ewy.

– Chciałbym do was przyjechać na święta. Wiem, że dzisiaj jest już Wigilia... Zapewne jest już za późno.

– Przyjeżdżaj, czekamy. – Głos Ewy zabrzmiał ciepło i pogodnie. – Przygotuję ci pokój. Nie mamy zbyt wielu gości, więc twój pokój jest wolny. Trochę tak jakby na ciebie czekał. Wigilię zaplanowałam na wieczór.

Byłem o szóstej. Wszedłem do pensjonatu i poczułem się tak, jakbym z niego nigdy nie wyjeżdżał. Wszystko było jak wtedy, kiedy przybyłem tutaj przed pięcioma laty. Również w święta. Te same meble, te same kwiaty w doniczkach, ten sam stary zegar na ścianie, ciepły kolor ścian, zapach świeżo upieczonego ciasta, cicha muzyka, uśmiechnięta Ewa... Choinka ubrana była podobnie jak wtedy, a pod nią leżały prezenty. W moim pokoju też nic się nie zmieniło. Na stoliku czekały na mnie: ciasto, dzbanuszek z kawą i filiżanka z cienkiej porcelany malowanej w niebieskie kwiaty obok pękatej, tak samo zdobionej cukiernicy. Poczulem się, jakbym wrócił z dalekiej podróży do domu. Usiadłem w fotelu, wyciągnąłem przed siebie nogi, włączyłem cichutko radio, zgasilem światło, walczyłem ze sobą, żeby nie włożyć z powrotem baterii do telefonu. Na parę godzin udało mi się zająć myśli czymś innym. Jechałem jak szalony, żeby zdążyć. Padał śnieg, droga była śliska, stałem w korku na zakopiance, patrzyłem bezmyślnie na ciężkie od śniegu konary drzew, na szarzące niebo, wypatrywałem pierwszej gwiazdy... Teraz wszystko wróciło, dopadło mnie na nowo, próbowało zawładnąć wszystkimi moimi myślami, unieszczęśliwić mnie, przygnębić i dokopać mi raz jeszcze.

Z zamyślenia wyrwało mnie cichutkie pukanie do drzwi.

– Proszę! – powiedziałem odruchowo.

– Mogę wejść? – zapytała cicho Ewa.

– Oczywiście.

– Nie chciałabym ci przeszkadzać.

– Nie przeszkadzasz mi.

Weszła i usiadła na łóżku. Nie ciążyła mi jej obecność. W pewnym sensie mnie uspokajała. Nawet te kolędy w radiu przestały mnie irytować: „Cicha noc, święta noc, narodzony Boży Syn, Pan wielkiego majestatu niesie dziś całemu światu odkupienie win”.

– Czemu tak siedzisz po ciemku? – odezwała się Ewa.

– Odpoczywam. Tak jest mi dobrze.

– Mogę ci jakoś pomóc? – zapytała po chwili.

– Nie ma w czym – odpowiedziałem. – U mnie wszystko w porządku.

– Nieprawda – powiedziała powoli. – Nie cieszysz się na święta.

– Czy każdy musi się cieszyć na święta?

– Nie mówimy o każdym, tylko o tobie. Wygląda trochę tak, jakbyś uciekł przed swoimi świętami i schował się u nas.

– Muszę coś przemyśleć i odpocząć.

Nic nie odpowiedziała. Siedziała, milczała, była przy mnie. To ja zacząłem po chwili opowiadać. Mówiłem o mojej miłości do Laury, o naszym wspólnym mieszkaniu, o naszej choince, o wznowie choroby nowotworowej, konieczności nowej terapii, mojej decyzji rozstania z Laurą, wczorajszej awanturze, o tym, że nie podejmę terapii. Milczała. Słuchała. Nawet nie drgnęła. Opowiedziałem o knajpie i próbie samobójstwa. Na koniec pokazałem jej ten pierścionek. Wzięła go do ręki, oglądała go długo, przymierzyła na palec, oddaliła dłoń od oczu, przechyliła głowę i nie przestawała się mu przyglądać. Zdjęła go z palca i zobaczyła wygrawerowany napis.

– „Laurze na zawsze – Stefan” – przeczytała na głos. – I co? – Spojrzała na mnie. – Nie masz już siły o to „na zawsze” zawalczyć? Kiedyś byłeś sam i był z siebie niesamowicie twardy facet, a dzisiaj, kiedy masz dla kogo żyć, chcesz oddać wszystko walkowerem?

Wstała. Ruszyła w kierunku drzwi. Odwróciła się jeszcze na chwilę.

– Zejdź za piętnaście minut na wieczerzę. Nie każ innym gościom za długo na siebie czekać.

Wyłądownała mi się ta cholerna bateria. Zadzwońem ze stacjonarnego.

– Laura, nie odkładaj słuchawki – powiedziałem pospiesznie. – Ja tylko na chwilę. Zniszczyłem nam święta. Zachowałem się wczoraj jak idiota. Zrobiłem to z miłości...

– Nic nie mów – weszła mi w słowo. – Nie przerywaj mi, proszę. Daj mi powiedzieć to, co chcę, do końca. Zaraz po naszej rozmowie zadzwonił doktor Wroński. Chciał koniecznie z tobą rozmawiać. Był zdenerwowany. Powiedział, że wyszedłeś tak niespodziewanie, że się o ciebie martwi. Wyłączyłeś komórkę. Nie mogłam się do ciebie dodzwonić. Chciałam tylko zapytać: dlaczego zdecydowałeś za nas dwoje, dlaczego ja nie mogę też decydować? Ja cię kocham na dobre i na złe, z tą chorobą i bez niej, bez względu na to, co przyniesie los...

Cudowny był ten wieczór wigilijny. Nigdy go nie zapomnę. To były naprawdę wyjątkowe święta.

NINA REICHTER

Przyjaciel w wigilijną noc

1.

Ciemny nissan jechał nocą wąską drogą przez środek gęstego lasu. Samotne snopy światła z reflektorów samochodu sprawiały wrażenie światel latarek, ale nie było tak źle – śnieg odbijał poświatę księżyca, co całkiem dobrze pozwalało rozróżnić jezdnię i pobocze.

Dawno już nikogo nie mijali. O tej porze na górskiej drodze w Tatrach trudno było kogoś spotkać, nawet tuż przed świętami.

Kierowca z nonszalancką lekkością trzymał starymi, pomarszczonymi dłońmi kierownicę. Kobieta wyglądająca na młodszą od niego, pięćdziesięcio-, może sześćdziesięcioletnia, siedziała na fotelu pasażera i oglądała swoje paznokcie. Lakier na jednym chyba zaczął odpryskiwać.

Marian Duraj wciąż prowadził auto, chociaż trzeba przyznać, że refleks miał już nie ten i inni kierowcy czasami trąbili na niego lub wygrażali mu palcem przez boczne szyby samochodów.

Niektórzy byli zdania, że po osiemdziesiątce powinno się raz na rok przechodzić testy stwierdzające zdolność do kierowania pojazdem. Jednak drogę Oswalda Balzera w stronę polany Zgorzelisko Marian znał tak dobrze, że mógłby wyłączyć światła i pomimo zmroku pewnie trafiłby do Pensjonatu pod Świerkiem.

„Tylko majtki miałbyś mokre” – powiedziałyby Ala.

Jego Ala. Przez lata, gdy tędy jeździli, bała się błyszczących oczu, które spodziewała się zobaczyć na granicy lasu. Nigdy żadnych nie dostrzegła – ani tych patrzących złowrogo, ani zupełnie niewinnie. Ale myślał o tym każdy, kto jechał tą krętą, nieoświetloną drogą.

Marian natomiast uważał ją za romantyczną.

Alicja umarła dziewięć miesięcy temu. Do Pensjonatu pod Świerkiem jeździli z przerwami od czterdziestu lat.

Ale był już na nią czas. „W pewnym sensie” – odpowiedział z westchnieniem w myślach. Oczywiście jeżeli osiemdziesięcioletni człowiek może dopuścić do siebie głos, że „jest na niego czas”.

Z drugiej strony osiemdziesięciodwuletni Marian nadal żył. W dodatku – oprócz jaskry, kołatania serca i poboлевania w dole brzucha – miał się wyśmienicie.

Naprawdę świetnie!

Wprawdzie lekarze mówili, że nie powinien już prowadzić, ale lekarze! Kto by im tam wierzył. W swojej karierze sędziowskiej Marian Duraj orzekał w wystarczająco dużej liczbie spraw o błąd w sztuce lekarskiej, by wierzyć któremukolwiek z nich.

Oswalda Balzera znowu zakręcała; wokół panowała ciemność.

– Dojedziemy i się położysz, Manieczku – rzekła Grażyna, jakby zwracała się do najwyżej siedmioletniego dziecka. – W twoim wieku jazda w nocy to wysiłek. Może bardzo człowieka zmęczyć – dodała, kiedy Marian akurat wpadał w nostalgiczny nastrój.

Pamiętał, jak miał czterdzieści lat i jechali tędy z Alą w zimie. Położyła mu dłoń na kolanie. Zrobiła to wtedy pierwszy raz. To był rok... może siedemdziesiąty szósty, była jeszcze mężatką. Co oczywiście zmieniło się jakiś czas później.

Józef Bolgier, członek komitetu centralnego, w zaciszu czterech ścian tłukący swoją młodą żonę, Miss Białegostoku, nawet się nie obejrzał, gdy Alicja spakowała manatki i instruowana przez Mariana czyniła kolejne kroki prawne, by rozwód w czasach głębokiego komunizmu przebiegł możliwie po jej myśli.

Oczywiście nie chodziło o zasądzenie jakiegokolwiek odszkodowania za znęcanie się. Raczej o to, by sprawa była ewidentna, przeszła możliwie bez echa i Alicja była wolna.

Lecz wtedy, w siedemdziesiątym szóstym, gdy położyła swą wypielęgnowaną dłoń na kolanie Mariana, nie była jeszcze wolna.

A potem, może dziesięć minut później, zatrzymali samochód na bocznej drodze w lesie.

To był duży fiat... dużo miejsca.

Taki samochód stanowił wtedy rarytas, nawet dla sędziego.

Ostatnio w jakimś poradniku na temat zdrowia (niektóre traktowały temat szeroko – mówiły o zdrowiu fizycznym, uzdrawianiu myślami, a nawet o Bogu) Marian przeczytał, że wspominamy to, co niosło ze sobą najwięcej emocji, a on nigdy nie przestał wspominać tamtego śnieżnego dnia. Gdy przejeżdżał Oswalda Balzera, odnosił wrażenie, że tamte wydarzenia miały miejsce wczoraj. Albo że dzieją się nadal, tylko w innym wymiarze, i dlatego on, będąc tu, odczuwa to samo niespokojne podekscytowanie, które czuł tamtego zimowego dnia.

Ma osiemdziesiąt dwa lata i wygląda na to, że najdonioślejszą chwilą jego

życia był pierwszy seks z ukochaną kobietą na tylnej kanapie dużego fiata. To śmieszne.

Gdyby wiedział, że w życiu liczą się tylko te lata, gdy człowiek jest relatywnie młody, w średnim wieku nie bałby się śmierci i nie wyrzucałby sobie tak strasznie, że latami palił.

Na starość wyglądało na to, że całe życie warte jest tyle, co kilka dobrych wspomnień. Cholera. A on tak długo myślał, że liczy się mieszkanie własnościowe, działka pod Warszawą i oszczędności na koncie.

– Tobie, gdy tylko lepiej się poczujesz, wydaje się, że jesteś młody. A to tak nie jest... – dodała Grażyna.

Grażyna. Jego nowa towarzyszka życia. Konkubina, można by rzec. Choć chyba raczej opiekunka. Nigdy przecież nie doszło między nimi do podobnych rzeczy, jakie działy się te parędziesiąt lat temu na tylnym siedzeniu fiata.

Grażyna mówiła, że lubi spędzać z nim czas i że w jesieni życia człowiekowi potrzebna jest tylko przyjazna twarz, do której można się uśmiechnąć – ale Marian nie był naiwny, wiedział, że to barter.

W końcu Grażyna chciała zalegalizować ich „związek”, a on, jako sędzia, miał całkiem pokaźną emeryturę. Z drugiej strony czemu nie – w sosnowym pudle emerytura i mieszkanie już się Marianowi nie przydadzą. Niech ktoś coś z tego ma.

– To tak nie jest, Manieczku – powtórzyła, jakby nie słyszał jej za pierwszym razem.

Czasem, gdy była tak nudna jak dziś, zastanawiał się, czy jej obecność na pewno wydłuży mu życie, czy raczej je skróci.

Lecz wtem mocno zakłuło go w boku, pochylił się na kierownicę, zakaszłał i mało nie popuścił w spodnie, toteż chyba powinien przestać chojrakować.

Starość się Panu Bogu nie udała. A Marian i tak miał szczęście, że znalazł Grażynę. Chociaż w zasadzie... przecież wcale nie szukał.

– Daleko jeszcze? – zapytała kilka minut później, nie mając pojęcia, że jeszcze dwieście metrów i skręca w prawo, w las. Marian jechał tu z Grażyną po raz pierwszy.

– Ze cztery kilometry. To zaciszne miejsce.

– Chciałaś powiedzieć „odludzie” – podsumowała tonem, który wskazywał lekką pretensję.

Subtelna, bo na inną nie mogła sobie pozwolić. Zależało jej przecież na tym, by Marian chciał mieć ją u boku, i wiedzieli o tym oboje.

– W dobrym towarzystwie odludzie nie jest straszne – odparł dwuznacznym tonem, którego nabył przez lata na sali sądowej, i w takich chwilach Grażyna nie wiedziała, czy „w dobrym towarzystwie” to był słaby komplement, czy Marian na swój cyniczny sposób z niej kpił.

A sędzia tylko uśmiechnął się pod nosem.

2.

Gdy zajechali na miejsce, Ewa, dyżurująca tego dnia w recepcji, rozpoznała Mariana od razu.

Nastąpiło miłe, choć niezbyt wylewne, powitanie. A potem Ewa dostrzegła Grażynę, która trzymając walizkę przed sobą, niezgrabnie utknęła w niewygodnych, działających na sprężynie, pamiętających jeszcze czasy PRL-u, metalowych drzwiach.

Było jasne, że kobieta w białym sztucznym futrze jest od Mariana znacznie młodsza, jeszcze zanim Ewa, współwłaścicielka Pensjonatu pod Świerkiem, spojrzała w jej dowód osobisty (aby zameldować tę dwójkę, potrzebowała dokumentu tylko od Mariana, ale była ciekawa).

Grażyna Paluch, rocznik pięćdziesiąty siódmy, nie wzbudzała sympatii ani na żywo, ani na zdjęciu z dokumentu.

Tlenione blond włosy upięte do góry, potraktowane koszmarną kręconą trwałą, sprawiały, że chociaż Ewa nie zwykła oceniać ludzi po wyglądzie i na tej podstawie przypinać im łatki, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Marian i Grażyna nie spotkali się, pracując razem w sądzie. Mówiąc najdelikatniej.

– Pokój ten sam co... dawniej? – zapytała, pamiętając, że gdy Duraj przyjeżdżał tu z żoną, zawsze brał ten sam pokój, z najlepszym widokiem na stok. Sto piętnastkę. Słyszała, że pani Alicja zmarła. Nie pamiętała, kto jej o tym wspomniał, chyba Gabriel. On wiedział takie rzeczy. – Na sto piętnastkę, zdaje się, jest rezerwacja. Gdyby pan sędzia jak zawsze zadzwonił wcześniej...

Starszy pan sprawiał wrażenie zniecierpliwionego.

– Weźmiemy obojętnie który pokój. Jeśli tamten jest zajęty, to zajęty. Trudno – rzekł. Poklepał przy tym Grażynę po ramieniu, jakby chciał tym gestem zatuszować wrażenie, że nie życzył sobie wynajmować z nią pokoju, który zawsze zajmował z żoną. – To tylko ściany.

Ewa jeszcze przez chwilę patrzyła na Mariana Duraja. A potem spojrzała w komputer i w milczeniu wprowadziła dane.

Przez lata, najpierw jako dziecko, potem jako dorosła kobieta, dobrze poznała styl bycia jednego z najwierniejszych gości.

Sędzia Marian Duraj należał do tych pryncypialnych, przedwojennych ludzi, którzy wstawali o szóstej rano, choćby nie wiem co wkładali szykowne spodnie i koszule i golili się karnie także w święta. Przyjeżdżał do pensjonatu jeszcze w czasach, gdy ten był ośrodkiem rządowym, a potem, gdy rodzice Ewy zaczęli prowadzić hotelik, swoim protekcjonalnym zachowaniem dawał im to odczuć.

Niewiele mówił. Zawsze chodził z uniesioną głową. Szczycił się tym, że nigdy w życiu nie pił, i pogardzał tymi, którzy to robili.

Przez wszystkie te lata sędzia Duraj nalegał, by sto piętnastka czekała wolna,

gdy przyjeżdżał. Jeśli tak nie było, upominał wszystkich i pouczał. Robił to z zaciętym wyrazem twarzy, tak aby recepcjonistka odczuła jego niezadowolenie, i Ewa myślała sobie, że gdyby Ebenezer Scrooge przyjeżdżał do ich pensjonatu, prawdopodobnie mówiłby zbliżonym tonem.

Ewa rzadko widywała ludzi pod koniec ich życia, Gabriel – znacznie częściej. Czasem mówił, że najsmutniej patrzeć na to, jak udręczeni i pełni zwątpienia na starość tracą swoje ideały. Uparci się poddają, prawi nie widzą już sensu w honorowym postępowaniu.

Im bliżej przeprowadzki do sosnowego pudła, tym częściej Gabriel słyszał: „Moja praca... dzieło mojego życia... okazuje się, że było na nic”. Idąc wieczorem do bawialni, gdzie Ewa spodziewała się zastać siedzącego przy kominku brata, zastanawiała się, czy sędzia Marian Duraj też tak o sobie myślał.

A może to jeszcze nie był jego czas?

Z drugiej strony gdyby to nie był czas Duraja, Gabriel nie byłby tak milczący.

W bawialni dla gości, dość pustej jak na grudzień i środek sezonu, za panoramicznymi oknami wiatr okrutnie miotał płatkami śniegu.

„Jeżeli jutro będzie tak wiało, w Małym Cichym nie ruszy wyciąg” – myślała Ewa.

Drwa paliły się w kominku, nadając powietrzu zapach rodzinnych rozmów w zimowe wieczory. Ewa pamiętała ten rytuał z dzieciństwa. Gdy rodzice jeszcze żyli, wieczorami siadali przy kominku w tej samej bawialni, wtedy nazywanej świetlicą, czytali po cichu i w dwóch ustawionych obok siebie bujanych fotelach sączyli przepełnione aromatem goździków i pomarańczy grzane wino. A oni z bratem, będąc dziećmi, bawili się na dywanie obok nich.

Pomimo że Ewa i Gabriel od dawna byli dorosłymi ludźmi – i teraz to oni kierowali pensjonatem – nadal nie mogli sobie wyobrazić zimowego wieczoru bez podtrzymania tradycji: rozmowy, kominka, refleksji i strzelających iskieł.

Ewa odsunęła sobie fotel, Gabriel milcząco wpatrywał się w ogień.

Na chwilę także poddała się melancholii.

Ale potem przypomniało jej się, by zapytać o Duraja.

– Czy w tym roku pan Marian... czy przyjdzie nam się pożegnać? – Chciała być delikatna.

Wydawało się, że Gabriel w półmroku wyprostował plecy.

– Wiesz, że nie mogę o tym mówić. – Chrząknął, jak się Ewie zdawało, by zamaskować zdenerwowanie.

– Żebyś to we wszystkim był taki zasadniczy... – wytknęła po kilku milczących minutach. – I taki skrupulatny.

Odkąd zostali sami z pensjonatem, to Ewa zajmowała się rachunkami, pilnowała faktur, zamówień. Gabriel spełniał się w kontakcie z gośćmi, dbaniu

o dobre relacje – to była jego dziedzina. Naturalnie każdy ma obszary, w których radzi sobie lepiej niż inni. Gabrielowi rozmawianie z ludźmi zawsze przychodziło z łatwością. Ewa, bardziej introwertyczna, obowiązkowa, zajmowała się prozaiczną stroną biznesu. Kiedyś przeczytała, że to normalne u bliźniaków. Ich cechy uzupełniały się, jakby byli jedną, wyjątkowo wszechstronną, osobą.

Niektórym mogło się to wydawać ograniczające. Inni twierdzili, że to praktyczny dar.

Gabriel umoczył usta w kieliszku z winem. W takich chwilach przypominał Ewie ojca. Bardzo za nim tęskniła.

– Kiedy byłam mała, bałam się Duraja, wiesz? – wyznała. – Myślałam, że jest złym czarnoksiężnikiem.

– Skąd ten pomysł? – zaśmiał się Gabriel.

– Ta kucharka, co była przed Frankiem, powiedziała któregoś razu, że Duraj ma minę, jakby chciał kogoś porwać. A wiesz, jakie są dzieci. Zapamiętałam w try miga. Ciekawe, czy Duraj miał dzieci... – Zamyśliła się.

Gabriel uniósł brwi.

– Myślę, że o ile nic się nie zmieniło, nadal ma.

– Może dla nich jest sympatyczniejszy.

Gabriel zakołysał winem w kieliszku.

– Obawiam się, że wręcz przeciwnie.

Ewa spojrzała na brata z uwagą. Gdy rozmowa schodziła na tę część zdolności Gabriela, o których zwykle milczeli, Ewa stawała się ostrożna.

– Duraj powinien pogodzić się z synem – powiedział w końcu.

– Są pokłóceni?

Gabriel kiwnął głową.

– Stary jest uparty. Przedwojenne pokolenie. Ale w końcu może zdoła wziąć pod uwagę wszystkie za i przeciw. I podjąć właściwą decyzję. Czyż nie tym zajmował się całe życie?

Ewa powoli westchnęła.

– Widziałeś sędziego, który przyznaje się do błędu i zmienia raz wydany wyrok? – zapytała, a Gabriel obrócił twarz i posłał jej uśmiech.

– Tego się właśnie obawiam – przyznał.

– Niczego nie czujesz? – zaryzykowała.

Brat westchnął.

– Czuję. Ale to dotyczy raczej tej kobiety.

Rozmowy o nieczystych intencjach zwykle zaczynają się w podobny sposób. Przykryte płaszczem troski, stanowią zawoalowane oskarżenia.

Ewa wiedziała, że Gabriel nie będzie nikogo oceniał.

– Wiesz... to dziwne, bo czuję, że ona go nawet lubi. Latami zazdrościła Alicji, gdy przychodził do kwaciarni i w każde imieniny brał dla żony najdroższy

bukiet. Cieszyła się oczywiście, bo dobry był z niego klient. Ale zawsze zachodziła w głowę: „Szarmanckość? Nadal? Po czterdziestu latach?”.

Ewa mimowolnie się uśmiechnęła.

– Kwiaciarki mają przerabane – stwierdziła. – Prawie jak sprzedawczynię w sklepach z biżuterią.

– Ale ona była serdeczna, a nie zazdrosna. Myślała o nim jak o postaci z jednego z tych seriali, które oglądała. Wiesz... władza, pieniądze. Na osiedlu wszyscy wiedzieli, w której klatce mieszka wyniosły emerytowany sędzia Sądu Najwyższego. A ona, Grażyna, widziała miłego starszego pana, który zawsze pamięta o rocznicach, pachnie Fahrenheitem i nigdy w życiu się nie upił.

– Świetna partia.

– No właśnie.

– Zameldowali się w jednym pokoju.

– No właśnie – powtórzył.

– Kibicujesz jej? – Ewa podpuszczała brata. Gabriel nie przepadał za Alicją, gdy jeszcze razem z Marianem przyjeżdżali do pensjonatu. Uważał, że to dziwna, zamknięta kobieta. Z drugiej strony gdy ktoś był choć trochę bardziej powściągliwy i przy pierwszym spotkaniu szczerze nie opowiadał Gabrielowi o trudach swojego dnia, brat uważał go za zamkniętego. Takim już był typem.

– Raczej szkoda mi tego człowieka – odparł.

Ewa zauważyła, że Gabriel spoważniał.

– Dlaczego tak myślisz?

– Podpuszczasz mnie.

– Czasem trzeba.

– Ma syna, z którym zerwał kontakty, osiemdziesiąt dwa lata i zbyt wiele dumy. – Znów zakolysał winem w kieliszku. – A pamiętasz, co tata zawsze powtarzał.

Ewa pamiętała.

– Że upór i starość to złe połączenie – rzekła.

– Ta... – odparł refleksyjnie Gabriel. Swoje zdolności odziedziczył po ojcu. W ich rodzinie tylko mężczyźni je dziedziczyli i Ewa czasem myślała, że teraz, gdy ojciec już dawno nie żyje, Gabriel, który nikomu nie mógł zwierzać się ze swych trosk, musi być trochę samotny. Z drugiej strony nawet gdyby się ożenił, pewnie nie mógłby powiedzieć tej kobiecie całej prawdy o tym, kim był.

To jego drugie życie, czy raczej „nocna zmiana”, jak je nazywał, musiało pozostać tajemnicą. Był to przypadek, w którym szczerłość w związku musiała ustąpić wynalazkowi Lucyfera, przez ludzkość nazwanemu zgrabnie mniejszym złem.

– Wiesz, dlaczego się pokłócili? – podpytała Ewa kilka minut później, gdy wracała na fotel, dołożywszy dREW do kominka.

– Hm. Nie przypuszczałem, że Duraj tak cię ciekawi.

– W zasadzie nie on – odrzekła Ewa. – To po prostu sentyment do ludzi będących u kresu życia. Odkąd skończyłam trzydziestkę, często zastanawiam się, co myślą. Czy boją się śmierci. Jak się czują, myśląc o statystyce... że mają jeszcze najwyżej kilka lat. Czy chcą cofnąć czas.

Może poprzez „nocną zmianę” Gabriela Ewa była bardziej refleksyjna niż inne trzydziestolatki. A może chodziło po prostu o miejsce. Głusza. Pensjonat pod Zakopanem. Odludzie.

Przyjezdni mówili, że tu czas płynie wolniej niż w mieście. Ewa wiedziała, że czas biegł tak samo szybko. Tylko człowiek patrzący na góry widział odległy horyzont i czuł się inaczej. Otoczenie zachęcało do spoglądania w dal... przez co człowiek na chwilę tracił z oczu czubek własnego nosa. A zyskiwał perspektywę.

– Myślę – odezwał się Gabriel – że każdego dopada taka chwila, kiedy przychodzi fala żalu. To moment, kiedy ludzie odtwarzają w myślach wersję życia, które ich ominęło, bo nie mieli odwagi nim żyć. Przypominają sobie swoje decyzje i wiedzą, które podjęli ze strachu przed osądami innych lub upokorzeniem. Które teraz tak niewiele by znaczyło. Inna sprawa, że z perspektywy czasu wszystko niewiele znaczy.

Bywały chwile, gdy Ewa zazdrościła Gabrielowi jego daru. Tej wiedzy, która czyniła go wyjątkowym. Tamta chwila nie była jedną z nich.

– Uważasz, że każdy czegoś żałuje?

– Ty nie? – zdziwił się Gabriel. Potem wypuścił powietrze z głębi płuc. – Tak, myślę, że każdy.

– Myślisz, że skoro wydawał wyroki...

– Żałuje więcej rzeczy niż przeciętny człowiek? Nie wiem.

– Przecież zanim trafił do Sądu Najwyższego...

– Osądzał ludzi w czasach komunizmu. – Brat bezbłędnie odgadł sugestię Ewy. A potem się zamyślił. – Jeżeli Duraj dał komuś zbyt surową karę, to samemu sobie. Czuję, że coś go trapi, że coś sobie wyrzuca. Ale nie czuję, co dokładnie. – Westchnął. – W końcu sami dla siebie jesteśmy najsurowszymi sędziami – rzekł, po czym wstał z fotela, który się rozbujał. – Padam. Idziesz?

– Nie. Jeszcze tu posiedzę – odparła Ewa. – Gabrys? – zawołała jeszcze, zanim zniknął w korytarzu, w drodze do wind. – Pomożesz mu jakoś?

Gabriel się zatrzymał. Chwilę tak stał i Ewa zastanawiała się, czy w ogóle odpowie. Od lat mieli umowę. Miała nie pytać o takie rzeczy, nie przekraczać granicy.

– Nie. Ale może ty spróbuj?

– Wiesz przecież...

Uniósł rękę, by jej przerwać. Zamilkła.

– Kto broni ci pomóc mu dojść do wniosków? Do tego nie trzeba daru.

Tylko chęci. Czyż nie?

3.

Ewa siedziała w recepcji i jednym okiem oglądała *Pytanie na śniadanie*. Fonia była przyciszona, by program nie przeszkadzał gościom, ale Ewa i tak mogła zrozumieć, o czym mowa.

Na ulicach Warszawy zrobiono eksperyment. Ładna młoda dziewczyna udawała ankietkę na placu Zbawiciela. Zaczepiała przechodniów i zawsze zadawała identyczny zestaw pytań. Na końcu „ankietowani” dowiadywali się, że są w ukrytej kamerze, i mieli powiedzieć, co o dziewczynie myśleli.

Okazało się, że odpowiedzi zmieniały się drastycznie, gdy dziewczyna przywdziewała różne stylizacje. Najpierw oceniana jako nieśmiała, potem okazała się drapieżną, a nawet romantyczną.

Ewa zgasiła telewizor i stwierdziła, że musi popracować nad garderobą. Nigdy się stąd nie wyrwie, jeśli nadal będzie sądzić, że przechadzanie się po pensjonacie w niemodnej garsonce spowoduje, że kogoś sobie znajdzie.

Śniadanie wydawano już od szóstej trzydzieści, ale Ewa nie spodziewała się tak wcześnie zastać Mariana w stołówce. Gdy była dzieckiem, przychodził koło ósmej. Wtedy jeszcze, jako zapalony narciarz, myślał o tym, by zjechać kilka razy, zanim „ci Ślężacy” rozjeżdżą stok, ale potem, wraz z postępującym wiekiem, uciekającymi siłami i malejącym zapalem do sportów grożących upadkiem, Marian i Alicja przychodzili na śniadanie o późniejszej godzinie.

Być może nie obawiali się, jak inni goście, że ranne ptaszki wyjedzą wszystkie sardynki w pomidorach. Ewa jednak przypuszczała, że chodziło raczej o to, iż sędzia Duraj lubił cieszyć się posiłkiem w niemal pustej sali, gdzie siadał z żoną przy ostatnim stoliku i liczył, że nikt nie będzie zakłócał mu spokoju.

– Daj znać, jak się pojawi, dobrze? – poleciła Ewa kelnerce i odeszła do recepcji.

To nie były już złote lata PRL-u, kiedy to Pensjonat pod Świerkiem był strzeżonym obiektem, obłożonym wyłącznie gośćmi będącymi członkami partii. Podobno wtedy zatrudniano wielu pracowników. W czasach kapitalizmu oczywiście byłoby to zbyt wielu.

Teraz sama musiała pracować w recepcji, gdzie przyjmowała coraz rzadziej pojawiających się gości, dzięki czemu w przerwach mogła prowadzić księgowość.

Nie minęło piętnaście minut, odkąd zasiadła za kontuarem, a Matylda, kelnerka, pojawiła się w recepcji ze skonsternowaną miną.

– Nie przyszedł – powiedziała. – Ale jest ta pani... – Spojrzała na Ewę wymownie. – Zamówiła omlet i powiedziała, że tylko dla jednej osoby, bo narzeczony zje w pokoju.

„Narzeczony” – pomyślała Ewa. Typowe dla kobiet próbujących zaklinać

rzeczywistość.

Gdy weszła do jadalni, Grażyna Paluch siedziała przy ostatnim stoliku. Widocznie Marian co nieco jej opowiadał o swoich pobytach. Pewnie w chwilach słabości mimowolnie przelewał na nią wspomnienia. Dlatego wiedziała, gdzie zawsze siadał z Alicją.

Grażyna spoglądała przez okno, rozmawiając przez telefon komórkowy.

Ewa minęła stół przy oknie i weszła do kuchni. Nienawidziła podsłuchiwania. Każdy ma prawo do prywatności, a jednak Grażyna rozmawiała tak emocjonalnie i tak głośno, że nie dało się jej nie słyszeć.

Właśnie w tamtej chwili zdecydowała, że powinna sprzątnąć stół stojący tuż obok tego przy oknie.

– No wiesz, jak jest – perorowała Grażyna. – Nie paliłam się do tego, by jechać. Marian jeździł tu od czterdziestu lat, ale moja matka latami prała we frani. I czy to znaczy, że ja też powinnam? Ma przecież pieniądze. Gołębiowski. To byłoby coś. Ale wiesz, jak jest ze starymi ludźmi. Sentyment i nic nie poradzisz.

Ewa starała się zbierać naczynia ostrożnie i cicho. Obróciła lekko głowę, by zajrzeć Grażynie w oczy.

Brwi kobiety były ściągnięte, twarz napięta, a wymanikiowane paznokcie nerwowo bębniły o stół.

Szczerze mówiąc, Grażyna Paluch wyglądała... stereotypowo. Gdyby Dorota Masłowska potrzebowała statystki do swoich teledysków, w przypadku Grażyny obyłoby się bez charakteryzacji.

– Nie, jeszcze nie – kontynuowała zmartwiona blondynka. – Ale już kilkakrotnie rozmawialiśmy o dacie. Wiesz, w jego wieku nic nie wiadomo.

Ewa poczuła, jak rosnące ciśnienie lekko zakłuło ją w skroniach. Rozległ się nieprzyjemny trzask, gdy niechcący wypuściła naczynia z ręki i talerze uderzyły o siebie. Nie porozbijały się tylko dlatego, że nadal stała nad stołem. Mimo wszystko pan Marian nie zasługiwał, by ktoś potraktował go na starość jak filcową sakwę. Tej kobiecie zależało tylko na pieniądzach. Czy tego nie widział?

Może na starość nie tylko dosłownie trudnej coś dostrzec?

Ale żeby schować do kieszeni rozum za parę chwil... czego w zasadzie? Przecież w tym wieku... człowiek już nie ma ochoty...

Przed oczami stanął Ewie krępujący obraz. Z poirytowaniem odgoniła go od siebie.

– Gdzie? Na Żoliborzu. Stare budownictwo, ale duży metraż. No i wygodnie. Na parterze. Poza tym bezpiecznie. Cały czas kręcą się BOR-owcy. – Zamilkła na chwilę. – Tak, mieszka za rogiem. Czasami jak przechodzę, widzę w oknie tego jego kota. Przysięgam, patrzy na Polskę z czymś takim w oczach, jakby myślał: „Kiedyś to wszystko będzie moje”.

Teraz Ewa musiała powstrzymać się od uśmiechu.

– Szkoda, że ten kot nie wychodzi na zewnątrz – dodała Grażyna. – Kupiłabym sobie amstafa.

Ewa energicznie wycierała ścierką plamoodporny obrus położony na stole. „Może i Grażyna jest kobietą łasą na pieniądze – myślała – ale na ostatniej prostej życia Duraj przynajmniej znalazł sobie kogoś z poczuciem humoru”.

Zresztą czy to naprawdę było godne potępienia? Kiedyś, chyba w show Wojewódzkiego, Ewa usłyszała uwagę prowadzącego: „W zasadzie czym różni się kobieta lecąca na sportową furę od mężczyzny lecącego na cycki? I dlaczego jedno jest potępiane, a drugiemu nikt się nie dziwi? Ja będę występował w obronie młodych kobiet lecących na sportowe fury” – dodał z właściwą sobie kpina, co nie zmieniało faktu, że pierwsza część wypowiedzi była w zasadzie słusznym stwierdzeniem, bo czym się jedno od drugiego różniło?

– Przepraszam bardzo...? – Ewa usłyszała za sobą głos dochodzący z ostatniego stolika, choć przez chwilę jeszcze próbowała udawać, że nie wiadomo, kogo Grażyna woła. – Przepraszam bardzo, nie chciałabym robić kłopotu... – powtórzyła miło kobieta. – Pani jest, zdaje się, współwłaścicielką pensjonatu.

– Istotnie. Tak się składa. – Ewa obróciła się i przybrała na twarz najbardziej serdeczny, profesjonalny uśmiech, na jaki było ją stać. Miała wrażenie, że od śmierci taty nie uśmiechała się aż tak szeroko. Podobno nieużywany narząd zanika. Nic dziwnego, że mięśnie policzków aż ją zabolowały.

– Widzi pani, mam taki problem. Potrzebuję połączyć się z Internetem, a w pokoju jest bardzo słaba sieć. Czy istniałaby możliwość...

– Śpieszy się pani sprawdzić Facebooka? – Ewa nie miała pojęcia, dlaczego wymusnęła jej się ta złośliwość. Ale zaskoczyło ją, że kobieta kulturalnie odezwała się głosem, który nie pasował do emerytowanej straganiary.

– Niczego nie mogę sprawdzić. – Grażyna uśmiechnęła się, jakby zbagatelizowała tę uwagę. – Chciałabym zadzwonić przez Skype’a. Niestety połączenie się rwie i jest za wolne.

– Przykro mi, ale jesteśmy w górach.

– Na stronie czytałam, że pensjonat posiada wi-fi – zauważyła surowiej Grażyna.

– Bo tak jest. Ale chyba nie spodziewała się pani, że przesył hula tutaj jak wiatr na wierzchu?

– Pewnie ma pani rację, przepraszam – odparła Grażyna, zamieszała herbatę i spojrzała w okno.

Ewa z naręczem naczyń jeszcze przez chwilę nie potrafiła się ruszyć.

Dlaczego naskoczyła na tę kobietę? Czy postradała rozum?

Z drugiej strony Grażyna Paluch była encyklopedycznym przykładem niedopasowania stylu bycia do wyglądu.

Kim była? Miłą, ugrzecznioną panią ze źle dobraną trwałą? Naciągaczką? Po

prostu dobrą aktorką? Ewa pomyślała, że jest jeszcze ktoś poza Gabrielem, kto mógłby jej coś o tej sytuacji powiedzieć. Wprawdzie nie znał Grażyny, ale znał Mariana. I pewnie też jego historię. W końcu pracował tu przeszło czterdzieści lat.

4.

W porze obiadowej Ewa widziała pana Józefa, jak stojąc na chybottliwym krześle, wymieniał żarówkę w korytarzu na drugim piętrze. Teraz jednak pewnie był już u siebie. Zeszła do piwnicy, zapukała, ale nie nacisnęła na klamkę, bo drzwi same się otwarły.

Pan Józef, w białym podkoszulku, siedział na fotelu, oglądał ściszony telewizor i na widok Ewy głośno beknął. Był siwiuteńki jak gołąb. Może dlatego jego przekrwione oczy odznaczały się tak wyraźnie.

– Panie Józefie, w którym dokładnie roku się pan u nas zatrudnił?

– A co, dziecko? Liczysz mi odprawę?

Oboje wiedzieli, jak mało klientów zjawiało się w pensjonacie pamiętającym ustrój słusznie miniony i jak krucho było z pieniędzmi.

– Chyba w siedemdziesiątym ósmym. Twój ojciec to był wtedy szczył jeszcze. A ciebie, dziecino, to nawet nie było w planach – powiedział, sięgnął ręką do kieszeni i sążnięcie pociągnął z piersiówki.

W każdym innym pensjonacie w mieście Ewa dawno musiałaby pana Józefa wyrzucić. To, że pił w pracy, nie było dla nikogo tajemnicą. Nie zataczał się wprawdzie, zawsze wszystko porządnie naprawił i dobry był z niego dozorca, ale mała piersiówka (którą – jak sądziła Ewa – w ciągu dnia kilkakrotnie napełniał) towarzyszyła mu stale. Gdzie indziej to by nie przeszło. Ale tutaj, głęboko w lesie, w górach, liczył się człowiek, a nie bzdurne zasady. Pan Józef pił, bo i co miał robić? Piętnaście lat temu w jego żonę i córkę wjechał bus pod Nowym Targiem. To był ten typowy, zabierający piętnaście osób mercedes, którym tak chętnie do Zakopanego wozili turystów prywaciarze. Daewoo tico nie miało z nim szans. Dwa trupy na miejscu. Dziewczyna właśnie zdała na historię, na Uniwersytet Jagielloński. Ewa pamiętała, jak ojciec mawiał, że nie zwolni pana Józefa, nawet gdyby jakiś nadęty turysta z Warszawy nasłał na nich PIH.

– Czyli pamięta pan dobrze panią Alicję Durajową?

Góral machnął ręką.

– Hej. Wszystkich ich *pamiętom*.

– Wszystkich? – zdziwiła się.

– No... Mańka, Alicję, Roberta. To był jeszcze dzieciak jeden, jak tu przyjeżdżał. Maniek dobrze w szachy grał. Wtedy jeszcze chciał grać. *Tera* mnie chyba unika.

– Robert to ich syn, tak?

Ewa nie pamiętała Roberta. Widocznie była zbyt mała, gdy tu przyjeżdżał.

- Syn. Tak. Ale nie ich.
- Jak to? – zdziwiła się Ewa.

Pan Józef w spokoju cmoknął kilkakrotnie, a następnie znów pociągnął z gwinta. Teraz mógł sobie pozwolić. Było już po szesnastej, o tej godzinie niewiele już będzie się działo w pensjonacie. Na ekranie telewizora, wyciszzonego tak, że jedynie szemrał, zaczynała się *Stawka większa niż życie*. Ewa bała się, że pan Józef, chcąc wrócić do oglądania, zacznie się niecierpliwić, a wtedy ona znów zostanie z niczym.

– Czy to wiśniówka? – Bezceremonialnie wskazała na piersiówkę, którą pan Józef właśnie wsuwał do kieszeni w spodniach.

Starszy człowiek popatrzył na nią z zaniepokojeniem.

– Czasem trzeba sobie *dychnąć trocha* – burknął, na wpół w stronę telewizora, na wpół w stronę podłogi. – Twój ojciec też lubił – rzucił jeszcze, jakby chciał unieść tarczę ochronną.

Ojciec Ewy nie stronił od alkoholu. W końcu mając te same zdolności co Gabriel, musiał czasem oderwać się od wyczuwania ludzkich zamiarów i przeczuwania śmierci. Inaczej prawdopodobnie rzuciłoby mu się na głowę.

Nie był oczywiście alkoholikiem, bliżej było mu do konesera.

I czegoś takiego jak wiśniówka nigdy by nie przełknął.

– A gdybym zaproponowała panu dwunastoletnią whisky... Wyłączyłby pan to... – kiwnęła głową w stronę ekranu – i powspominalibyśmy trochę?

– Jaką whisky? – wychrypiał pan Józef.

Jego ton pełen był ulgi i oczekiwania, jakby dozorca był cierpiącym, któremu zaproponowano lepszą, egzotyczną odmianę morfiny.

– Tę, która stoi na najwyższej półce w barku dla gości.

Na twarzy siwego widać było zmianę.

– Tą, za którą zawsze się pan ogląda – dodała.

– Wohohoł, dziecko. Toż to musi być gruba okazja albo tyś bardzo ciekawa.

5.

W barku o tej godzinie było pustawo. Nieliczni turyści zameldowani w hotelu, dla których Ewa musiała ogrzewać całe przestronne trzy piętra, nie wrócili jeszcze z nart i w sali siedziało tylko młode, wyglądające na majątne małżeństwo. Patrzyli w okna, to znów przyciszonym głosem wymieniali gwałtowne uwagi. Ewa pomyślała, że to trochę jak ze ściszym telewizorem. Nie musiała słyszeć słów tej dwójki, by wiedzieć, że się kłócili.

Pan Józef, moszcząc się z niewyraźną miną, zasiadł na barowym krześle, a Ewa podeszła do baru.

Ściągnęła z półki najlepszą whisky, jaką mieli. W rzeczy samej butelka stała za barem raczej dla efektu. O ile Ewa się orientowała, od pół roku nikt nie

zamawiał glenmorangie. Równie dobrze mogliby trzymać w butelce herbatę.

Słyszała jednak, że dobry alkohol się nie psuje. Miała nadzieję, że to była prawda.

Pan Józef przechylił tumbler i wlał sobie whisky do gardła, a Ewa powiodła wzrokiem po wypukłych żyłach, które pojawiły się na szyi mężczyzny.

– Mówił pan, że to nie był ich syn. Robert Duraj.

– *Hej* – potwierdził pan Józef po góralsku.

– Więc czyj?

– Jego – odparł, lecz Ewa nie wiedziała, czy dobrze zrozumiała. – Mańka.

– Miał go z inną kobietą? – zapytała. Takiego człowieka jak Duraj nigdy nie podejrzewałaby o romans. Był na to zbyt... szukała słowa. Wahała się pomiędzy „pryncypialny” a „srogi”. Ale w końcu zrozumiała, o jakie określenie jej chodziło. Sędzia Duraj był na to zbyt sztywny. Tak. Człowiek, którego znała, był jednym z najbardziej pozbawionych spontaniczności ludzi, jakich widziała w życiu. On i kochanka? Ale może nawet donżuani na starość po prostu się zmieniają?

– *Hej*. Z pierwszą żoną – ubił jej domysły pan Józef, sprawnym gestem podstawiając tumbler po dolewkę.

– Był wcześniej żonaty?

– Podobno tak.

– Też tu przyjeżdżali? – Ewa poczuła się niezdrowo zaintrygowana.

Pan Józef tylko wzruszył ramionami. Najwyraźniej uważał ten temat za nudny i ciągnął go jedynie dlatego, że wybitnie mu się to opłacało.

– Nie od kiedym tu był.

„Więc pewnie nie przyjeżdżali” – pomyślała.

– Kiedy młody przestał tu bywać?

– Młody?

– Ten chłopak, Robert.

Dozorca się roześmiał.

– Toż to stary *kuń*. – Wzruszył ramionami. – Zresztą nie wiem. Ze dwadzieścia. Dwadzieścia już pięć *roków* będzie. Teraz to nie młodzik. Ale jam go nie *widzioł*. Od tej pory znaczy.

– Dobrze dogadywał się z ojcem?

Pan Józef otarł usta wierzchem dłoni.

– Jak był dzieciak, to dobrze. Podziwiał go strasznie. Nazywał go „Wielkim Wodzem”. To było takie przezwisko.

– A wie pan, o co im poszło?

– O co poszło? – Józef zmarszczył brwi, jakby nagle się zgubił i zastanawiał się, czy już jest za bardzo pijany.

– Między nimi. Ojcem i synem.

Poruszył się niespokojnie.

– A bo ja wiem... – zakończył opadającą intonacją. Uniósł szklanke do ust i wypił do dna.

Ewa nie musiała mieć zdolności Gabriela ani być dobra w dynamice relacji międzyludzkich, aby rozumieć, że to nie było powątpiewanie, lecz ucieczka od tematu.

– Coś pewnie pan słyszał... – zaryzykowała.

– Ja? A co ja mógł słyszeć. Ja góral prosty, w sprawach ceprów się nie babrzę.

Z jednej strony Ewa lubiła to w góralach. Byli bardzo lojalni. Z drugiej strony miała wrażenie, że jeszcze jedna dolewka whisky i usłyszy plotki. Zastanawiała się, czy Gabriel pochwałaby tego rodzaju „mniejsze zło”.

– Młody poszedł nie w tę stronę, co ojciec planował? – podpuściła.

Pan Józef niespodziewanie zachichotał.

– Ale żeś przysadziła.

– Nie te studia? – doprecyzowała Ewa, nieco zdziwiona. – Rodzice często mają o to pretensję.

„Inna sprawa, że nie tak długo” – pomyślała.

– Jesteś, dziecko, na właściwym szlaku, tylko żeś zaszła na za niski wierzch.

– Słucham?

Pan Józef już nie odpowiedział. Po chwili milczenia uniósł szklanke, podziękował i wstał z wysokiego barowego stołka w taki sposób, jakby robił to pierwszy raz w życiu. A odchodząc, bełkotał jeszcze za siebie:

– Wiesz, co ci powiem, dziecko? Upór i starość to bardzo złe połączenie. Bardzo złe.

Zanim zniknął, Ewa jeszcze zawołała:

– Wie pan, czym się zajmuje?

– Kto?

– Młody.

Pan Józef się zawahał.

– Podobno pisze książki. Hen, za oceanem.

6.

Łącze internetowe w Pensjonacie pod Świerkiem może i nie było najszybsze, ale trzeba przyznać, że dawało radę. Oczywiście jeśli wpięło się do komputera kabel, a nie, jak Grażyna, korzystało w pokoju z wi-fi.

Wieczorem w recepcji panował spokój. Był dwudziesty drugi grudnia. Ci, którzy przyjechali na święta, już dotarli, a w środku nocy raczej nikt się nie meldował.

Po dziesiątej też nie pokazywał się żaden z gości. Poza pojedynczymi turystami, którzy wracali z Zakopanego, nikt nie zakłócał Ewie nocnej pracy.

Bez zastanowienia więc, gdy tylko zasiadła do komputera, wpisała w Google'u „Robert Duraj”.

Oczywiście, jeśli był pisarzem, w grę wchodził także pseudonim.

Nie znalazła niczego.

Jakieś wzmianki na Naszej Klasie, dawno martwej, dostępne tylko po zalogowaniu. Ewa nie miała konta. Ktokolwiek nadal miał?

Więc Robert Duraj istniał jako osoba. Zostały po nim ślady.

I być może istniał jako pisarz. Gdzieś tam.

Bez dodatkowych wskazówek nie była w stanie go znaleźć.

Nie istniała strona w Wikipedii ujawniająca jego prawdziwe dane (czy to znaczyło, że był mało znany?). Ani profil na LinkedIn mówiący o tym, czym prócz pisania się zajmował.

Widziała dwie opcje. Albo Robert Duraj dawno zakończył działalność artystyczną, albo był już sławny i nie potrzebował pieniędzy.

A potem zalogowała się na Instagram. W nocy ładnie napadało. Zrobiła urocze zdjęcia. Wiedziała, że gdy pogoda jest niezła, dobry filtr jest w stanie przerobić Małe Ciche na Sölden.

I wtedy dostała powiadomienie – @RobertGlemt polubił post, który wstawiła na profil Pensjonatu pod Świerkiem.

Normalnie by się nie przejęła. Nie zwróciłaby na to uwagi. Inna sprawa, że na Instagramie mało ludzi śledziło profil ich hoteliku. Coś ją tknęło. Robert?

Noc była zimna i ciemna. Ewa zawsze żartowała, że można by tu kręcić *Lśnienie*.

Nie miała nic innego do roboty. Kliknęła w zdjęcie.

Rozwinęły się kolejne.

Los Angeles. Palmy. Plaża. Dostatnie życie bogatego człowieka.

Czego szukał na profilu starego hotelu pod Zakopanem?

Robert.

Może wspomnień? W końcu *żyjemy dla wspomnień*.

Zegar wskazywał trzecią w nocy. Ewa musiała trwać na posterunku, ale to nie przeszkadzało, by się trochę rozerwała.

@RobertGlemt napisał: „Zima u Was. Wyciąg chodzi?”.

Beznamiętna, bezosobowa wiadomość. Która była w LA? Czy czuł się samotny w nocy?

„Zapraszamy, abyś sprawdził” – odpisała.

@RobertGlemt: „Chyba nie w tym życiu”.

Gdy zobaczyła jego odpowiedź, wiedziała, że to ostatnia wiadomość.

Po chwilowym uniesieniu, ekscytacji, gdy iskra rozbłysła, nagle Ewa znów dostrzegła drewnopodobną okładzinę kontuaru, nudną jak jej życie, które na powrót stało się bezbarwne. Tkwiła tu. W lesie. W głuszy. Jedyne, co mogło ją

nawiedzić, to nie wiadomość z Los Angeles, lecz... niedźwiedzie.

7.

Robert Glemt napisał osiem książek. Cztery stanowiły serię wydawniczą, więc Ewa w zasadzie nie wiedziała, jak je liczyć. W każdym razie pisarz-widmo istniał. A razem z nim istniała jego historia.

W nocy jeszcze mocniej napadało. Za oknem spaniel jednego z gości miał kłopot z chodzeniem i przypominał kozicę przeskakującą przez zaspę.

Gdyby było więcej gości, Ewa pewnie by się cieszyła, bo przy takich śniegach z konieczności zostaliby dłużej. Jednak piętnaście osób, które przed samymi świętami stanowiły obłożenie pensjonatu, to była liczba tak marna, że – wstyd przyznać – było jej wszystko jedno.

Robert Glemt już się nie odezwał.

Internet podpowiadał same dziwne rzeczy. Ewa kiepsko знаła angielski.

Co znaczyło: *LGBT choice award*?

Po południu do recepcji swoim sławetnym sztywnym krokiem zszedł sędzia Marian Duraj.

Ewa nigdy nie widziała, by się garbił. Zawsze chodził jak posągowa figura. Jakby wykuto go z brązu i bał się, że gdy tylko rozluźni mięśnie, to się rozleci.

– Czy bilard jest wolny? – zapytał.

– Niestety zajęty. Goście spod sto trzynastki skończą za dwa kwadransy. Ale mamy wolny ping-pong.

Nie wydawał się zainteresowany.

Już miał odejść od kontuaru, ale po chwili jeszcze się odwrócił.

– Zapytam dla pewności – zaczął. – Czy organizujecie państwo przyjęcia okolicznościowe?

– Naturalnie. Największa sala pomieści do stu osób.

Inna sprawa, że dawno nikt żadnego przyjęcia tutaj nie urządzał. Ludzie wybierali atrakcyjniejsze lokalizacje. Poza tym w porze roku, w której to miejsce zyskiwało urok, trudno tu było dojechać.

– To nie byłaby tak liczna grupa. W zasadzie tylko dziesięć osób. Urzędnik, świadkowie i przyjaciele.

– Urzędnik? – zapytała, zanim przyszło jej do głowy, że to wścibstwo.

– Kilka lat temu weszła taka ustawa... – odrzekł. – Teraz można wziąć ślub poza urzędem stanu cywilnego.

Ewa podniosła głowę i na moment zatrzymała na Marianie Duraju wzrok. A potem pomyślała, że chyba zbyt szybko wyciąga wnioski.

– Naturalnie – powiedziała. – W takim razie młodzi będą pierwszą parą

organizującą u nas taką uroczystość.

Duraj spuścił oczy, uśmiechając się pod nosem.

– No, dużo można o mnie powiedzieć, ale nie to, że jestem młody.

Ewa miała wrażenie, że się przesłyszała.

– Czy mógłbym w takim razie zarezerwować termin? – zapytał. Ale gdy w końcu spojrzął Ewie w oczy, zobaczyła w nich coś jakby poczucie obowiązku – w każdym razie żadnej radości.

– Oczywiście – powiedział głos, który wydobył się z ust Ewy, lecz wcale nie należał do niej. – Który weekend pana interesuje?

Marian Duraj podał datę pod koniec kwietnia, potem zwięźle odpowiedział na kilka standardowych pytań, a następnie, zostawiając Ewę w totalnym osłupieniu, odszedł.

8.

Wieczorem, gdy Gabriel jak zawsze zszedł do bawialni, by zasiąść w swoim bujanym fotelu, po przekroczeniu progu czekała go niespodzianka.

Siwa głowa wystawała zza kraciastego oparcia fotela, a jej właściciel samotnie i w ciszy obserwował płomienie.

Inni mogliby się dziwić, że Marian i Grażyna, którzy przyjechali razem, spędzają ze sobą tak niewiele czasu, ale nie Gabriel.

Gdy przez czterdzieści lat odwiedzasz jakieś miejsce z określoną osobą, trudno nie widzieć wspólnych wspomnień nawet w kotach kurzu.

Ewa była mocno poruszona całą sprawą.

Gabriel przypuszczał, że Marian Duraj, przywożąc tu pod koniec życia kolejną kobietę, mocno uraził romantyczną stronę Ewy. Godziło to w concept jedynej prawdziwej miłości, w którą jego siostra, jako kobieta po trzydziestce, nadal niestety wierzyła.

Gabriel, który przez swoją „nocną zmianę” widział już naprawdę dużo rzeczy na tej ziemi, był bardziej pragmatyczny.

A jednak, gdy dzisiaj rano dowiedział się, że Duraj planuje wziąć ślub na Zgorzelisku, pomyślał, że ludzie mają wprawdzie wolną wolę, ale czasami, gdy chcą aż tak zbłądzić, należy wskazać im drogę wyjścia z labiryntu.

Ewa by się ucieszyła. Czy nie tego chciała od początku? By się wtrącił?

Gabriel podszedł ku dwóm fotelom przy kominku i położył dłonie na oparciu jednego z nich.

Duraj obrócił głowę.

– Ładny zapach – rzekł. – To chyba nie jest zwykłe drewno na opał?

Gabriel się uśmiechnął.

– Brzoza. Pomaga na oskrzela i ogólnie na drogi oddechowe.

– Dbacie o swoich gości – skomentował Duraj.

- Staramy się – powiedział Gabriel i wskazał drugi bujany fotel. – Mogę?
- Jest pan u siebie.

Gabriel domyślał się, że to nie była zachęta. Ale postanowił to zignorować i wsunął się na fotel, który natychmiast zaskrzypiał.

– Słyszałem, że planuje pan u nas uroczystość – odezwał się po kilku minutach. Powinien dodać jeszcze jakąś uwagę, może pogratulować – inaczej zdanie to wisiało w powietrzu i nie wiadomo, czy było zwykłym stwierdzeniem, czy kąśliwym przytykiem.

– Wesele – zaśmiał się dość powściągliwie. – Choć w moim wieku to już inaczej powinno się nazywać.

– Jak?

– Bo ja wiem? W każdym razie wesołości będzie w tym niedużo.

Gabriel poprawił się na krześle.

– Proszę wybaczyć ciekawość... Ale po co panu papier w tym wieku? To znaczy oczywiście to nie moja sprawa. Ale ojciec kiedyś mówił, że nie był pan religijny i...

Marian Duraj się roześmiał. To był tubalny śmiech kogoś głęboko rozbawionego.

– Twój ojciec był bardzo wierzący, prawda?

– Tak jak ja – przyznał naturalnie Gabriel.

– Więc to pytanie jest zaiste bardzo dziwne, bo skoro tak, to powinieneś uważać, że nikt nie powinien mieszkać ze sobą bez ślubu.

Stary prawnik jak zawsze był celny. I przemądrzały. Gabriel uśmiechnął się pod nosem.

– Rozumiem, ale... mimo wszystko... – Gabriel zastanawiał się, jak naprowadzić Duraję na właściwe tory, nie sprawiając wrażenia, że jest wścibski lub wtyka nos w nie swoje sprawy.

– Kochany... wiesz, ile mam lat? – zapytał w pewnej chwili sędzia.

– Mamy pański PESEL w bazie.

– No właśnie. Więc wiesz, że w moim wieku takich głupot nie robi się z powodu uczucia. Powód jest znacznie bardziej... – zapatrzył się w ogień – życiowy.

Gabriel pomyślał, że teraz nawet nie wypada mu naciskać. Zresztą gdyby sędzia poczuł się wypytywany, skarciłby go bez oglądania się na takt.

– Widzisz, czasami, nawet gdy było się przyzwoitym człowiekiem, na starość nie ma ci kto podać szklanki z wodą, byś mógł rano popić swoje tabletki. A Grażyna to dobra dziewczyna, opiekuńcza. Poza tym bez obrazy, ale nie chcę, aby po mojej śmierci moje mieszkanie poszło na kościół. Jest sporo warte. Grażyna tam sobie pomieszka. Lub je sobie sprzeda.

– Mógłby je pan po prostu zapisać. Za opiekę. Prawda?

– Prawda – odparł cierpko Duraj. – I dziewczyna zapłaciłaby kilkadziesiąt tysięcy podatku.

– Musi pan mieć spore to mieszkanie.

Duraj spojrział na niego.

– Powiedzmy, że jest po prostu w dobrym miejscu. Poza tym emerytura. Jako żona Grażyna będzie mogła ją pobierać po mojej śmierci.

– To będzie niedelikatne pytanie, więc proszę nie odpowiadać, jeśli pana urażę. Ale naprawdę nie ma pan komu zapisać swojego majątku? Komuś z rodziny?

Duraj przez chwilę sprawiał wrażenie człowieka, którego podniosło na krześle. Szybko jednak zdołał znów przywdziać maskę spokoju. Prawdopodobnie jego zadęcie działało na korzyść Gabriela.

– Poczulem się zmęczony. – Jednak nie potrafił tak dobrze udawać. – O której jutro spotykamy się wszyscy w jadalni?

Gabriel zrozumiał, że powinien przybrać profesjonalny uśmiech.

– Kolacja wigilijna jest o czwartej.

– Czyli nie równo z pierwszą gwiazdką? – skomentował, już wstając.

– Wie pan, tu, w górach, gwiazdy widać znacznie lepiej. Przez to wcześniej.

– Wiem – powiedział Duraj. Brzmiało to niemal jak napomnienie.

– Panie Marianie? – zagadnął jeszcze Gabriel. – Wybacz pan... zdaje się, że ma pan syna. Dlaczego nie spędza pan Wigilii z nim?

Duraj przez chwilę wpatrywał się w Gabriela bez słowa.

– „Zdaje się” to dobre określenie. A teraz pan wybacz. – Uniósł brodę. – Dobrej nocy.

9.

Tego wieczora, leżąc w łóżku, Gabriel zastanawiał się, jak rozegrałby to jego ojciec. Oczywiście nie wolno im było wtrącać się w sprawy podopiecznych, ingerować w ich życie. Ale przecież byli od tego, by pomagać. Między innymi.

Tak więc chciał pomóc Durajowi.

Patrząc na nieregularne pęknięcia w suficie pokoju, rozważał, jak musi czuć się człowiek, który całe życie trzymał się sztywnych ideałów, a teraz zaprzeda je... w zasadzie za co? Za tę przysłowiową szklanekę wody?

W końcu, ostatecznie, Duraja stać było na opiekunkę, nawet mieszkającą z nim na stałe, nie musiał się z nikim żenić. Z drugiej strony – jak niekomfortowo musi się czuć człowiek, który traci siły, coś mu dolega, nie zawsze jest w wyjściowej kondycji, a musi mijać się z obcym człowiekiem we własnym domu. Może Grażyna była mniej „obca”? Może była wygodnym wyjściem?

Gabriel nigdy nie był romantyczny, a i tak przeszło mu przez myśl pytanie: w jakim świetle ten ślub postawiłby pamięć o Alicji?

Chyba właśnie o to chodziło. O to, że na koniec życia nie powinno się wywracać wszystkiego do góry nogami.

Jutrzejsza Wigilia nie była dobrym momentem na moralne pouczenia. Zresztą jakie Gabriel miał prawo pouczać tego człowieka?

Usłyszał pukanie.

Było wpół do jedenastej. Jeżeli coś stałoby się w pensjonacie, zadzwoniliby do niego z recepcji. Pukać więc mogła tylko Ewa.

Po chwili stanęła przy jego łóżku, ubrana w piżamę.

Minę miała zmartwioną. Usiadła.

– W ten pierwszy wieczór powiedziałaś, że Duraj powinien pogodzić się z synem.

– Ty dalej o tym – zachnął się, bo sam był na siebie zły, że ten stary człowiek od trzech dni wciąż zaprzętał mu głowę. – Nie masz innych zmartwień? Nie wiem, na przykład tego, że chyba wciąż nie zapłaciliśmy za zeszły kwartał za prąd?

– Och, przestań się zgrywać – ucięła Ewa. – Dobrze wiem, że się martwisz. Dzisiejszego dnia przyszedł do mnie pan Józef i powiedział, że godzinę szukałeś kluczy od auta, gdy chciałeś jechać po zaopatrzenie, i znalazłeś je w skrzynce na listy. Nie udawaj takiego zimnego, Jezus Maria!

Gabriel jedynie westchnął. Ewa miała rację i kłócenie się z nią było bezcelowe. Z drugiej strony nawet się cieszył, że ktoś go rozumiał.

– Będziesz go chciał od tego odwieść?

– W zasadzie dlaczego powinienem?

– Bo tak należy? – Ewa rozłożyła ręce.

– A skąd ja wiem, co należy? – Gabriel zerwał się z łóżka i nerwowym gestem przejechał po przydługich włosach. – Wiem, kiedy on umrze. I wiem, że jest zmartwiony. Może jeszcze potrafię stwierdzić, czy potrzebuje rozgrzeszenia, ale nic więcej. Nie zmuszę Duraja do zmiany zdania.

Ewa wstała i wlepiała w brata wzrok – w piżamie wyglądała jak naburmuszony gnom – i powtórzyła to, co usłyszała od Gabriela kilka dni temu:

– A kto ci broni pomóc mu wyciągnąć wnioski?

– Dlaczego uważasz, że powinienem się w to mieszać?

– Bo napisał do mnie jego syn.

– Słucham?

– To znaczy... odezwał się na Instagramie. – Ewa spuściła oczy. Wiedziała, jak bardzo Gabriel nie lubił mediów społecznościowych. Po prostu ich nie akceptował. Uważał, że służą najniższym ludzkim instynktom.

– Och, to głęboką przeprowadziliście rozmowę.

Minęło kilka minut milczenia.

– Przepraszam – odezwał się Gabriel. – Co dokładnie napisał ten facet? –

Przygryzł wargę, podpierając się pod boki. Planował.

– Robert Glemt?

– Kto? – zapytał, lecz Ewa tylko machnęła ręką.

– To jego pseudonim literacki. Mieszka w Los Angeles.

– I co powiedział?

– Skomentował zdjęcie naszego parkingu z furą śniegu. Zrobiłam je wczoraj.

Ale gdy go zaprosiłam, powiedział, że przyjedzie tu „chyba nie w tym życiu”. Odniosłam wrażenie, że wspomina to miejsce.

– Próbowalaś szukać o nim jakichś informacji w sieci?

Ewa wzruszyła ramionami.

– Lepiej znasz angielski. Sam sprawdź.

10.

Resztę nocy Gabriel spędził pochylony nad świecącym na niebiesko ekranem komputera w recepcji. Amerykański sklep internetowy Amazon udostępniał wygodną funkcję. Przed zakupem można było pobrać na dysk fragment każdej książki, jaką tylko mieli.

Po wpisaniu w pasek wyszukiwania nazwiska Glemta wyskoczyło osiem pozycji. Z boku zamieszczono również krótkie bio pisarza.

Gabriel jedynie przeleciał po nim wzrokiem. Zatrzymał się na zdjęciu. Robert Duraj miał oczy swojego ojca.

A potem spojrzął na tytuły. W zasadzie nie musiał pobierać fragmentów, żeby domyślić się, o czym były książki. Podejrzewał, że Robert Glemt był kalifornijskim odpowiednikiem polskiego Michała Witkowskiego. Co z kolei nie pozostawiało wątpliwości w sprawie poglądów i orientacji seksualnej pisarza.

Czy to możliwe, że o to chodziło?

Że stary Duraj nie akceptował syna geja?

„Żyjemy w końcu w dwudziestym pierwszym wieku” – nie dowierzał Gabriel.

Ale z drugiej strony mało to było ludzi o zatwardziałych poglądach? Choćby tu, na Podhalu?

„Dobrze przynajmniej, że ma jeszcze trochę czasu” – pomyślał Gabriel, mając na uwadze, co dla Mariana przeczuwał.

Ewa i ich ojciec nazywali tę cechę darem.

Gabriel znacznie częściej uważał ją za przekleństwo.

Przygotowania do Wigilii ruszyły pełną parą już o jedenastej. Pod koniec śniadania kelnerki nerwowo stały w stołówce, gotowe zebrać naczynia, gdy tylko goście wstaną od stolików. Ci zresztą, wyczuwając rosnące napięcie, uprzejmie się pośpieszyli. Przed samą wieczerzą dojechało jeszcze kilka osób, ale liczba gości i tak nie miała przekroczyć dwudziestu.

Gabriel pomyślał, że to będzie pełna intymnej atmosfery uroczystość.

Było około trzeciej po południu, kiedy – już w odświętnym garniturze – Gabriel zawiązał muchę pod szyją i głęboko spojrzął sobie w oczy. Do tej pory z tym zwlekał. Ale wiedział przecież, co należało zrobić.

Gdy zszedł do piwniczki i zapukał, pan Józef jak zawsze głośno zawołał przez drzwi:

– Chwileczkę.

Gabriel dobrze wiedział, na co pan Józef tej chwileczki potrzebował.

Gdy otworzył drzwi, Gabriela owiała chłodna miętowa woń odświeżacza do ust.

Pan Józef patrzył na niego nieruchomym wzrokiem człowieka, który stara się wyglądać trzeźwo. Gabriel pomyślał, że w takie dni jak Wigilia panu Józefowi musi być szczególnie trudno.

Dozorca uśmiechnął się sztywnym uśmiechem kogoś, kto chce być uprzejmy.

– Chyba jeszcze nie pora?

– Nie. Nie spóźniłeś się. Chcę porozmawiać.

Pan Józef przez chwilę marszczył brwi. Co innego będą robić przy stole przez następne godziny, jeśli nie rozmawiać? Jednak ze skupionego wzroku Gabriela wycierała powaga, która mówiła, że o tej sprawie chciałby pomówić na osobności, więc pan Józef po pierwszym zdziwieniu od razu uchylił szerzej drzwi.

Jego piwniczka jak wszyscy nazywali to lokum, była w istocie mieszczącym się obok narciarni dwupokojowym mieszkankiem, w którym było nawet małe, wychodzące na parking, okno, niestety umieszczone – jak to w podpiwniczeniu – wysoko. Gabriel nieraz proponował panu Józefowi przenosiny, ale ten odmawiał.

Gabriel sądził, że gdyby samemu przyszło mu tu mieszkać, wpadłby w depresję.

A potem pomyślał, że przeżywszy to, co pan Józef, depresja to oczywiste następstwo i ciemna nora w tej sytuacji ani nie pomaga, ani pewnie nie szkodzi.

– Czy widziałeś się z Marianem Durajem? – zapytał, gdy już zasiadł na krześle przy gołym stole, który stanowił główny mebel w mieszkaniu – łatwo było sobie wyobrazić, jak życie pana Józefa mijało przy tym stole. Przy nim jadł. Wieczorami prawdopodobnie przy nim zalewał smutki. Może dobrze, że nie było przed nim okna, a przynajmniej okna z widokiem. Kiedy człowiek pije samotnie, patrzy na góry, na ich ostre granie i daleki horyzont, głupie rzeczy mogą przyjść do głowy.

– Tylko przelotem – odparł pan Józef.

– Nie przyszedł na partyjkę szachów?

– Ostatnio graliśmy dziesięć lat temu.

– Myślisz, że mógłbyś wyświadczyć mi pewną przysługę?

Dozorca popatrzył na Gabriela z podszytym obawą zawahaniem.

– Założyłeś się z kimś, że go ogram?

– Założyłem się ze sobą. Że będziesz w stanie mu pomóc.

– Co takiego miałbym zrobić? – zapytał pan Józef.

– Niewiele – powiedział Gabriel.

„W zasadzie tylko opowiedzieć mu, jak bardzo tęsknisz za swoim dzieckiem” – dopowiedział sobie w głowie.

11.

Pierwsza gwiazda świeciła jasno, widoczna przez panoramiczne okna w jadalni, i wydawała się znajdować dokładnie pośrodku nieba. W tle grały góralskie kolędy, na stole stało tradycyjnie dwanaście potraw. Kucharz Franek, który nerwowo zgniatał pulchne palce, sprawdzając, czy jedzenie wszystkim smakuje, chyba powoli zaczął się rozluźniać. Goście złożyli sobie wspólne życzenia, jak do toastu wstając zza stołu, a gospodarze przygotowali symboliczne prezenty. Każdy dostał paczkę, a w niej pięknego rzeźbionego anioła.

To Ewa zamawiała podarunki.

Gdy ludzie zaczęli otwierać prezenty, Gabriel znacząco spojrzał na siostrę. To było długie, pełne wdzięczności spojrzenie.

A ona się uśmiechnęła.

Oczywiście nie było mowy, by goście ze Zgorzeliska wszyscy pojechali na pasterkę. Tylko kilka osób planowało wsiąść do samochodów. Reszta po Wigilii po prostu zarzuciła kurtki na plecy, wzięła do rąk grzane wino – po wieczery zakaz alkoholu podobno przestawał obowiązywać – i wyszła na zewnątrz, by popatrzeć na gwiazdy i pokolędować.

Sędzia Marian Duraj miał już wchodzić do środka – głupie zajęcie, tak stać na dworze i zadzierać głowę – kiedy ktoś chwycił go pod rękę.

– Przejdę się kawałek. Idziesz ze mną?

Sędzia odwrócił głowę.

Kiedyś lubił tego człowieka. Gdy Marian przyjeżdżał tu z Alicją i obaj z Józkiem byli jeszcze w miarę młodzi, chodzili razem po górach. To było wybawienie, bo Ala nie lubiła wędrówek, a Marian z kolei nie lubił chodzić sam. No i Józek dobrze grał w szachy.

Ale potem, po tym wypadku, gdy z Józka, porządnego człowieka, zrobił się pijaczyna... można powiedzieć, że... nie znajdowali tematu. Kiedy Marian przyjeżdżał do pensjonatu, celowo unikał chodzącego chwiejnie dawnego kolegi, a Józek... a Józek był góralem. Prędzej odgryzłby sobie rękę, niż próbował się narzucać.

Tym razem jednak wzrok Józefa wyrażał niewypowiedzianą prośbę i Duraj po prostu kiwnął głową.

„Ciekawe, czego chce – pomyślał. – Pewnie darmowej porady prawnej”. Ludzie przypominają sobie, że znają prawnika, najczęściej wtedy, gdy dostaną poleconym jakieś niespodziewane wezwanie albo zawiadomienie. Wtedy zaczynają dzwonić, ale szybko się okazuje, że krótko po „kopę lat, co słyhać?” następuje właściwa sprawa.

– Kopę lat... – zaczął Józef.

No tak...

– To prawda – odparł sztywno Duraj.

Ruszyli wolnym krokiem w stronę stoku. Ich przygarbione plecy oddalały się na ośnieżonej ścieżce.

– Przywiozłeś ze sobą młódkę. Wygląda na miłą osobę – powiedział Józef, gdy już minęli stację wyciągu.

– Grażyna ma sześćdziesiąt pięć lat.

– Liczysz, że będzie o ciebie dbać do śmierci, jak się z nią ożenisz? Nie boisz się, że jak już podpiszesz papier i będzie miała pewność, że ma *dućki*, to cię nie oleje?

Wprawdzie ich chód był powolny i niepewny na śniegu, a włosy posiwiały, ale przez chwilę wydawało się, jakby znów mieli po trzydzieści parę, czterdzieści lat i razem wchodzili na Zawrat.

W tamtych czasach odbyli wiele szczerých rozmów i gdy Marian myślał o tym po latach, prawdopodobnie była to prawdziwa przyjaźń. Zaczęła się w nieoczywisty sposób. Pochodzili z zupełnie różnych środowisk. Ale Józef nigdy nie owijał w bawełnę. To podobało się Marianowi. No i nie mieli kiedy się sobą znudzić. Przyjaźń odżywała kilka razy w roku. Gdy Marian przyjeżdżał, odradzała się z wcześniejszą intensywnością, potem trwała parę dni, co przypominało trochę płomienny romans – wychodzili razem w góry, opowiadali sobie, co działo się przez te kilka miesięcy, i wtedy wydawało się, że nie ma na świecie dwóch mężczyzn rozumiejących się lepiej.

A potem Marian wyjeżdżał i emocje pozostawały w zawieszeniu.

Być może gdyby spędzali ze sobą więcej czasu, jak znajomi mieszkający w jednym mieście, czuliby przesyt sobą, być może zaczęliby sobie zazdrościć i ze sobą rywalizować. Tak jednak nigdy nie mieli na to szans, a ich znajomość zachowywała urok chwil, którymi nie można się nasycić.

Wszystko się zmieniło dopiero po śmierci żony i córki Józefa. I nie chodziło nawet o to, że zaczął pić i chwilami robić z siebie pośmiewisko, przez co sędzia – przykro to przyznać – w końcu zaczął nim gardzić.

Przed wszystkim Marian nie wiedział, jak odnosić się do ogromu nieszczęścia, które spotkało Józefa. Bardzo mu współczuł, ale zupełnie nie umiał z nim o tym rozmawiać. Ciągłe zastanawiał się, czy używa właściwych słów, bo wszystkie wydawały mu się zbyt małe, a przez to nieczułe.

Tym bardziej że Józef nie ułatwiał mu sprawy.

Więc w końcu przestali rozmawiać w ogóle. Gdy Marian przyjeżdżał, mijali się na korytarzu pensjonatu, wymieniając zdawkowe pozdrowienia i odchodząc.

Wtedy Duraj – ku swemu zaskoczeniu – odkrył, że radzenie sobie z nieszczęściem przyjaciół to trudniejsza umiejętność niż radzenie sobie z ich sukcesem.

– Uważasz, że powinienem ci się tłumaczyć? – zapytał.

– Nie wiem, ale niektórzy ludzie płacą za to, żeby ktoś ich wysłuchał. A ja to właśnie oferuję. Oczywiście nie za darmo.

Przechodzili właśnie koło Gospody u Olejorzy. Oczywiście była zamknięta, ale taras, na którym zwykle wylegiwali się narciarze, stał otwarty.

Józef odśnieżył dwa krzesła, a potem z szuraniem – i nadzieją w oczach – przestawił je tak, żeby mieli piękny widok na ośnieżony stok. Lampy wzdłuż trasy były wprawdzie wyłączone, ale bieluteńki śnieg czarownie odbijał światło księżyca.

– Pogadamy, jak się ze mną napijesz. – Józek wsparł ręce na oparciu krzesła.

– Wiesz, że ciężko mi wytrzymać parę godzin. Ta Wigilia to była tortura. Nie zmarzniemy. *Kaboty* mamy ciepło.

Marian Duraj przez chwilę patrzył w zniszczoną, źle ogoloną twarz kolegi. Spomiędzy bruzd na skórze nieregularnie wyrastał przydługi siwy zarost, co powodowało, że Józef przypominał starego, źle oskubanego ptaka. Czekał, pochylając na bok głowę i oddychając przez usta. Wydobywała się z nich para.

Z drugiej strony Marian nie czuł, by było mu specjalnie zimno. A alkohol dodatkowo ich rozgrzeje.

Inna sprawa, że przecież miał nadciśnienie.

„Przestań być taki uważny. Niczego już prawie nie robisz. Żyć tak jak ty to równie dobre jak umrzeć” – mówił sobie w duchu.

Dla Mariana było jasne, że to Józkowi, nie jemu, potrzebna jest ta rozmowa. Dał się wmanewrować, niestety. Ale jest Wigilia. Ostatecznie może sobie pozwolić na dobry uczynek.

Marian Duraj uśmiechnął się na znak, że się zgadza, i gdy obaj usiedli, Józef wyciągnął wiśniówkę gestem studenta, który urwał się z zajęć, a teraz przysiadł z kolegą na murze. Tak właśnie Marian się poczuł. Nadal pamiętał, jak wracał chwiejnym krokiem z krakowskiego Rynku, przysiadali z chłopakami na Plantach, była czwarta w nocy, mieli jeszcze jakąś flaszkę w kieszeni. Studiował wtedy na trzecim roku. To były czasy.

Żyjemy dla wspomnień – podpowiedziało mu... co to było... Sumienie?

Chwilę później Józek wysupłał z kurtki drugą wiśniówkę. Wyglądało to, jakby założył, że tę w piersiówce odda Marianowi. Okazało się, że miał jeszcze ćwiartkę w kieszeni.

Mańkowi przeszło przez głowę, że to dobrze, że jest więcej alkoholu. To jednak była młodzieńcza myśl. Niepasująca do jego problemów z ciśnieniem.

A potem karcący głos w jego głowie się wyłączył i Marian pomyślał, że miło jest pociągnąć łyk palącego w gardło trunku, gdy powietrze wokół jest mroźne i ostre, tak że czuć zimno w nozdrzach, i nic się z tego tytułu w zasadzie nie stanie.

Jednakowoż trudno mu było dopuścić, że kiedyś robił takie rzeczy, jak wtedy na Plantach. Gdzie miał rozum? Nie myślał o reputacji? „Na szczęście wszyscy, którzy mogą pisać o tym słówko, nie żyją” – pomyślał i się uspokoił.

Józek uniósł swoją ćwiartkę i pociągnął.

– Kiedy ostatnio jeździłeś? – zapytał, spoglądając z nostalgią na stok.

– O tym chciałeś gadać? – powiedział, a potem pomyślał, że jak na dobry uczynek, tamten wstęp był średni. – Daj spokój. W dziewięćdziesiątym ósmym – dodał koncyliacyjnie. – Artretyzm. I inne cholerstwa. Starość się Panu Bogu nie udała. Jesteśmy młodzi, to boimy się umrzeć, bo wydaje nam się, że potem wszystko będzie tak samo. A nie jest.

– Nie jest.

– Ostatnio nie mogłem sam zawiązać sobie butów – wyznał Duraj w przypływie otwartości, który dawno mu się nie zdarzył. – Jak się zginam, to mi się odzywa to biodro, co je stłukłem.

Józek zaśmiał się i wznosił swoją wiśniówkę.

– Nie ma to jak potłuc dupę z przyjemnością – odparł Józek.

Obaj pamiętali, jak w któregoś sylwestra wzięli w nocy sanki z pensjonatu i ścigali się w dół stoku. Marian z Alą, a Józek ze swoją żoną.

Marian pomyślał, że z drugiej strony to trochę smutne. Siedzieli tu teraz, starzy... za chwilę pewnie niedołęzni. I jedyne, co mieli, to te kilka beztroskich chwil, które mogli przywoływać.

– Jakbyś wiedział, jaka będzie starość, to żyłbyś inaczej?

– Mniej ostrożnie? – zgadł Marian.

Przez kilka sekund Duraj wpatrywał się w zarys Tatr na horyzoncie. Część jego zachowań wynikała z surowego wychowania. Ale pod sztywną skorupą był przecież wrażliwym człowiekiem.

– Nie wiem – odparł w końcu. – Ale wiem jedno. Jeśli nigdy się nie potkniesz i nigdy nie ośmieszysz, to na koniec życia nie będziesz mieć żadnej zabawnej historii do opowiedzenia.

Obaj zgodzili się co do tego, a Józek po chwili spuścił głowę.

– Ten ślub... to jedna z tych zabawnych historii? – Spojrzał na niego z ukosa.

– A daj ty spokój – powiedział Marian tonem lekkim, mocno już rozbawionym.

Kilka łyków wiśniówki wtłoczyło w niego trochę życia. Wyprostował się, po

czym znów się pochylił, opierając przedramiona na kolanach. Nie czuł się tak dobrze od... w zasadzie nie pamiętał od kiedy. Wigilijna noc nagle zrobiła się cieplejsza i jasna. Płatki śniegu, wcześniej zwiastowane jedynie przez chmury frunące nad głowami, zaczęły wirować powoli i osadzać się na tarasie gospody lekkim, miękkim puchem. Ślady Mańka i Józefa, przed chwilą jeszcze tak wyraźne, teraz powoli zanikały, jakby szli tędy nie ludzie, lecz duchy.

– Mam nadzieję, że nie chcesz mnie pouczać? – rzekł Maniek.

Józek pokręcił głową, a Maniek westchnął.

– To dobrze. Bo nic nowego byś mi nie powiedział. To samo słyszałem wczoraj od tego gówniarza, Gabriela. Wam się wydaje, że Grażyna chce mnie oskubać, starego, naiwnego dumia. – Pokręcił głową, jakby bawiło go to, jak bardzo ludzie się mylą. – Tylko że ja może jestem stary, ale do naiwnego jeszcze mi daleko. Ludzie oceniają wszystkich z marszu. Każdemu przypinają łatkę, jeszcze zanim otworzy do nich gębę.

Józef spojrział na niego z ukosa, na twarzy miał cień zdziwienia.

Marian kontynuował:

– Ta kobieta miała męża pijaka... – Zerknął w bok, na Józka. – Bez urazy – kontynuował. – Gdy umarł, została sama z dorosłą córką, która porusza się na wózku. Pół życia obserwowałem, jak podnosiła z wózka Natalię, a potem na rękach wносиła ją na drugie piętro, bo mieszkała w budynku bez windy. Póki dziewczyna była dzieckiem, wnoszenie Natalii przynosiło tylko bóle krzyża. Ale gdy stała się dorosła, była po prostu za ciężka. W końcu zlitowała się nad nimi sąsiadka z parteru. Zamieniły się mieszkaniem. Oczywiście na gębę. W papierach wszystko zostało tak samo.

Marian Duraj siedział pochyłony, ciemna poważna figura na tle gwieździstego nieba, a Józef patrzył na niego pełnymi zdziwienia oczami.

– Po mnie zostanie jej znacznie większe mieszkanie. Natalia wreszcie będzie miała własny pokój. – Schylił głowę i spojrział na swoje dłonie. Lekko je potarł. – Może to grzech, mówić to głośno w Wigilię, ale Bóg nie jest sprawiedliwy. Czasem dobrym ludziom zdarzają się bardzo złe rzeczy.

Oczy Józefa, niebieskie i wrażliwe, przesunęły się po policzku Mariana, jakby nagle nieobecne.

– A ja mam dobrą emeryturę. Trumna nie ma kieszeni – dodał Duraj.

– A ty chcesz, żeby ślady twoich stóp przeżyły ciebie...

– Słucham?

Lecz zamiast powtórzyć Józef jedynie wyrozumiale się uśmiechnął. Potem spojrział przed siebie, jakby chciał odwrócić uwagę od słów, które zaraz wypowie. Wzrok miał utkwiony w światłach palących się w dolinie, plecy sztywne.

– Wiesz, czego jeszcze nie ma trumna? – zapytał z głową zwróconą na wprost. Marian Duraj spojrział na niego z lekkim wyrzutem, miał wrażenie, że Józef

nie docenił jego wcześniejszej błyskotliwej puenty. – Kalendarza.

– Jakiego kalendarza?

Teraz Józef obrócił głowę.

– Takiego, który cię uprzedzi, kiedy umrzesz. Na co jeszcze wystarczy ci czasu, na co nie. I kiedy niespodziewanie go zabraknie.

Marian prychnął i odwrócił głowę zakłopotany. Ostatnio zbyt często myślał o własnej śmierci. Miał wrażenie, że za każdym razem, gdy w nocy otacza go mrok, okalała go już ostatecznie, i kilkakrotnie już zdarzyło się tak, że był szczerze zdziwiony, że w ogóle się obudził. A jednak nigdy nie przyznałby się do tej myśli głośno.

– Widzę, że upijasz się na smutno – skomentował.

– Mówisz, że dobrym ludziom zdarzają się czasem okropne rzeczy, i to prawda. Chcesz pomóc tej kobiecie. Ale to nie wymaże twoich własnych win.

Marian Duraj odwrócił głowę tak szybko, że można było pomyśleć, że zwichnął sobie szyję. Jego oczy wyrażały wzburzenie. W końcu kim był ten stary góral, żeby pouczać jego, sędziego Sądu Najwyższego?...

– Moich win? Jestem porządnym człowiekiem, który żył przykładnym życiem. Którego nikt nigdy nie znalazł w rymsztoku... – Spojrzał na Józefa wymownie. – W przeciwieństwie do niektórych.

– I człowiekiem, który od dwudziestu lat nie gada z własnym dzieckiem.

Sędzia Marian Duraj wyprostował się i ze świstem nabrał powietrza głęboko do płuc.

– Akurat o tym nie będę dyskutował.

Józef znów spojrzał w dal na światła w dolinie, zanim zaczął:

– Wiesz, jacy są górale. Mamy swój upór i jak się raz uprzemy, to *kuniec*. U nas na wierchu, tam gdzie mieszkałem jako dziecko, żaden pomieszaniec by się nie uchował. – Marian szybko odwrócił twarz, jakby nie chciał nawet o tym słyszeć. – Ani pederasta inny. Ani przebieraniec taki, co nie wiadomo, czy to baba, czy to chłop, i chodzi pomalowany. Ale gdybym choć jeszcze na jeden dzień mógł zobaczyć moją Marysię...

Marian Duraj wolno obrócił głowę i spojrzał na Józefa.

– Jeszcze raz... – Policzki miał poorane bruzdami, trzęsła mu się broda. – To mogłaby być, kim by chciała. Już nie miałbym pretensji, że nie chce zostać na wierchu. Tak żem ją skrzyczał, że do tego Krakowa iść chciała. I powiedziałbym jej, żem dumny z niej jest. Jak diabli. – Stary mężczyzna otarł jedno oko wierzchem zniszczonej, kulfoniastej dłoni.

– Nic nie rozumiesz. – Marian, wyprostowany jak struna, brodę trzymał wysoko, jakby woda podchodziła do góry, a on zaraz miał utonąć. – On opisywał to swoje zboczenie. W książkach. Ze szczegółami... – Powiedział te słowa, jakby splunął. – Jak ja bym wyglądał przed prezesem sądu? Jak ja bym wyglądał przed

ludźmi, gdyby się dowiedzieli?...

– Czy ci ludzie przyjdą na twój pogrzeb? – Marian zajrzał mu w oczy.

– Co takiego?

– Pytam: czy ich obchodzisz? – Celowo wpatrywał się w oczy Mariana Duraja, w których pojawiły się najpierw zaprzeczenie, a potem wyparcie i kpina. – Masz siwy łeb, Maniek, ale taki głupi. Pamiętasz, jak w osiemdziesiątym którymś, co to dopiero drugi wyciąg otworzyli, pamiętasz, jak Bercik, jak żeście tu jeszcze wszyscy przyjeżdżali, łąził za mną jednej zimy i tak męczył i męczył, żebym go na nartach jeździć uczył? – Józef uparcie zaglądał w oczy Mariana, choć ten trzymał głowę wysoko, patrzył na wprost i dopiero po chwili odrzekł:

– Pamiętam.

– I pamiętasz, jak mu nie wychodziło? Bał się, że nie ma do tego talentu. Ale łąził za mną ten dzieciak i prosił, nie szło się opędzić.

– Pamiętam.

– Jak któregoś razu znowu *siodł* na zadku, to *siem* go zapytał, po co chce się nauczyć, jak się boi zjeżdżać i widać, że mu to żadnej przyjemności nie sprawia. I wiesz, co mi odpowiedział?

Marian westchnął.

– Nie, nie wiem, co ci odpowiedział, Józek.

– Że uczy się, żeby tata go wreszcie polubił. – Powiedział, a potem, niemal na tym samym oddechu, zapytał: – Znasz duński? Albo norweski?

Marian Duraj wolno odwrócił głowę.

– A co to za pytanie? Skąd ci to przyszło do głowy?

– Znasz?

– Nie – odpowiedział ostro sędzia. – Ale ten... – Westchnął, jakby chciał dodać sobie sił. – Mężczyzna... co z Robertem mieszka. W Ameryce. Jest Duńczykiem – powiedział, a na tle nieba rozeszła się chmurka pary. – Kiedyś poprosiłem Natalię, żeby znalazła mi jakieś informacje w Internecie. I przetłumaczyła. To po angielsku było napisane. – Spuścił głowę, jakby wstydził się, że mimo wszystko był ciekawy, co słyhać u syna.

– A wiesz, co mnie się zdaje, Maniek?

– Nie wiem, ale z pewnością mi powiesz.

– Człowiek nie umie być tak długo, jak ty, zagniewany.

Spojrzenie Mariana stało się uważne i ostrożne.

Rzeczywiście, złość już mu powoli przechodziła. W zasadzie tylko przez pierwsze pięć lat był naprawdę wściekły. A potem tęsknota zaczęła zamazywać uczucie złości i razu pewnego nawet, gdy zastanawiał się, czy można „to” leczyć, zadał sobie pytanie: „Czy czterdzieści lat temu, gdy Ala położyła mi dłoń na kolanie, pomogłaby na to jakaś medycyna?”.

Ale miały kolejne zimy, a sędzia Marian Duraj obrastał w lata, a wraz

z nimi w dumę i w swoją własną urazę.

Zaczął żywić przekonanie, że to Robert powinien „odezwać się do starego ojca”.

– „Glemt” to nie jest zwykły pseudonim – odezwał się Józef. – Po duńsku to znaczy „zapomniany” – wytłumaczył. Choć sam nie miał pojęcia, czy to prawda. Ale tak twierdził Gabriel. Z tym właśnie do niego przyszedł.

Marian Duraj wpatrywał się w twarz Józka widniejącą na tle granatu zimowego nieba.

– Nie zadałeś sobie trudu, żeby sprawdzić, ale Robert Glemt każdą swoją książkę dedykował „Wielkiemu Wodzowi”. Kogoś ci on przypomina?

Niespodziewanie chłodna twarz poważnego człowieka się zmieniła i Marian Duraj zaczął szlochać. A przynajmniej tak się zdawało. Spuścił głowę i nakrył twarz dłonią, ale ramiona podskakiwały mu bezwolnie, jakby dostał czkawki.

– Ty masz jeszcze trochę czasu. Ja już go nie mam. – Głos Józka brzmiał teraz bardziej jak głos mędrca, a nie starego, pijącego górala. – Są rzeczy, na które nigdy nie jest za późno. I wybaczenie jest jedną z nich.

– Chyba tego potrzebowałem.

– Kubła wody na łeb?

– Przyjaciela w wigilijną noc. – Posłał Józefowi długie, pełne wdzięczności spojrzenie.

Nagle wzrok Mariana Duraja przeniósł się na coś za Józkiem.

Józef odwrócił się ze stęknieniem – coś strzyknęło mu w krzyżu – i powiódł wzrokiem za spojrzeniem Mariana.

Po niebie leciała spadająca gwiazda.

Dwie pomarszczone twarze, skierowane do góry, wyglądały w tej chwili, jakby należały do małych dzieci. W górach, gdzie niebo było czystsze, spadające gwiazdy były urzekające.

– Wypowiedziałeś życzenie? – zapytał Józef i spojrzał na wciąż uniesioną twarz Duraja. A potem znów spojrzał w niebo.

Z góry prawdopodobnie byli dwoma ciemnymi punktami na bieluteńkim stoku. Dwaj mali ludzie, choć jeden z nich tak ważny i dumny.

Dwa małe życia u kresu. Wtedy Marian powiedział:

– Zastanawiam się, która godzina jest w Los Angeles.

12.

Około dwudziestej pierwszej, po Wigilii, gdy Ewa znów – ktoś musiał – zasiadła w recepcji, po schodach w różowych spodniach zeszła niepewnym krokiem Grażyna Paluch. Trzymała w ręce portfel, jakby chciała za coś zapłacić.

– Przepraszam panią – odezwała się miękkim głosem. – Nie chcę zawracać głowy... Ale tak sobie pomyślałam. Pani tu ma Internet, prawda? Lepszy niż

w pokojach. A ja tylko chciałabym złożyć córce życzenia na Skypie. Bardzo proszę. Zapłacę. Ona na pewno na nie czeka.

Ewa wysunęła się z za biurka i usłudnie ustąpiła miejsca. Pomyślała, że ta kobieta, którą tak źle oceniła, była uprzedzająco uprzejma. Ewie zrobiło się głupio.

Ciekawe: co robi córka tej kobiety? Może mieszka z mężem za granicą? Może jest piękna i bogata?

Potem, gdy Grażyna zaczęła rozmawiać, Ewa oddaliła się do jadalni, by dać jej trochę prywatności. I kiedy stała przy panoramicznych oknach z kubkiem parującej herbaty przy ustach, dwie przygarbione sylwetki zmierzały dziarsko przez zaspy.

Pan Józef... no cóż, pan Józef pociągał z piersiówki. Ale co innego było ważne. Marian Duraj szedł, rozmawiając przez telefon komórkowy. Pan Józef, dodając mu otuchy, klepał go po ramieniu. A Marian Duraj, jakby był dosłownie kilkadziesiąt lat młodszy, gromko się śmiał.

Ewie przeszła przez głowę dziwna myśl: „To ten rodzaj radości, który stworzy cudowne wspomnienia”.

13.

Gdy rok później, siedemnastego grudnia, Marian Duraj popychał metalowe, pamiętające Gierka, drzwi Pensjonatu pod Świerkiem, nie wiedzieć czemu spodziewał się zobaczyć za kontuarem recepcji panią Ewę. Nie było jej tam jednak.

Gabriel, stojąc za ladą w wełnianym swetrze, zaglądał w komputer i z początku nie dostrzegł Mariana. Dopiero po chwili, gdy drzwi jęknęły, zamykając się, podniósł oczy i na chwilę znieruchomiał.

Wpatrywał się w Roberta Duraja, który szedł za ojcem i wprowadzał walizki Mariana przez – od lat tak samo niewygodne – metalowe drzwi.

Gabriel musiał sprawiać wrażenie kogoś, kto dostrzegł zjawisko atmosferyczne, od którego nie sposób oderwać wzroku, bo nie poruszył się, aż Marian wreszcie stanął przed nim i chrząknął.

Pomimo, że Gabriel przez lata widywał Mariana Duraja wielokrotnie, mógłby przysiąc, że nigdy nie widział u sędziego tak szczęśliwego uśmiechu.

– Ładne mamy zaspy. O mały włos i by mnie syn nie dowiózł – stwierdził sędzia, jak zawsze z lekką skargą. Ale tym razem jego twarz nie była ściągnięta i ponura.

– Syn? – podjął uprzejmie Gabriel w tej samej chwili, gdy szpakowaty, przystojny Robert ściągnął torbę z ramienia, postawił na posadzce i podał dłoń przez kontuar.

Przedstawił się.

Jego uścisk był pewny i elegancki.

Zawsze surowy sędzia teraz sprawiał wrażenie człowieka przepelnionego

swobodą i zadowoleniem.

– Mój syn dawno u was nie był. Mam nadzieję, że dostanę ten sam pokój, co zawsze?

– Gdy rezerwowałem pan termin, przytrzymałem sto piętnastkę. Byłoby szkoda, gdyby ktoś ją zajął.

– Ha! Mamy widok na całe Tatry! I tyle tras do zrobienia. Dobrze, że w tym roku już mnie nie kłuje pod żebrzem. Chcę ci je wszystkie pokazać. – Odwróciwszy się w stronę windy, Duraj poklepał syna po ramieniu i już miał ruszyć, kiedy jeszcze na moment się zatrzymał. Zrobił krok z powrotem w stronę kontuaru, oblizując usta, jakby właściwe słowa zamaryły mu na wargach.

W końcu podniósł wzrok.

– Gdzie znajdę pana Józefa? Chciałbym mu... zaproponować szachy.

– Powinien być w narciarni. Wczoraj padło tam ogrzewanie. Klienci narzekają, że jak wkładają stopy do butów, to na stok iść się odechciewa – rzekł dyplomatycznie Gabriel.

Celowo wtrącił tę uwagę. Duraj nie lubił emocji. Rozmowa o nich przychodziła mu z trudem. O wdzięczności w ogóle nie potrafił mówić.

Duraj najwyraźniej doceniał dyskrecję Gabriela, bo kiwnął głową w taki sposób, jakby dziękował – nie tylko za wskazówkę.

A Robert... to było dziwne. Robert uśmiechnął się wtedy wyjątkowo tajemniczo.

Gabriel zastanawiał się, czy ojciec szepnął mu, kto skłonił go do telefonu w wigilijną noc.

– Przepraszam – zawołał jeszcze Gabriel, a obaj mężczyźni obrócili się, stojąc już przy windzie. – Oczywiście rezerwuję na rano pański stolik przy oknie. Czy pani Grażyna również dołączy w tym roku? Chodzi o nakrycie.

Gabriel nie był pewien co do statusu tego ślubu. Miał jednak świadomość, że co do Grażyny bardzo się pomylił. Pan Józef opowiedział mu, dlaczego Marian w zeszłym roku chciał jej pomóc. A jednak w rezultacie na Zgorzelisku nie odbyła się w kwietniu żadna uroczystość. Duraj podszedł bliżej.

– Wiesz, synu, co mówią o starości i uporze? – powiedział z nostalgią, jak bohater w hollywoodzkim filmie.

– Że to złe połączenie.

Duraj kiwnął głową.

– Gdy już pojedę do chmur, a może i kilka pięter wyżej, przekażę twojemu ojcu, że miał rację. To fatalne połączenie. Ale dobrych uczynków nie dotyczy. Oczywiście, że żona przyjedzie. Z Natalią. Ale przed samą Wigilią. I wiesz, co ci jeszcze powiem? Kiedy już ciało odmawia posłuszeństwa i człowiek niewiele więcej może zrobić, należy dopilnować, by zabrał ze sobą taką historię swojego życia, która napelni go dumą, zanim już zamkną go w sosnowym pudle.

Gabriel jedynie skinął głową.

Choć w myślach dopowiedział z rozbawieniem: „Przecież ono nie ma kieszeni”.

Gdy Gabriel szedł spać, był pewien, że Marian Duraj, całe życie deklarujący się jako niewierzący i posiadający nie do końca jasne kontakty z dawnym aparatem władzy człowiek... jednak trafi te niebieskie „kilka pięter wyżej”.

I nie będzie musiał nawet długo pukać.

Bo okazało się, że nie był złym czarnoksiężnikiem.

Wręcz przeciwnie.

14.

Następnego ranka, jeszcze przed śniadaniem, gdy na zewnątrz nadal było dość ciemno, sędzia Duraj wybrał się na spacer. Nie żeby chciał przetrzeć szlak, na który zabierze później Roberta. Po prostu szedł w miejsce, gdzie czterdzieści lat wcześniej oświadczył się Alicji. I chciał obejrzeć z tamtego miejsca wschód słońca. Mieć kolejne dobre wspomnienie. Teraz takie zbierał.

Jednak w połowie drogi między śnieżnymi zaspami poczuł klucie w boku. Niespodziewanie ból szybko przeniósł się wyżej – i Marian pomyślał, że chyba nie była to jak zwykle trzustka. Gdy sędzia, zmuszony do tego miękkością kolan, w pewnej chwili ukląkł na zimnym, mokrym śniegu... czuł się niezwykle spokojny.

Kiedyś myślał, że dziełem jego życia są celne uzasadnienia wyroków. Wzorowo zakończone sprawy. Że ważna będzie reputacja: zawsze elegancki sweter, a pod nim wyprasowana koszula; wysoko uniesiona głowa. Zachciało mu się śmiać na myśl o tym, jak bardzo stały się nieważne.

I nagle już nie bał się mroku.

Tydzień później na cmentarzu w Wilanowie Robert Duraj stał nad grobem swojego ojca i płakał. Chyba właśnie wtedy znany pisarz zrozumiał, komu zadedykuje swoją następną książkę.

Choć było jeszcze za wcześnie, aby mógł sobie uzmysłwić, jaki nada jej tytuł.

Wkrótce ukazała się powieść, którą nazwał *Ten najlepszy rok*.

W dedykacji napisał: „Przyjacielowi, w wigilijną noc”.

DANIEL KOZIARSKI

Dwanaście przedwigilijnych potraw

Prolog

Nie wiem, dlaczego wybrałem Pensjonat pod Świerkiem na drugim końcu Polski. Może sprawiła to nazwa kojarząca mi się z jakąś popularną powieścią dla kobiet, z jakimiś przytulnymi klimatami w tle, a może pozytywne recenzje w sieci spowodowały, że owo miejsce wydało mi się idealne do ucieczki.

Tak, to straszne, żeby tak po prostu uciec od świąt, od rodziny, od wszystkiego, co ważne.

Chciałem zwyczajnie zniknąć, zaszyć się gdzieś z dala od Gdyni, wydeptanych trójmiejskich ścieżek, ale też w ogóle od miejskiego zgiełku, ludzi walczących w hipermarketach o promocyjne karpie, sztucznych świątecznych światełek, znajomych twarzy wykrzywionych w nieszczerych uśmiechach.

I pisać scenariusz *Socjopatki w wielkim mieście*, nie zważając na święta, konwencje, pamięć o kimkolwiek lub czymkolwiek.

Ale nie mogłem zapomnieć o swojej rodzinie. Przede wszystkim o Rafale, synku, który gdzieś tam był tresowany w nienawiści do mnie przez moją byłą żonę Kingę i wzrastał w wyuczonym poczuciu krzywdy, jaką rzekomo wyrządziłem jemu i jego matce.

O samej Kindze, z którą zmarnowałem kilka cennych lat życia i z którą rozwiodłem się nieco ponad rok temu.

O matce, która zaprosiła mnie wraz z bratem – teraz już Brytyjczykiem – i jego wypasioną benefitami rodziną do Londynu. Nie wiem, czy w tym zaproszeniu był gest bardziej litości, czy pogardy, ale ja nie zamierzałem godzić się ani na jedno, ani na drugie.

Byłem się o matkę (a może przede wszystkim o siebie), że Brexit cofnie ją do Polski. A przecież czuła się tam spełniona, mimo że powtarzała wciąż jak mantrę, że starych drzew się nie przesadza i że ona nie wyobraża sobie starań

o brytyjski paszport.

Po dotarciu na miejsce przywitali mnie serdecznie właściciele – Ewa i Gabriel. Oboje byli nieco po trzydziestce. Wyglądali na parę, ale Gabriel szybko wyprowadził mnie z błędu, informując, że są rodzeństwem. Poczułem się zakłopotany i przez głowę przeszło mi pytanie, czy wszystkich witają z równie natarczywą wylewnością.

Powiedziałem im, że zależy mi przede wszystkim na spokoju. Oni nie weryfikowali moich danych, nie zadawali pytań, nie kazali niczego podpisywać. Zupełnie jakby wszystko już wiedzieli.

Dostałem dość przestronny pokój na drugim piętrze, na końcu korytarza. Ni stąd, ni zowąd pojawił się przy mnie mężczyzna około siedemdziesiątki, najwyraźniej z obsługi.

– Pomogę szanownemu panu z bagażem – zaoferował się.

– Nie, nie trzeba – odpowiedziałem, myśląc sobie, że na hotelowego boya jest trochę za stary. Nie chciałem, żeby umarł gdzieś z wysiłku na schodach.

Zdrzemnąłem się po trudach podróży. Śniło mi się, że siedziałem sam przy wigilijnym stole zastawionym suto potrawami. Ale zamiast się nimi delektować poczułem przesyt, któremu towarzyszyło coś w rodzaju obrzydzenia.

1. Marta

Marta skończyła trzydziestkę i przechodziła poważny kryzys. Dwa lata temu zdała egzamin zawodowy i została adwokatem. Wtedy, paląc za sobą mosty, dumnie opuściła kancelarię swojego patrona, który podobnie ją uciskał, traktując nieadekwatnie do tytułu, i założyła własną działalność. Niestety, rzeczywistość okazała się brutalna i Marta nie tylko nie zarabiała spodziewanych kokosów, ale przedłużały się miesiące, w których, zamiast wyjść na prostą, tak naprawdę walczyła o przetrwanie.

Trudnościom związanym z zawodową samorealizacją towarzyszyło poczucie zgorzknienia związane z brakiem ustabilizowanej sytuacji osobistej. Marta oddała się bez reszty wyzwaniom naukowym i zawodowym i – jak sama stwierdziła – „pozostawała wciąż żalostną singielką o coraz gorszym statusie na rynku matrymonialnym”. Tak, użyła tego staroświeckiego słowa „matrymonialny”, co wywołało wtedy mimowolny uśmiech na mojej twarzy.

Nie wiem, czego Marta szukała w spotkaniach ze mną. Seksu? Potwierdzenia swojej atrakcyjności? Czuję się trochę tak, jakbym był wyborem wynikającym z jej desperacji; desperacji dziwnej, bo przecież niczego jej, do

cholery, nie brakowało, a ja byłem rozwodnikiem – odpadem powstałym w wyniku procesu trwałego i zupełnego rozkładu podstawowej komórki społecznej.

Martę wykańczały kompulsywne natręctwa związane z wykonywaną przez nią pracą i odpowiedzialnością, jaka się z nią wiązała.

Do pewnego stopnia potrafiłem ją zrozumieć. Ale tylko do pewnego.

Pierwszy sygnał ostrzegawczy zauważyłem, kiedy w trakcie zbliżenia nagle kazała mi przestać i wyjść z siebie, chociaż jeszcze chwilę temu jej mina i dźwięki, jakie z siebie wydawała, zdawały się wyrażać głęboką satysfakcję. Pomyślałem, że coś jest nie tak, że coś się stało.

– Przepraszam – powiedziała tylko i zeszła z łóżka. Podreptała nago w kierunku torebki, wyciągnęła z niej kalendarz i zaczęła nerwowo wertować strony. W końcu, kiedy trafiła na to, czego szukała, przez jej twarz przeszedł uśmiech zadowolenia, któremu towarzyszyło westchnienie ulgi.

– Już myślałam, że przegapiłam termin wniesienia sprzeciwu – stwierdziła. – Ale na szczęście mam jeszcze czas do czwartku. Na czym to stało? – spytała za chwilę, patrząc na moją męskość, która jednak skurczyła się nagle na skutek niespodziewanego wybicia z rytmu.

Kiedy umawialiśmy się na lunchy, obiady, kolacje, kawy, herbaty, zawsze mówiła o swojej pracy. O trudnych sędziach, złośliwych i podstępnych kolegach oraz koleżankach po fachu, upierdliwych klientach, niekompetentnych aplikantach, zawodowych wyzwaniach, rosnących kosztach prowadzenia kancelarii. Często przerywała nasze rozmowy, zapisując sobie rzeczy, które ma zrobić, sprawdzając terminy rozpraw albo odbierając służbowe telefony. Była kłębkim nerwów. Nie było dnia, żeby ktoś jej nie rozzłościł, żeby coś jej nie martwiło. Kiedy próbowałem mówić o swoim scenariuszu, odnosiła się do niego lekceważąco – przeciwstawiając swojej pracy, od której zależą ludzkie losy i interesy, moją „pracę”, która według niej podpada pod kategorię wydumanej rozrywki.

– Ja nawet nie mam czasu na oglądanie seriali – mówiła ze smutkiem, który przebrał się w togę z czerwonym żabotem i wystąpił w roli oskarżyciela. Na ławie oskarżonych zasiadł cały świat.

I to właśnie ten jej żal do wszystkich i wszystkiego sprawił, że ostatecznie zdecydowałem się pożegnać ją bez smutku.

Jak ją znam, przejęła się bardziej zobowiązaniem do usunięcia braków formalnych pozwu niż moim odejściem.

2. Dorota

– To głupie, ale nie mam z kimś iść na Backstreet Boys – stwierdziła moja przyjaciółka Dorota, kiedy piliśmy na mieście kawę.

– Chcesz iść na koncert Backstreet Boys? – zapytałem z niedowierzaniem.
– A co w tym złego? To byli idole mojej młodości.
– Ale od tego czasu minęło już parę lat – odnotowałem złośliwie.
– Ojej, taki sentymentalny powrót do przeszłości.
– Wstydlivej przeszłości.
– Niech będzie, że wstydlivej – odpowiedziała z lekką irytacją. – Co w tym złego?

– Ja jestem z pokolenia New Kids On The Block. – Uśmiechnąłem się nieśmiało. – Ale nie wyobrażam sobie, żebym mógł ich chcieć teraz oglądać.

– Naprawdę nie wiem, z czego robisz problem.

– Ja nie robię problemu. To ty mówisz, że nie masz z kim iść.

– Nieważne! – odpowiedziała urażona.

– Oj, nie dąsaj się. Popytaj wśród przyjaciółek. Może znajdą się jakieś, które sikały na widok Cartera albo przypinały sobie plakaty z „Popcornu” na słomkę.

– Słomka to raczej twoje czasy, dziadu – odpowiedziała, nagle odzyskując humor. Ale za chwilę znowu popadła w melancholię. – Pytałam, ale nikt nie chce ze mną iść.

Nie odpowiedziałem. Może to nawet lepiej, żeby się obraziła, niż zadała w końcu to pytanie.

– Nie poszedłbyś ze mną? – wyrzuciła z siebie nagle.

Kurwa!

– Nie, no coś ty... Daj spokój! Jak by to wyglądało? – Machnąłem ręką.

– Dlaczego po prostu nie zrobisz tego, o co cię proszę?

– Mógłbym ci podać pięć powodów...

– A jeśli powiem, że mi bardzo zależy?

– Rany, zdażyłem się tego domyślić.

– Wiesz co, nieważne. Pójdę sama. Mam to gdzieś.

Sfochowana odstawiła filiżankę, sięgnęła po torbę i zebrała się do wyjścia.

– Poczekaj! – próbowałem ją zatrzymać.

Odrzuciła moją wyciągniętą rękę.

Wiedziałem, jak to się skończy.

Obiecała mi, że w nagrodę będę mógł wybrać sobie jakiś koncert, na który pójdzie ze mną. Jakikolwiek. Nawet rocka progresywnego.

Szczerze mówiąc, liczyłem na inną nagrodę.

Mimo wszystko zastanawiałem się, co tu właściwie robię. Nie widziałem żadnego głębszego sensu swojego poświęcenia, zdając sobie sprawę z tego, że pryncypialna Dorota, która nie uznaje rozwodów, nie pójdzie ze mną do łóżka.

– Nigdy wcześniej nie widziałam cię w czapce z daszkiem. – Zaśmiała się

w wymuszony sposób, jakby próbowała poprawić mi humor.

– Ukryję pod nią siwe włosy – odpowiedziałem spokojnie. A potem dodałem: – Jesteśmy za daleko sceny, żeby twoja bielizna doleciała.

Popatrzyła na mnie zażenowana, ale nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

– Zobacz te rozhisteryzowane laski na płycie. Mam nadzieję, że mają pampersy.

– Zarzucasz mi, że jestem czasami sztywna, ale sam mógłbyś odpuścić. To są normalne kobiety, które kiedyś były nastolatkami i dzisiaj postanowiły sobie o tym przypomnieć, przy okazji dobrze się bawiąc – zauważyła.

Byłem nawet w stanie przyznać jej rację. Ale wiedziałem, że jeśli mam znieść najbliższe kilka godzin, to albo nie na trzeźwo, albo smagając cały ten event pejczem improwizowanej ironii.

Polska armia fanek Backstreet Boys. Moje zdrowie psychiczne wisiało na włosku.

Następnego dnia jeden z dalszych znajomych wrzucił „zabawny” komentarz na moją ścianę na Fejsie: „Hej, Tomek. Też rzucałeś majtkami w chłopaków z Backstreet Boys?”.

Usunąłem najpierw komentarz, a potem jego ze znajomych, ale zacząłem się głowić, skąd niby mógł wiedzieć, skoro kwestię koncertu dla swojego bezpieczeństwa przemilczałem.

Dopiero kiedy ktoś inny podesłał mi link do pewnego portalu, zorientowałem się, o co chodzi. Zrobiono mi zdjęcie, i to w zbliżeniu, wykorzystując moment, kiedy nie tylko miałem podniesioną twarz, ale także się śmiałem. Nie pamiętałem, żebym zaśmiał się podczas tego koncertu. Mógłbym nawet ulec jakiejś paranoi i oskarżyć ich o to, że ten uśmiech doprawili mi Photoshopem czy innym technicznym sposobem. A tak, ni mniej, ni więcej, wyglądało, jakbym się tam dobrze bawił. I jeszcze bezczelny podpis: „Na widowni można było dostrzec również mężczyzn. Jak widać, wszystkim dopisywały humory”.

Chciałem się umówić z Dorotą parę dni po koncercie, ale dała mi do zrozumienia, że nie interesują jej rozwodnicy.

3. Pola

Poleę poznałem, kiedy zaczepiła mnie na ulicy Świętojańskiej. Była jedną z tych irytujących studentek z segregatorem, zachęcających do zapisania się na listę zbawców świata. Wystarczyło podpisać zobowiązanie do wpłacania pięćdziesięciu lub stu złotych miesięcznie na wspieranie lasów amazońskich czy zachowanie gatunku jakiegoś egzotycznego gada, któremu groziło wyginięcie – tak

egzotycznego, że nie słyszał o nim pewnie sam David Attenborough.

Gdyby jeszcze te pieniądze szły na wskazany cel, można by było się wzruszyć albo machnąć ręką na przeciwwskazania i dać się zwerbować. Ale miałem poczucie, że ta kasa jest ostatecznie konsumowana przez jakieś tajemnicze fundacje. Niejasna wydawała mi się rola młodych wolontariuszy – faktycznych czy tak zwanych. Innymi słowy, nie wiedziałem, czy mieliśmy do czynienia z idealistami – użytecznymi idiotami – czy też z cwaniakami, którzy wiedzieli doskonale, w czym biorą udział, i z premedytacją, dla procentu, wprowadzali w błąd rozmówców.

Miałem ją ominąć, ale zaczarowało mnie jej spojrzenie. Wykorzystała tę moją chwilę słabości, to wahanie, które sprawiło, że zwoleńłem kroku, i zaczęła swój monolog – pełen pasji i oskarżeń wobec bezdusznych elit, wściekłego kapitalizmu i obojętności świata.

– Muszę się zastanowić – powiedziałem, kiedy skończyła.

– Nie ma się nad czym zastanawiać, drogi panie – stwierdziła. – Każdego dnia wycinanych jest...

– Jestem Tomek.

– A ja Pola. Tomek, posłuchaj...

– Pola, nie mam stałej pracy. Muszę się liczyć z pieniędzmi.

– Możesz zacząć od dwudziestu pięciu złotych miesięcznie – zaproponowała. – Tylko podpisz...

– Pola, nie mam teraz zbyt wiele czasu. Masz jakąś wizytówkę, kontakt?

Uśmiechnęła się w zniewalający sposób i podała mi karteczkę z namiarami na siebie.

Dwa dni później wpadłem na nią na poczcie. Nie pamiętała mnie, ale kiedy się jej przypomniałem, wyraźnie się ożywiła i zaczęła żartować.

– Zobacz. Nie wiem, czy to jeszcze poczta, czy jakiś odpust – rozprawiała głośno. – Jakieś gazetki, religijne kalendarze, książeczki o Wyklętych, kolorowanki, batoniki. Sałatki siostry Konstancji, dobrze, że nie siostry Krystyny, he, he, ciasta siostry Konstancji, zupy siostry Konstancji. Brakuje jeszcze drinków siostry Konstancji!

Poczułem się zażenowany, bo swoją krzykliwością przyciągnęła uwagę klientów i obsługi, a ja znałem panie na tej poczcie i bałem się, że zaczną mnie z nią kojarzyć i będą z zemsty gubić moje przesyłki, wpisywać błędne dane w przelewach oraz robić inne rzeczy przeciwko mnie.

– Taka długa kolejka. Nie ma sensu stać. Chodźmy stąd... Może pójdziemy na kawę? – zaproponowałem, próbując ją odciągnąć.

Udało się. Nalegała na Starbucksa, podkreślając, że jest *fair trade*. Podczas

rozmowy dowiedziałem się więcej o jej zaangażowaniu, które wydało mi się autentyczne. A więc prawdopodobnie była idealistką.

Zaprosiła mnie nawet do udziału w akcji przeciwko wycince drzew.

– Tworzymy łańcuch żywej nadziei, którymi otoczymy drzewa – obwieściła.
– Szukamy elementów tego łańcucha.

– Nie wiem, czy mój udział to dobry pomysł – stwierdziłem sceptycznie.

– Może wpadniesz do mnie wieczorem na winko? Będzie kameralne spotkanie. Pokażę ci filmiki z ostatniej akcji... Przekonasz się.

Poczułem dotyk jej dłoni na swoim udzie. Spojrzałem na nią zaskoczony, ale ona, zupełnie niespeszona, nie zamierzała cofnąć ręki, wysyłając mi w ten sposób czytelny sygnał.

Goście rozeszli się szybko, ale wino nie przestało się lać. Może to ustawka. Nie wiem, co tak śliczna studentka robiła w towarzystwie koleśka, który powoli dobiegał czterdziestki, ale wiem, że wieczór zmierzał w interesującym mnie kierunku. Jeśli tak rekrutują do swoich akcji, nie będę się więcej opierał. Nawet jeśli z takimi przedsięwzięciami wiązać się będzie ryzyko odpowiedzialności.

Podeszła do mnie i przyciągnęła do siebie. Zaczęliśmy się całować, a potem nagle sprawy przyspieszyły i szybko ściągnęliśmy z siebie ubrania.

– Tomek, nie marnuj czasu. Wleć we mnie, jak tupolew wleciał w smoleński las! – krzyknęła niespodziewanie.

– Słucham? – Nie dowierzałem temu, co przed chwilą usłyszałem.

– No dalej! Chyba nie zamierzasz eksplodować w powietrzu? – zachichotała.

Głupia pizda. Była nastolatką, kiedy to się wydarzyło, i nie miała prawa żartować nie tylko z samej tragedii, ale i z doświadczenia pokoleniowego, które, niezależnie od tego, co się stało potem, i niezależnie od późniejszych decyzji i wyborów, już na zawsze pozostawiło jakieś piętno na nas wszystkich.

– Słuchaj, Pola, tam zginęli ludzie... Nie wiem, czy to jest dobry temat do żartów! – skarciłem ją.

– No i co z tego? – rzuciła zniecierpliwiona, aby potem zapytać podejrzliwie:
– Tomuś, nie załamuj mnie, chyba ty nie jesteś z sekty smoleńskiej?

Zmroziło mnie. Poczułem, że pod wpływem jej niestosownych żartów i komentarzy moja męskość marnieje w oczach.

– Biedactwo! *Pull up, pull up!* – zawołała z ironią, przyglądając mi się z politowaniem.

Nie miałem dłużej ochoty mieć cokolwiek wspólnego z tą idiotką. Zacząłem się w pośpiechu ubierać.

– Wynoś się! – usłyszałem nagle.

– Właśnie to robię, tylko się ubiorę – odpowiedziałem chłodno.

– Wynoś się, natychmiast! Rozumiesz? Zabieraj swoje rzeczy i spierdalaj.
– Daj mi się, kurwa, spokojnie, ubrać – syknąłem, wciągając na siebie szybko spodnie i koszulę.

Kątem oka zauważyłem, jak sięga po coś do szuflady. Jak się okazało, wyciągnęła z niej biało-czerwony wibrator.

– Myślicie, że macie monopol na patriotyzm? – rzuciła w moim kierunku, nie przestając szydzić.

Nienawidziłem, kiedy zwracano się do mnie jak do podmiotu zbiorowego.

Zrobiło mi się smutno, że ludzie cudownie się znajdują tylko po to, żeby potem tak łatwo się wzajemnie ranić z powodu różnic – nie tyle światopoglądowych, co estetycznych.

Następnego dnia zadzwoniłem na policję i zadenuncjowałem ich.

4. Adrianna

Adriannę poznałem w galerii sztuki współczesnej. Ja byłem tam sam, a ona z przyjaciółką. Potknąłem się o jakiś bal na podłodze, stanowiący część instalacji.

– Kurwa – przekląłem, jak sądziłem, cicho, ale chyba nie dość cicho. Znajdujące się obok mnie dwie młode kobiety zaśmiały się.

Uśmiechnąłem się nieporadnie, chcąc wybrnąć z tej niezręcznej sytuacji. Jedna była nieco zaokrąglona, dość mocnej budowy w ramionach, ale ogólnie zgrabna i miała ładną twarz z bystrym, trochę zarazem smutnym spojrzeniem. Druga miała z kolei wysuniętą nieco do przodu żuchwę, co było pierwszą rzeczą, którą się dostrzeżało, patrząc na nią.

– Moje zetknięcie ze sztuką nowoczesną było bardzo bolesne – zażartowałem.

– Nie wiem, czy pan słyszał, ale gdzieś we Włoszech sprzątaczką posprzątała, jak jej się wydawało, śmieci, a tak naprawdę usunęła czyjaś pracę, która opierała się konceptualnie na bałaganie – odpowiedziała jedna.

– Dzisiaj trudno odróżnić sztukę od śmieci – wtórowała druga.

– Żeby panie wiedziały – przytaknąłem.

– Ela – powiedziała ta z wysuniętą żuchwą, wyciągając dłoń.

– Tomasz – odrzekłem, wymieniając uścisk najpierw z nią, a potem z tą drugą, która przedstawiła się jako Adrianna.

I jakoś tak wyszło, zupełnie naturalnie, że zaczęliśmy zwiedzać ekspozycję razem, wymieniając złośliwe uwagi na temat sztuki nowoczesnej. A potem poszliśmy na kawę.

I wyszło na to, że po pierwsze gadatliwa Ela ma narzeczonego, a Adrianna jest samotna, po drugie zaś, że obie są urzędniczkami. Poczułem się przez chwilę,

jakby to była jakaś ustawka, jakaś gra w swatanego, ale przecież nasze spotkanie było czystym przypadkiem.

Smutne oczy Adrianny wpatrywały się we mnie z zainteresowaniem, a ja nie mogłem się oprzeć temu proszącemu o uwagę spojrzeniu.

Nie mogłem powiedzieć, że jestem rozwodnikiem. Nie chciałem jej tego robić.

I tak to wszystko się zaczęło.

Adrianna opowiadała mi o tym, że czuje się coraz bardziej skrępowana pytaniami na rodzinnych uroczystościach, kiedy przedstawi rodzinie „kawalera”. A ja, wierząc jej, czułem się skrępowany takimi opowieściami. Bo jaki przekaz one ze sobą tak naprawdę niosły? Stanowiły wyraz kompleksów? Niekontrolowany objaw złości na rodzinę myślącą starymi kategoriami? Czy też może prostacko zakodowaną wiadomość dla mnie, że panienska szuka sobie kandydata na męża, żeby mieć spokój z rodziną, odhaczyć tę sprawę, móc skupić się na innych rzeczach?

No ale przecież ja wcale nie zamierzałem jej poślubić, na litość.

Jej rodzina wracała zresztą i w innych opowieściach – kolejno o babciach, dziadkach, rodzicach, siostrach, ciotkach, pociotkach, wujkach, kuzynach i kuzynkach. Poczulem się, jakby wyrastało pomiędzy nami jej drzewo genealogiczne.

Moja głowa stawała się kwadratowa od całego tego gładzenia, od dziwacznych opowieści, których koloryt miał wątpliwy urok. Na przykład cała ta kaszubska tradycja machania feretronami – szopka, w której ona w przeszłości uczestniczyła i którą kilkakrotnie wspomniała. Najpierw sądziłem, że dla żartu, że to jakaś próba egzorcyzmowania przeszłości uwikłanej w kaszubskość, ale potem uświadomiłem sobie, że była w tym jednak jakaś niewątpliwa duma. Pokazywała mi nawet film video, na którym przebrana w lokalny strój wywijiała obrazem z Matką Boską w rytm jakiegoś przeboju z lat dziewięćdziesiątych granego przez chłopaków z sekcji dętej.

Kiedy zobaczyła moją nieco skwaszoną minę, spieszyła się. I choć potem nie wracała więcej do tego tematu, później już zawsze przed oczyma stawał mi jej widok – wymachującej tymi religijnymi obrazami. Tak ją zresztą zapamiętałem.

Potem zaproponowała mi, żebyśmy spotykali się u niej na maratony z serialem *Przyjaciele*. To przelało czarę goryczy. Po prostu nienawidziłem *Przyjaciół*.

Tak skończył się mój wielki kaszubski romans.

5. Angelika

Angelika, przedstawicielka dawnej rasy panów, zaprosiła mnie do Monachium po kilku miesiącach znajomości *online*. Przy okazji postanowiliśmy

zwiedzić Dachau. Wracaliśmy stamtąd w milczeniu. Angelika była wyraźnie przybita, wpatrzona w szybę pociągu, zamyślona i odległa. Nie rozbawił jej nawet mój dowcip dotyczący dwuznaczności posiadania przez placówki tego typu „sklepów z pamiątkami”. Okazało się, że to jej pierwsza wizyta w tym obozie, w jakimkolwiek obozie koncentracyjnym zresztą. I chociaż Auschwitz i Auschwitz-Birkenau wywoływały nieporównywalnie bardziej przygnębiające wrażenie, to dla kogoś, kto do tej pory w ogóle nie zetknął się z tą tematyką realnie – poprzez odwiedzenie miejsca kaźni – wystarczało zobaczyć Dachau, żeby efekt był druzgocący. Najważniejsze, że muzeum odpowiednio honorowało tragedię polskiego narodu. Odnotowałem to nie bez satysfakcji.

Zastanawiałem się tylko, czy to jej doświadczenie może pomóc, czy zaszkodzi mojej sprawie. To znaczy czy mam szansę ją wieczorem zerznąć. Z jednej bowiem strony mogłem liczyć, jako Polak, przedstawiciel umęczonego narodu, na współczucie, z drugiej po takim doświadczeniu mogła nie mieć specjalnie nastroju do żadnych sytuacji łóżkowych.

Zmęczeni udaliśmy się na Marienplatz. Zdążyliśmy jeszcze na Glockenspiel – poruszające się na wieży figurki wywoływały dziki entuzjazm Japończyków, pstrykających setki zdjęć. Dziwne, to jakiś fenomen – oni mają u siebie wszystko włącznie z muszlami-robotami podcierającymi i myjącymi tyłki na sto różnych sposobów, a ekscytują się prostym mechanizmem obrotowym. Potem przeszliśmy na górę galerii przy Marienplatz – ja, dbając o zadośćuczynienie turystycznym obowiązkom, zamówiłem Weisswurst i Sauerkraut, a ona, dbając o linię, jakąś sałatkę.

Humory nam się nieco poprawiły. W mieszkaniu u niej postanowiliśmy podładować baterie i ucieliśmy sobie drzemkę. Po niej z kolei wypiliśmy kawę i zaczęliśmy swobodną rozmowę. To, co stało się potem, było naturalną konsekwencją rozluźnienia atmosfery pomiędzy nami, a także potrzeb psychofizycznych rozbudzonych przez samotność.

– Wejdz we mnie, jak nasze wojska wjechały w Polskę pierwszego października – szepnęła mi do ucha, a następnie dosłownie przyssała się do mnie ustami.

– Września... – Odsunąłem ją delikatnie, żeby złapać odrobinę tchu.

– Nieważne, chcę, żebyś mnie podbił i zrobił ze mną, co tylko chcesz. – Kiedy obsypywała mnie pocałunkami, jej ręce luzowały mi pasek od spodni i rozpinały rozporek.

– Będiesz broniła się przede mną tak dzielnie jak Polska przed Niemcami? – spytałem, przesuwając swoje dłonie po jej jędrnych pośladkach.

– Nie, kochany, poddam się od razu jak Francja... – Poczulem silne poruszenie w majtkach.

– Mam rozumieć, że podpisujesz akt kapitulacji? – spytałem, ściągając jej

bluzkę.

– Bezwarunkowej! – wykrzyknęła.

Pozbyliśmy się reszty ubrań. Wojenna retoryka paradoksalnie przybliżyła nas do finału polsko-niemieckiego pojednania.

Pozostały czas pobytu w Monachium wykorzystałem mniej konstruktywnie, niż zamierzałem. Plany odwiedzenia kolejnych pozycji z „Top 10 Monachium”, które miałem zaliczyć, były stopniowo zarzucane na rzecz wspólnych chwil z Angeliką, bo upojne noce przestawały nam wystarczać i chcieliśmy się sobą nacieszyć również w ciągu dnia.

Cały czar prysł, kiedy dowiedziałem się, że Angelika jest córką polskich imigrantów, którzy jakimś cudem wyjechali do Niemiec pod koniec lat siedemdziesiątych.

Co z tego, że tutaj się urodziła, tutaj wychowała i, jak twierdziła, nie mówiła słowa po polsku poza oczywistym „kurwa”.

Nie dawałem tego po sobie poznać, ale poczułem się bardzo oszukany i rozczarowany.

6. Edyta

Edytę poznałem na urodzinach mojej kuzynki. Z wyglądu nie była ani szczególnie atrakcyjna, ani odpychająca – po prostu pospolita. Okazała się za to znakomitą, empatyczną rozmówczynią. Prawie natychmiast się przed nią otworzyłem, czego przecież nie miałem w zwyczaju. Ona zresztą też powiedziała mi w zaufaniu parę rzeczy. Wymieniliśmy się wówczas telefonami i umówiliśmy na kawę, zapewne w jakimś poczuciu, że mamy sobie wciąż sporo do powiedzenia. Przyłapałem się, że tak naprawdę niewiele o niej wiedziałem poza tym, że jest samotną księgową, która – jak zaznaczyła – udziela się we wspólnocie lotnego pogotowia duchowego.

– Co to jest lotne pogotowie duchowe? – zapytałem podejrzliwie, a w kącie moich ust pojawił się krzywy uśmiezek.

– Udzielamy się w różnych parafiach. W przyszłym tygodniu będziemy na niedzielnej mszy w centrum Gdyni... Może wpadłbyś? – zaproponowała.

Podążyła szczegóły i zahipnotyzowała mnie swoim proszącym spojrzeniem.

Zgodziłem się.

– Dzisiejszą liturgię ubogaci występ grupy młodzieżowej Wiara i Czyn – ogłosił celebrans.

Uśmiechnął się zachęcająco, ale był to uśmiech nieszczyry. Tak naprawdę

zdawał się wyrażać myśl: „Znowu dałem się wkręcić w jakąś hucpę”.

– Nie, błagam... – szepnąłem zrezygnowany, przymykając oczy. Zatrzymałem się z tyłu kościoła.

Miałem pretensje nie tyle do Edyty – której na razie nie wyłapałem wzrokiem – ile do siebie, że nie dopytałem, albo po prostu nie domyśliłem się, o co w tym wszystkim tak naprawdę chodzi.

Teraz jednak, kiedy msza już się zaczęła, wstyd mi było tak ostentacyjnie skutecznie rejteradę, ujawniając swoją przyziemność i nietolerancję. Tym bardziej, że po mszy Edyta z pewnością będzie mnie wypytywać o wrażenia i refleksje.

Liturgia zamieniła się w katolicki Woodstock. Gitary, harmonie wokalne, cymbały, tamburyn, cały przegląd instrumentalnych i wokalnych dziwactw splatających się w zaangażowane piosenki – połączony z nadmierną ekspresją ciała, w tym falujących tłustych włosów i długich spódnic z ubiegłego wieku zamiatających kościelną podłogę.

To ciekawe, że oni zawsze zdominują, a czasem wręcz zmonopolizują, ten śpiew, nie dopuszczając do niego nikogo spoza swojej grupy – nawet wiodących zwykle prym starych bab, bo i one zostają przez nich skutecznie spacyfikowane. A może nie jest to nawet zamierzone – po prostu śpiewają na taką dziwną modłę, że trudno wpasować się w to wszystko komuś, kto nie jest członkiem ich grupy, by nie powiedzieć – sekty.

Kiedy myślałem, że najgorsze już za mną, podczas ogłoszeń duszpasterskich ksiądz zapowiedział „świadectwo”.

Dlaczego nie udzieli błogosławieństwa, a dopiero potem nie nastąpi to ich cholerne świadectwo? Czuję się jak zakładnik tej nawiedzanej grupy, której religijność nie przetrwa w jakichś osiemdziesięciu procentach najbliższych kilku lat. Zamienią Jezusa Chrystusa na kadzidelka, kamienie z cudowną mocą, zaczną łączyć od drzwi do drzwi ze *Strażnicą* albo w najlepszym razie wyznawać wiarę w mądrości Beaty Pawlikowskiej i czytać jej ewangelię żółtych karteczek. Albo dołączą do „Polski racjonalnej” i będą na Facebooku podpisywać petycje w sprawie rozdziału Kościoła od państwa...

Do mikrofonu nieśmiało podszedł wysoki, przygarbiony chudzielec.

– Jestem Andrzej, mam dwadzieścia pięć lat. W moim życiu długo była czarna dziura pustki i samotności...

Urwał. Miałem wrażenie, że purpura oblała jego twarz, ręce zaczęły mu się trząść, aż wreszcie skręcił je w dziwny sposób i unieruchomił, jakby chciał opanować ich drzenie. Najpierw spuścił wzrok, ale za chwilę podniósł go i spojrzał w kierunku przyjaciół i przyjaciółek z grupy, najwyraźniej szukając wsparcia i motywacji. Ktoś tam kiwnął zachęcająco głową, ktoś rzucił mu pełne aprobaty spojrzenie, ktoś nawet zacisnął kciuki, kibicując mu.

„No, dalej!” – niemal dał się słyszeć ten niemy krzyk.

– Nie przychodzi mi łatwo to powiedzieć... Zapełniałem tę pustkę i samotność pornografią... Także homoseksualną, biseksualną i transseksualną, niestety. Mogę teraz z całą pewnością powiedzieć, że uzależniłem się od pornografii, choć wtedy tego tak nie widziałem. To było jak wkroczenie do świata ciemności połączone z niemożnością wyjścia z niego. Onanizowałem się nawet kilka razy dziennie... Czulem, jak pogrążam się w grzechu, ale nie potrafiłem się wyrwać z tej pułapki zła. Wtedy poznałem w sieci Martynę, która okazała się dla mojej duszy światłem i przewodniczką. Dosłownie. Zaprosiła mnie na spotkanie grupy Wiara i Czyn. Na początku podchodziłem do tego pomysłu bardzo sceptycznie, bo takie grupy kojarzyły mi się z fanatyzmem, nadmierną religijnością, fałszem. Ale szybko zrozumiałem, że oceniam je niesprawiedliwie. Że oto dostałem od losu szansę naprawienia swojego życia. Postanowiłem z tej szansy skorzystać. I choć nie było łatwo, o nie, bo dawny ja nie chciał zrezygnować ze złych przyzwyczajęń, to dzisiaj jestem zupełnie innym człowiekiem. Martyna została moją małżonką. Niestety nie mogła dzisiaj tu być, bo jest w szpitalu z naszym szóstym dzieckiem.

W ostatnich słowach pobrzmiwała już ojcowska duma. Kilka osób z grupy pozwoliło sobie nawet na mniej lub bardziej śmiałe oklaski, ale na szczęście szybko się urwały. Tymczasem Andrzej ciągnął, już bardziej pewny siebie, najwyraźniej czując przyływ animuszu:

– Dlatego ważne jest nieustanne trwanie w dobru, czystości i harmonii. A wcześniej szukanie ludzi, którzy podadzą rękę, pokażą drogę ku wzrastaniu i przeprowadzą przez trudny czas. Ci, którzy zaznali gorczy upadku, żeby potem powrócić na ścieżkę życia i poznać smak duchowego wzrostu, wiedzą o tym najlepiej.

Zastanawiałem się, czy Edyta wiedziała, że takie słowa padną, i chciała mi w ten sposób coś powiedzieć.

Nerwowo patrzyłem na zegarek. Trudno było uznać czas poświęcony na wysłuchiwanie tego pajaca za czas ofiarowany Panu Bogu. Choć przecież nie mogłem wiedzieć, jak ocenia to sam Pan Bóg.

Po mszy szybko wymknąłem się z kościoła. W drodze do domu w kieszeni poczułem wibracje telefonu. To Edyta. Miała pewnie wiele pytań i jeszcze więcej przemyśleń.

Zignorowałem ją i przyspieszyłem kroku.

7. Aneta

Aneta miała dwadzieścia trzy lata i grywała małe role, rólki, rólecзки w miejskim teatrze, ale aspirowała do bycia aktorką na poważnie. Poznała mnie z nią wspólna znajoma – Marta, która była w tym samym teatrze scenografką.

Aneta, jak na przedstawicielkę młodego pokolenia (nie wiedziałem, czy to jeszcze Y, czy już Z) przystało, była niecierpliwa i zachłanna. Oczyma wyobraźni rozwijała karierę, bo przecież to właśnie jej się należało – być zauważoną i wypłynąć na szerokie wody. Przy czym w teatrze grywała z konieczności, bo jej oczy nakierowane były już na telewizję – oczywiście jako wstęp, prolog do popisów na dużym ekranie. Na razie jednak i mały ekran jej należycie nie doceniał. Z dumą podkreślała, że zagrała zwłoki w serialu kryminalnym *Śmierć pod Neptunem* kręconym w Trójmieście; podobno przepała się z reżyserem, który obiecał, że jej postać wróci w retrospekcjach w kolejnych sezonach, ale ostatecznie serial z powodu chłodnego przyjęcia i niskiej oglądalności nigdy nie wyszedł poza pierwszą serię, a jej ofiara poszła w dużej mierze na marne. Swoim uśmiechem opromieniła też na trzy sekundy kawiarnię w jakimś tasiemcu jako statystka – chyba z pięć razy pokazywała mi tę scenę, pytając, czy dobrze wypadła.

Nie miałem złudzeń, że zainteresowała się mną, kiedy usłyszała, że jestem zaangażowany w pisanie scenariusza do serialu – opartego na moim własnym pomysle – pod tytułem *Socjopatka w wielkim mieście*. Zapewne wyobrażała sobie, że jako pomysłodawca i scenarzysta będę miał wpływ na obsadę, która była wciąż sprawą otwartą.

Po seksie nalegała, żeby mogła przede mną odgrywać scenki ze scenariusza. Oczywiście obsadzała się w roli głównej. Wysyłała mi w ten sposób oczywisty sygnał. Niestety, grała pretensjonalnie, całą sobą, nazbyt ekspresyjnie. Była to zupełnie inna interpretacja od tej, jaką sobie wyobrażałem.

W końcu, czując się źle z tym, że ją na swój sposób wykorzystuję, powiedziałem jej, że nie mogę niczego obiecać. Zbiegło się to z pogłoską rozpowszechnioną przez jedną z plotkarskich stron w Internecie, że socjopatkę zagra pewna znana aktorka.

Zadzwoiłem do producenta. Stwierdził zdawkowo, że ani nie potwierdza, ani nie zaprzecza. Tym samym potwierdził.

Aneta była rozgoryczona. Pocieszałem ją, że być może uda się znaleźć dla niej pomniejszą rolę, ale ona była niepoczyszona, jakby przeszła jej koło nosa życiowa szansa, jakby na tym miał się zakończyć jej aktorski sen o potędze.

Przestaliśmy się spotykać, popadła w depresję. Podobno porzuciła teatr.

Jakiś czas później, będąc w Galerii Północnej, znalazłem się na poziomie zajmowanym w dużej mierze przez część fastfoodową i slowfoodową (co za okropna nazwa, kojarząca się z czekaniem). Naszła mnie ochota na burgera i stanąłem w kolejce wśród różnych takich – miss tłustego podkoszulka, mainstreamowych hipsterów i zwykłych ludzi, którzy postanawiają zrobić sobie przerwę od zakupów i posilić się olejem siódmego użytku.

I nagle dostrzegłem ją – Anetę. Odruchowo się cofnąłem, nie chcąc, żeby doszło do kłopotliwego spotkania, ale o ułamek sekundy za późno, bo kontakt wzrokowy został nawiązany.

Uśmiechnąłem się niemrawo, uważając, żeby nie był to uśmiech pogardliwy czy nawet ironiczny.

– Tomek! – zawołała, robiąc się momentalnie czerwona ze wstydu. A potem, jakby nigdy nic, stwierdziła: – Miło cię widzieć.

– Ale niespodzianka... Co u ciebie? – spytałem.

– Jak widzisz, szalu nie ma. Czekam na telefon od agentki, jednak...

– Co dzisiaj polecasz? – przerwałem jej, czując na sobie ponagląjący wzrok stojącego za mną grubasa.

– Zestaw tygodnia – odrzekła. – Wiesz co, usiądź sobie, a ja przyniosę ci jedzenie i pogadamy chwilę. Może nawet wezmę piętnaście minut przerwy...

– Jasne – zgodziłem się i sięgnąłem po portfel w nadziei, że powstrzyma mnie przed płaceniem.

– Nie, daj spokój, to na koszt firmy – stwierdziła.

Na mojej twarzy zagościł idiotyczny uśmiech wdzięczności. Byłem zły na siebie, że zareagowałem przesadnie entuzjastycznie. Wychodziło na to, że nie tylko jestem nie mniej interesowny niż ona, ale dużo łatwiej mnie podkupić.

W oczekiwaniu na jedzenie zająłem stolik. Katowałem wzrok widokiem rozwydrzonego tałatajstwa w różnym wieku i czułem, jak galeria wypompuje ze mnie resztki energii panującym tutaj jarmarcznym gwarem.

Za chwilę pojawiła się Aneta z tacą, na której znajdował się wyczekany zestaw.

– Jednak nie mogę teraz wziąć przerwy... – oznajmiła smutnym tonem, aby dorzucić za chwilę: – Mam nadzieję, że zobaczymy się przy innej okazji. W nieco innych okolicznościach. Opowiesz mi o dalszych pracach nad scenariuszem, dobrze?

– Chętnie – powiedziałem, przyłapując się na nieco obojętnym tonie.

– Smacznego – rzuciła jeszcze na odchodne i spojrzała na mnie w dziwny sposób.

– Dzięki – odpowiedziałem, siląc się na uśmiech.

Przez myśl przeszło mi poproszenie jej, żeby przyniosła mi więcej serwetek, ale uznałem, że byłaby to już przesada.

Jadłem pospiesznie, obserwując ludzi wokół i dopisując do nich krótkie historie, jak na rasowego scenarzystę przystało.

Ale kiedy tak przeżuwałem pokarm, nagle uderzyła mnie pewna niespokojna myśl. Dlaczego właściwie ona była dla mnie tak uprzejma, że nie tylko mnie obdarowała darmowym jedzeniem, lecz jeszcze osobiście pofatygowała się do stolika? Jaki miała w tym interes? Zacząłem węszyć w tym wszystkim podstęp.

Może pogardliwie napluła mi po drodze do jedzenia? Odebrało mi nieco apetyt. Nigdy się tego nie dowiem, a teraz będę się zadręczał.

„Pieprzona paranoja” – skarciłem się w duchu. Może po prostu chciała zachować się profesjonalnie? A może nie tylko się na mnie nie gniewała, ale wciąż na coś liczyła?

Kiedy już wszystko zjadłem, opróżniłem tackę z papieru, plastiku i resztek, a potem skierowałem się w stronę ruchomych schodów i wyjścia z galerii. Po drodze usłyszałem dziwne bulgotanie w brzuchu, a potem poczułem pierwsze skurcze. Zaraz potem pojawiły się gazy zwiastujące finalne nieszczęście.

„Kurwa mać! Naprawdę niezła z niej aktorka!” – pomyślałem jeszcze, zanim stało się najgorsze.

8. Sabina

Pojechałem na wycieczkę do Sztutowa, które niegdyś było budzącym grozę Stutthofem. Najpierw dostałem się eskaemką z Gdyni do Gdańska, a stamtąd, z dworca autobusowego, pekaesem już na miejsce.

Skoro wcześniej w ramach turystyki obozowej widziałem Auschwitz i Auschwitz-Birkenau, a niedawno też Dachau, to teraz wypadało do tej upiornej kolekcji dołączyć coś lokalnego, czego przez te wszystkie lata jakoś nie miałem okazji zobaczyć. Więc w końcu okazję stworzyłem sobie sam.

Kontemplując ból tutaj osadzonych i umęczonych, uruchamiałem wyobraźnię, kreśląc obraz wojny i niewoli z perspektywy obozowej. Kiedy w skupieniu starałem się poznać szczegóły historii tego miejsca, usłyszałem tętent kopyt uczestników wycieczki szkolnej, wstrząsający drewnianą konstrukcją baraku, połączony z nieujarzmionym, przesywającym krzykiem, wrzaskiem i piskiem. A za tym młodym żywiołem wkroczyła pani nauczycielka, która nie próbowała już nawet tej dzieciarni uciszać ani w żaden sposób na nią wpływać, jakby pogodziła się ze swoją bezradnością. Bo przecież czasy były takie, że gdyby zwróciła im uwagę, rodzice poskarżyliby się na nią dyrektorce, zarzucając jej niepotrzebną agresję i wyzywanie się na ich pociechach za swoje życiowe niepowodzenia.

Nie mogłem się skupić na wystawie, nie będąc w stanie niczego przeczytać ani obejrzeć. Nawet nie chodziło o ten uniemożliwiający dłuższą koncentrację hałas. Po prostu moja ciekawość przekierowała się w stronę tych dzieciaków, ich percepcji historii i miejsc martyrologii.

– O, „Heil Hitler”, tutaj też! – zawołał jakiś chłopięcy głos, wskazując na podobiznę Führera.

Przyszła mi do głowy kolejna scena do *Socjopatki w wielkim mieście*. Tytułowa socjopatka przyjeżdża do byłego obozu w Sztutowie z kuzynką – blogerką i szafiarką – Krysią. Krysia szuka pomysłów na nowe plenery i związane z nimi stylizacje, a nade wszystko desperacko łaknie popularności, więc nie zawaha

się wzbudzić kontrowersji. Łamie sobie obcas, a potem narzeka na dyskomfort oraz zamartwia się, jak zrobić zdjęcia, żeby ten mankament ukryć, rozważa nawet przełożenie sesji. Kiedy socjopatka daje kuzynce do zrozumienia, że jej zachowanie jest trochę niestosowne, biorąc pod uwagę miejsce, w jakim się znajdują, Krysia nagle zmienia ton i wypowiada jakieś androny na temat obrzydzenia, jakim napawają ją: polska martyrologia, cierpiętnictwo i kult śmierci.

Potem pyta, czy tu, na miejscu, jest jakaś restauracja, bo poczuła się głodna, a jeśli jest, to czy ma w ofercie dania bezglutenowe.

Przerwałem te rozmyślania, uznając, że takie sceny byłyby nieco przerysowane, a polski widz nie jest jeszcze na coś takiego przygotowany.

Wyszedłem na zewnątrz baraku, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Nagle do moich uszu dobiegła rozmowa dwóch dziewczyn. Mogły to być późne licealistki, choć raczej wyglądały na wczesne studentki.

– Gdzie ten słynny napis „Arbeit macht frei”? – zapytała jedna z nich.

– A chyba już nie ma, bo go kiedyś ukradli – odpowiedziała druga, wzruszając ramionami.

Pokręciłem tylko głową. Odczekałem chwilę, aż dzieciaki wyjdą z baraku, żeby móc dokończyć oglądanie zgromadzonych tam pamiątek i czytanie opisów. Potem przeszedłem do sali poświęconej pamięci polskich księży męczenników.

– Pan Tomasz? – Nagle za plecami usłyszałem znajomy głos.

Odwróciłem się i moim oczom ukazała się mecenas Sabina Świtalska. Z kilku powodów nie był to przyjemny widok.

– Dzień dobry, pani mecenas – powiedziałem, przelękając się. Wysiliłem się na uśmiech i spytałem: – Co pani tutaj robi?

– Mój dziadek przeszedł przez Stutthof. Jak żył, często odwiedzaliśmy wspólnie to miejsce. Ale i teraz, po jego śmierci, staram się tu regularnie przyjeżdżać – wyjaśniła.

– Rozumiem – odpowiedziałem, by za chwilę rzucić nieco banalnie: – Na pewno było mu ciężko wszystko to jeszcze raz przeżywać...

– Tak, na pewno, ale było w tym coś oczyszczającego... – Urwała, by nagle zmienić temat: – Panie Tomaszu, przepraszam, że w takich okolicznościach, ale z przykrością muszę stwierdzić, że nie odnotowałam na koncie wpływu drugiej raty honorarium za sprawę rozwodową.

– Pani mecenas, z przykrością muszę stwierdzić, że ustalone kontakty nie działają. Praktycznie nie widuję syna.

– Zawsze można spróbować coś z tym zrobić, jak panu mówiłam.

– Ale to się będzie wiązać z dodatkowymi kosztami...

– Na razie mówmy o kosztach, na które się już umówiliśmy – wypomniała.

– Dziwne, wydawało mi się, że przelewałam pieniądze.

– To proszę, niech pan sprawdzi dokładnie, bo ja nie dostałam swoich

pieniędzy – rzuciła zniesmaczona moimi wybiegami.

– Dobrze, przepraszam... Sprawdzę – odbąknąłem zakłopotany.

– Wie pan, panu się może wydawać, że ja śpię na kasie, ale to nieprawda. Wie pan, jak ciężko jest prowadzić w dzisiejszych czasach kancelarię? Mówię panu, nawet za Hitlera nie było takich podatków i składek. Miłego zwiedzania! – rzuciła jeszcze na odchodne.

9. Wiola

– To takie nowobogackie. Siedzimy sobie w... suszarni i jemy sushi za pięćdziesiąt złotych, a u mnie w sklepie coś takiego kosztuje dziesięć złotych.

Mówiąc „u mnie w sklepie”, Wiola miała na myśli dyskont w centrum Gdyni, w którym była kasjerką.

Widywałem ją wcześniej, ale bliżej poznałem w niecodziennych okolicznościach. Jakiś gnojek próbował wyrwać jej torebkę, ja pospieszyłem z pomocą, ale w trakcie szamotaniny, zakończonej zresztą naszym zwycięstwem, przewróciłem się i trochę potłukłem.

„Żaden dobry uczynek nie pozostanie nieukarany” – pomyślałem, liżąc rany.

– Dziękuję panu. Może byśmy poszli na pogotowie? – Pochyliła się nade mną z troską i współczuciem.

– Nie, dziękuję. – Pokręciłem głową, wzbraniając się. – Byłbym zmuszony czekać parę godzin w poczekalni wśród dziwnych przypadków i na pewno bym się od kogoś czymś zaraził.

– To może chociaż na kawę? – zaproponowała, przyglądając mi się przyjaźnie.

Jawiła się stosunkowo apetycznie (siedem w skali od zera do dziesięciu), więc się zgodziłem. Sądząc po braku obrączki i pierścionka zaręczynowego, nie miała ani męża, ani narzeczonego. Przez głowę przeszła mi głupia myśl, że może upatrzyła mnie sobie wcześniej, a potem, w akcie desperacji, zaaranżowała z bratem lub znajomym całą tę scenę, żeby mnie w ten sposób podejść.

I tak to się zaczęło.

Od początku urzekała mnie swoimi opowieściami.

– Albo te babcie. Zawsze blokują kolejkę, szukając godzinami drobnych. Wydaje im się, że w ten sposób mi pomagają, a tak naprawdę doprowadzają mnie tym do szału. Ale dziadkowie są jeszcze gorsi. Tacy starej daty, którzy próbują być ujmujący i szarmanccy. Prowadzić ze mną pseudodowcipne dialogi. Jednak jeszcze gorsi są podrywacze ze swoimi głupimi żarcikami. Niektórym się wydaje, że skoro jestem tylko kasjerką, to mogą sobie pozwolić na więcej.

– Ale nie jesteś tylko kasjerką?

– No nie, czasem układam towar czy mam inne odpowiedzialne zadania – zaznaczyła. – Albo sprzątam... Wiesz, Polacy zachowują się w sklepach jak dzicz.

Ciągle znajduję coś na niewłaściwym miejscu. Weźmie taka franca jedna z drugą zmieni zdanie, ale już nie odłoży tam, gdzie trzeba. I potem jogurty leżą w proszkach do prania, łośoś wędzony wśród słodczy, plasterki mięsa na półce z sokami.

– Nie znosisz klientów, co? – zaśmiałem się.

– Różnie z tym bywa, ale czasem mam naprawdę dość. Wyklócają się o dwadzieścia groszy, bo przecież „tam cena była inna” – przedrzeźniała. – A nawet dokładnie baba nie spojrzała, że to była cena czegoś innego. Albo kupują dwie bułki i najtańszy serek, a potem żądają faktury i oczywiście zawsze coś nie zadziała w tej cholerniej drukarce, muszę wołać kierowniczkę i mam zablokowaną kasę. Długo mogłabym opowiadać.

– Podziwiam cię. Ja bym nie wytrzymał za kasą.

– Wpadłbyś w sobotę wieczorem na winko? – zapytała.

– Z dyskontu? – Mrugnąłem do niej okiem.

– A żebyś wiedział, mamy całkiem dobre wina – odpowiedziała z uśmiechem.

Wiedziałem jednak, że nie o winko chodzi.

A przynajmniej na to liczyłem.

Kiedy jechałem do niej w sobotę wieczorem z bukietem pachnących kwiatów i paczką pachnących kondomów, kilkakrotnie zabrzczał mój telefon.

Ktoś najwyraźniej atakował mnie wiadomościami.

Czyżby Wiola rozmyśliła się w ostatnim momencie, ale nie starczyło jej odwagi, żeby mi to zakomunikować w normalny sposób?

Ale to nie była Wiola, tylko Kinga, moja była żona.

„Mam nadzieję, że nie zapomniałeś o urodzinach Rafała, bo bardzo na ciebie cały dzień czeka”.

– Kurwa! – zakląłem wściekły. Na siebie, że zapomniałem, i na nią, że mi o tym przypomniwała.

Jakby wiedziała, jak zamierzam spędzić ten sobotni wieczór, i chciała mi go koniecznie zepsuć.

Musiła, musiała z tym czekać do teraz. Na najgorszy – a z jej punktu widzenia najlepszy – moment. Bo było już za późno, żebym zdążył zareagować w temacie Rafała, ale wystarczająco wcześnie, żeby pokrzyżować moje plany.

Zatrzymałem się na uboczu i zadzwoniłem do Kingi.

– Dzisiaj nie mogę przyjechać... Przyjadę jutro.

– Urodziny są dzisiaj. Zapomniałeś oczywiście – stwierdziła, wypominając mi.

– Dobrze, kurwa, przyjadę dzisiaj.

– Dzisiaj, o tej porze? Zaraz będę go kładła spać.
„I tak by zrobiła wszystko, żebym go dzisiaj nie zobaczył” – pomyślałem.
– Podaj mi go do telefonu.
– Jest już zmęczony. Wiesz co, zadzwoń kiedy indziej.
– Kiedy niby? Przecież dzisiaj są jego urodziny. Sama to powiedziałaś. –
Wściekłem się.
– Mogłeś o tym pamiętać wcześniej, a nie dzwonić teraz, jak on zasypia,
i robić awantury. Wiesz co, rozłączam się...
– Nie, poczekaj.
Nie poczekała. Rozłączyła się. Głupia pizda.
Momentalnie straciłem ochotę na seks, na spotkanie z Wiolą, na cokolwiek.
Odbierała mi smak życia.

Przeprosiłem Wiolę za tamten wieczór, który nie doszedł do skutku z mojego powodu, ale ona obraziła się na poważnie. Przemówiły przez nią kompleksy i ubzdurzyła sobie, że jest dla mnie niewystarczająco atrakcyjna i gardzę jej profesją. Próbowałem się tłumaczyć, ale nic do niej nie docierało.

Potem starałem się unikać dyskontu, w którym pracowała, choć nie było to łatwe.

Któregoś dnia trafiłem na nią – jedyna kasjerka, nie było odwrotu.

Patrzyła na mnie spode łba. Zirytowany jej manifestacyjną niechęcią zacząłem powoli wygrzebywać drobne z portfela.

– Może się przydadzą – stwierdziłem dobrotliwym tonem.

10. Klaudia

Klaudię wypatrzyłem na stronie z tanimi lotami. Przy promocji lotów do Sztokholmu, a właściwie do miejsciny oddalonej od Sztokholmu dziesiątki tysięcy kilometrów autobusem, napisała, że zawsze chciała tam jechać, ale nie ma z kim się wybrać. Może zrobiło mi się jej żal, może upatrywałem w tym swoją szansę – w każdym razie zagadnąłem ją na Facebooku i umówiliśmy się.

Nie wiem, co mnie podkusiło, żeby zgodzić się na hostel. To była jej inicjatywa. Chciała być hiper, cool i trendy. Oszukiwać się, że nie skończyła trzydziestki, kręcąc się wśród dwudziestoletnich kretynów zamiatających brodami podłogi, brzdąkających na gitarach w lobby, człapiących w samych gaciach i klapkach w dwudziestostopniowym mrozie i zagadujących nieznane osoby, skąd przyjechały i jak się miewają. A ja byłem po prostu za stary na takie rzeczy. Teoretycznie mogłem dzięki temu oszczędzić, tyle że w ostatnich latach różnica cen między tanimi hostelami a hotelami się zacierała, a różnica jakości dawała się odczuć na każdym kroku.

Wybraliśmy się do Muzeum Vasa, czyli bodaj najbardziej obleganego sztokholmskiego muzeum, z siedemnastowiecznym okrętem wojennym zbudowanym z polecenia Gustawa II Adolfa na wojnę z Polską, której królem był wówczas jego krewny – Zygmunt III Waza. Okręt zatonął niedługo po pierwszym wyjściu z portu.

Kiedy przewodniczka opowiadała o tym ze smutkiem w głosie, wybuchnąłem niekontrolowanym śmiechem, budząc konsternację zgromadzonych. Klaudia posłała mi karcące spojrzenie.

– Wyłazi z ciebie taki mały cholerny patriota – stwierdziła na stronie. – Istny cud, że nie wdrapałeś się na maszt, żeby krzyknąć: „Czołem wielkiej Polsce!”.

Nic jej nie odpowiedziałem. A ona dodała zjadliwie:

– Naprawdę, bałam się, że się nagle odezwiesz i przejmiesz od niej grupę. Zacznieś gawędzić o potopie i snuć patetyczne kawałki o obronie Częstochowy.

– Mądre narody dbają o swoją historię – odparłem spokojnie. – Zobacz, oni wyciągnęli po kilkuset latach wrak statku, żeby zamanifestować swoją dawną potęgę.

– Ja tu nie widzę żadnej manifestacji. Zresztą to nie jest chyba szczególnie dumny naród. Obsesja na punkcie historii jest raczej wyrazem kompleksów. Na przykład polskich.

Wzruszyłem ramionami. Nie chciało mi się ciągnąć tej nadętej dyskusji, którą mi zafundowała.

– Polska wstaje z kolan – rzuciłem pod nosem.

– To tak jak facet, który jest nieudacznikiem w łóżku, chwali się swoimi wymyślonymi podbojami – dodała po chwili ciszy, chcąc mieć ostatnie słowo.

„Czy ona się nie zamknie?” – pomyślałem z irytacją.

Po wizycie w muzeum zdecydowaliśmy się na rejs do Drottningholm, w którym znajdowała się rezydencja królewska, a potem udaliśmy się na obiad.

Wybór lokalu nas podzielił. Mnie zależało przede wszystkim na jakiejś sensownej cenie, a ona szukała knajpy spełniającej kryteria, które stanowiły połączenie jakichś znalezionych w Internecie diet oraz porad z książek typu *Dieta bez pszenicy*.

Nagle wszyscy musieli zwalczać ten cholerny gluten. Nagle wszyscy byli uczuleni na gluten. Nagle wszyscy odkryli, że nie jedząc glutenu, czują się lepiej.

Kiedy tylko zasiedliśmy przy stole, zaczęła zadreć kelnera (swoim łamanym angielskim) pytaniami o składniki poszczególnych potraw. Najpierw odpowiadał uprzejmie, a potem z coraz większą irytacją, nie rozumiejąc, o co jej chodzi, a może podejrzewając ją o coś w rodzaju restauracyjnego trollingu.

Odnutowała, że patrzę na to wszystko z zażenowaniem.

– Jeśli tak bardzo ci się spieszy, możemy zjeść osobno – powiedziała do mnie, kiedy kelner odszedł, usłyszawszy, że Klaudia potrzebuje więcej czasu do

namysłu. – Idź się napchać do Maca albo Subwaya.

– Przecież nie o to chodzi...

– To o co? Przeszkadza ci, że o siebie dbam? Że nie chcę się żywić tablicą Mendelejewa? Ty też powinieneś o siebie zadbać.

Spojrzała wymownie na moją oponę na brzuchu.

– Przecież ja nie jem aż tak niezdrowo... – bąknąłem, czerwieniąc się.

– Właśnie! – zawołała triumfalnie. – A mimo to wyglądasz niezdrowo.

A wystarczyłoby, gdybyś zrezygnował z pszenicy, a raczej tego, co obecnie pszenicę udaje.

Boże! Ożenić się z kimś takim i dać się sterroryzować. To musi być straszne.

Wyobraziłem sobie, jak zmusza mnie do zdrowej żywności, diet, narzuca wszystkie te swoje rygory żywieniowe, stoi ze mną z kalkulatorem kalorii, jak chodzimy godzinami po supermarkecie, sprawdzając skład każdego produktu. Jak po kryjomu przed nią zajadam się bułkami pszennymi (gluten wyklęty!), jak organizuję sobie skrytkę na słodycze, którą uzupełniam, szmuglując łakocie, i jak opróżniam ją pod jej nieobecność. Zniewolony we własnym domu, uprawiający spożywczą partyzantkę.

Postanowiłem uciąć tę rozmowę i po prostu pokornie zamilkłem. Ale ona moją pokorę odebrała jako paradę marszałka Focha.

Zjedliśmy w ciszy. Ktoś, kto popatrzyłby na nas z boku, mógłby zadać słuszne pytanie: co robimy tu razem?

Nie miałem okazji sprawdzić, czy była przynajmniej dobra w łóżku, bo między nami wyrósł w ciągu jednego dnia jakiś mur i byliśmy swoją obecnością zmęczeni. Nawet nie potrafiliśmy udawać, że jest inaczej. Nie mówiąc o tym, że w hostelu spaliśmy w oddzielnych pokojach.

Potem okazało się, że poznała tam jakiegoś Hiszpana – Juana Alberta. Dała mi do zrozumienia, że resztę pobytu w Sztokholmie spędzimy oddzielnie, a ja nie protestowałem.

Niestety, w drodze powrotnej siedzieliśmy obok siebie, bo przecież wspólnie kupiliśmy bilety. Samolot był pełen, a żadne z nas nie chciało robić scen z przesiadkami.

Kiedy wylądowaliśmy bezpiecznie na gdańskim lotnisku, zaczęła klaskać.

11. Iwona

Odnosiłem czasem wrażenie, że sąsiad – Minotaur – buduje u siebie na górze albo stale udoskonala labirynt. A potem ktoś wpuszcza do niego partiami dzieci i goni je. I tak w kółko...

Bo, kurwa mać, innego wytłumaczenia tego, co działo się nad moją głową, nie znajdowałem.

Byłem nerwowy, ponieważ po dwóch spotkaniach z Iwoną na moim penisie

wyskoczyły dziwne krostki. A że wcześniej w mieszkaniu Iwony znalazłem maść przeciwwgrzybiczną, to dodatkowo się nakręciłem na negatywne prognozy.

Mając do wyboru kilku dermatologów, zdecydowałem się na doktora Szczura (o specjalności dermatolog wenerolog). Czuję się niekomfortowo, opowiadając o moim problemie kobiecie.

W poczekalni była stosunkowo krótka kolejka.

Usiadłem i zacząłem sobie wyobrażać, kto z jaką dolegliwością tu dzisiaj przyszedł.

Ta starsza kobieta o kulach przyszła pewnie z łuszczycą. Mam nadzieję, że lekarz będzie oglądał ją w rękawiczkach.

A ten młody facet, nerwowo obracający palcami i wiercący się na krześle, to pewnie marynarz. Przywiózł sobie jakąś pamiątkę z rejsu – może wyhodował kaktusa. Czeka na wyrok.

Kolejka topniała. W końcu nadeszła moja kolej. Miałem ochotę na rejteradę w ostatnim momencie, ale ostatecznie zebrałem się na odwagę. Odrętwiały, zestresowany, zmusiłem się do wejścia, czując na sobie ponaglące spojrzenia.

Kiedy wszedłem, zamurowało mnie. Przy biurku siedziała sześćdziesięcioletnia mniej więcej kobieta.

– Doktor Szczur? – spytałem oniemiały.

– Tak – odpowiedziała, mierząc mnie dziwnym spojrzeniem.

„To niemożliwe!” – chodziło mi po głowie. Stałem w bezruchu.

– Sama się nie domyślę, co panu dolega – stwierdziła z irytacją. – Niech zamknie drzwi.

Zamknąłem i powiedziałem:

– Coś mi wyskoczyło na... – Przełknąłem ślinę. – Na penisie mi wyskoczyło.

– Pokaże – odpowiedziała.

Wtedy uświadomiłem sobie, że odsłonięte okno gabinetu wychodzi na podwórze blokowiska. Żadnej żaluzji, zasłonki, chociaż obłej firany w peerelowskim stylu, nic. Przecież wszystko, co się tutaj dzieje, widać jak na dłoni. Przeszedłem gdzieś w kąt gabinetu, żeby nie wystawiać się na widok, ale ona, patrząc na mnie zdziwiona, przywołała mnie do siebie ruchem dłoni.

– Tutaj, tutaj – powiedziała ponagląco. – Gdzie tam się chowa po kątach?

Co robić, drogie „Bravo”, co robić? Przecież nie wyskoczę teraz, że chodzi mi o brodawki, skoro wspomniałem o penisie.

Na szczęście byłem przygotowany na taką ewentualność. Wyciągnąłem asa z rękawa, a konkretnie komórkę z kieszeni. Odszukałem zdjęcie swojego penisa z krostami na żołądki i podsunąłem jej telefon.

Ona się nie uśmiechnęła – ona prychnęła.

– Niech się nie wygłupia. Niech ściąga portki – powiedziała.

„Portki” – powtarzałem sobie w myślach. Przecież dzisiaj nikt już tak nie mówi.

Poddałem się.

Wyjrzałem przez okno – na szczęście podwórko wydawało się opustoszałe. Drżącymi dłońmi odpiąłem guzik, rozsunąłem zamek i wyciągnąłem nieśmiało swoją męskość na zewnątrz. Sięgnęła po rękawiczki. Jej twarz była kamienna.

– Odłoni napletek – poleciała mi, a ja posłusznie wykonałem polecenie.

Przyglądała się mojemu penisowi, dziwnie nad nim pochylona. Na szczęście zasłaniała sobą mój widok, więc przynajmniej tym nie musiałem się martwić.

– Może się ubrać – powiedziała. – Reakcja alergiczna.

– Nie grzybica? – spytałem dla pewności.

– Nie, grzybica tak nie wygląda – odrzekła.

– Na co ta reakcja?

– Tego jeszcze nie wiem. Używał pan ostatnio jakichś innych niż do tej pory prezerwatyw, jakichś nowych proszków do prania, płynów do płukania?

– Prezerwatyw... – przyznałem. – Mojej dziewczynie zachciało się eksperymentować.

Przecież nie mogłem jej powiedzieć, że kupiłem kondomy w dyskoncie.

Przepisała mi jakąś maść, kazała odstawić podejrzone gumki i pożegnała oschle, mówiąc, że w ciągu tygodnia, maksymalnie dwóch, wszystko powinno się unormować.

Odetchnąłem z częściową ulgą.

Potem, w drodze na przystanek autobusowy, z przerażeniem uświadomiłem sobie, że zgubiłem gdzieś telefon.

Wyobraziłem sobie, że ktoś go znajduje i wrzuca dla żartu na Fejsa informację o znalezionym telefonie ze zdjęciem mojego chorego penisa, tak jak wrzuca się zdjęcia podróźników ze znalezionego aparatu, w nadziei na ich identyfikację i zgłoszenie się po zgubę.

Wróciłem do przychodni. Na korytarzu przed gabinetem, w którym przyjmowała doktor Szczur, nie było już ludzi. Zapukałem i nie czekając na zaproszenie, pociągnąłem za klamkę.

Doktor Szczur nie była sama. Trzymała w rękach jakieś stare paskudztwo. Spojrzała na mnie ze złością, ale to nic w porównaniu ze wściekłością, jaka emanowała z jej upokorzonego pacjenta.

– Przepraszam, ale chyba zostawiłem u pani telefon... – rzuciłem nieśmiało.

– Tak, zostawił. Zaraz panu podam.

– Nie, nie... – zaprotestowałem. – Sam sobie wezmę.

Do Iwony już więcej się nie odzywałem.

Szybko sobie kogoś znalazła, bo potem widziałem na Facebooku jej zdjęcia – w towarzystwie jakiegoś podtatusiałego jegomościa – z wyjazdu na *all inclusive* do Egiptu.

Plaża, basen, bufet, drinki. Drinki, bufet, basen, plaża. Basen, bufet, drinki, plaża. Mnóstwo desperackich, źle wykonanych, wołających o uwagę selfie.

Nie będzie mi jej brakować.

12. Milena

Ten dzień zaczął się bardzo dziwnie. Przed południem miałem umówioną wizytę u pani Małgorzaty – psychoterapeutki – więc udałem się tam, gdzie zarazem mieszkała i przyjmowała pacjentów. Na miejscu jednak okazało się, że nie dość, że nie otwierała, to jeszcze nie odbierała telefonu. Co gorsza, zauważyłem, jak w oknie poruszyła się firanka, a więc ktoś musiał obserwować mnie z domu.

To miała być druga wizyta. Najwyraźniej nawet psychoterapeutka miała mnie dość po pierwszym razie.

Zawsze się zastanawiałem: czy psychoterapeutki również mają swoich psychoterapeutów, przed którymi wylewają żale na toksycznych pacjentów?

Po południu z okazji urodzin mojego sąsiada Konstantego poszedłem z nim, jego kuzynem Pawłem oraz Jankiem, jego kumplem z pracy (wszyscy, tak jak ja, zaawansowana trzydziestka) opić jego zdrowie. Rozweseleni urządziliśmy sobie retrospekcje. Z jakichś powodów rozmowa przeszła na pornografię.

Konstanty przypomniał stare czasy, kiedy pornografia nie była czymś na wyciągnięcie ręki.

– Nie to, co teraz. Jeśli ci na niej zależało, musiałeś się czasem mocno natrudzić i do tego obowiązkowo najeść wstydu. Ale miało to sens i logikę. Dla jednych bywała to bariera, która trzymała w ryzach niezdrowe zainteresowania i przyzwyczajenia, zaś tym, którzy ją pokonywali, zakazany owoc smakował podwójnie – stwierdził, śmiejąc się.

– Do kiosku jeździło się rowerem – wspomniał ożywiony Paweł. Na jego twarzy pojawiły się charakterystyczne wypieki. – Na szczęście w tamtych czasach kioski były często metalowymi, zakratowanymi minitwierdzami, więc kontakt wzrokowy z kimś, kto znajdował się w jego wnętrzu, był ograniczony, czasem nawiązywało się go tylko na chwilę, a innym razem udawało się załatwić wszystko i bez tego. Trzeba było się tylko odpowiednio nachylić i słyszalnie wypowiedzieć odpowiedni tytuł, rozliczyć, zabrać gazetę i czym prędzej pedałowac do domu. Unikanie czy ograniczanie do minimum kontaktu wzrokowego było niezwykle

istotne, bo to oczy, zdradliwe i wymowne, wyrażały wstyd, nawet przy pewnym głosie. Rozbiegane, zakłopotane, pełne winy oczy onanisty, które wyrażały podniecenie, zakłopotanie, skruchę; wszystko naraz.

– Zresztą moment wyciągania ręki po gazetę też był wielce zawstydzający, bo człowiek miał poczucie, że kioskarkę czy kioskarkę wyobraża sobie w takim momencie, że tą samą dłonią kupujący będzie za chwilę tarmosić swojego fiuta pod obrazki ze świerszczyka. Dzisiaj wydaje się to głupie, ale wtedy naprawdę tak myślałem – wyznał Konstanty.

– Czasem się udawało, że się nie ma zainteresowań ograniczonych do cip, dup i cycków, i kupowało się razem z „Catsem” jakieś dzienniki czy nawet tygodniki opinii albo magazyny branżowe – ciągnął ochoczo Paweł. – Ale to była trochę bezsensowna taktyka, bo trzeba się było dłużej męczyć, marnowało się niepotrzebnie pieniądze i czas, a w dodatku się ryzykowało, że nagle z tyłu kolejki stanie ktoś znajomy, kto zauważy, że kupujesz pornosa, i będzie to na przykład sąsiadka czy nauczycielka.

Janek patrzył na nich trochę zakłopotany, aby za chwilę wyznać:

– Ja kiedyś kupowałem „Bravo”. Rodzice zaklejali mi te dwie kartki o seksie. Te z poradami i z rubryką *Mój pierwszy raz*.

– Jesteś pewny, że to rodzice? – zarechotałem.

I tak mijały kolejne minuty wspomnień i wygłupów. W pewnym momencie zwróciłem uwagę na to, że przyglądają nam się dwie kobiety pod trzydziestkę. Z moich kompanów wszyscy byli (jeszcze) żonaci, więc mimo pokusy, której byliśmy skłonni ulec, ostatecznie tylko mnie wypadało je zagadnąć.

Skończyło się zresztą tak, że kumple się rozeszli, bo wzywały ich obowiązki domowe. Po solenizanta pofatygowała się osobiście żona, robiąc mu karczemną awanturę i zawstydzając przy wszystkich. Wymarzony prezent, nie ma co. Ja spędziłem wieczór w towarzystwie, jak się okazało, sióstr – Mileny i Lidki.

Kiedy w pierwszej chwili usłyszałem, że są siostrami, przestraszyłem się, że chodzi tu o feministyczne znaczenie tego słowa, ale one nie wyglądały mi groźnie czy nieprzyjaźnie; wręcz przeciwnie.

Potem Lidka odłączyła się dyplomatycznie i zostałem sam na sam z Mileną.

I kiedy wieczór, z płynną i dynamiczną rozmową między nami, ewoluował w wiadomym kierunku, nasza mnie taka myśl, że powinienem zwolnić. Oczywiście potrzeba szybkiej konsumpcji była ogromna, ale gdzieś tam pojawiła się nadzieja, że może wreszcie trafił się ktoś, kto zostanie na trochę dłużej i wniesie coś więcej do mojego życia. Zwłaszcza że nastał już niełatwy grudzień – refleksyjny miesiąc, w którego świąteczno-noworocznej końcówce odbija się rozrachunkowo wiele spraw z całego roku.

Na moją sugestię, żebyśmy nieco przystopowali, żeby nie przeszarżować, zareagowała z... wdzięcznością. Naturalnie poprzedziłem ją stwierdzeniem, że

chciałbym się z nią znowu zobaczyć.

Następnego dnia umówiliśmy się na mieście. Zapytała, czy nie zjadłbym z nią i Lidką obiadu, który zamierzała przygotować.

„Czy nie za dużo czasu spędza z siostrą?” – pomyślałem. Choć oczywiście zgodziłem się na wspólny posiłek.

Wcześniej jednak towarzyszyłem jej w dyskoncie.

– Marcheweczka, ziemniaczki, parę bułeczek... – wymieniała na głos pozycje z listy, a ja czułem, że skóra mi cierpnie. Miałem przeczucie, że szybko wyjdą na jaw jej niedoskonałości. Już wczoraj zwróciłem uwagę na fakt, że z lubością używa zdrobnień, choć wtedy byłem jej to w stanie wybaczyć, zakładając, że robi to pod wpływem alkoholu.

Zauważyła, że jestem zdenerwowany, i spytała, co się stało. Szybko znalazłem powód, który wyjaśniałby mój stan.

– Nie wiem, po co oni zostawiają tu plastikowe rękawiczki, skoro i tak polactwo maca pieczywo gołymi rękoma. Gdyby jeszcze chociaż te ręce myli, wchodzili do dyskontu prosto spod prysznic, ale przecież po drodze grzebią w silniku samochodu, dłubią w nosie, sznurują buty, trzymają się brudnych koszyków, dotykają niemytych owoców, a potem transportują wszystkie te zarazki na pieczywo – komentowałem na głos, żeby zawstydzić kilka osób, które najwyraźniej potrzebowały lekcji sklepowego savoir-vivre'u. – Albo matki pozwalające dzieciom dotykać wszystkiego, jakby to była macarnia, a nie sklep...

Spojrzała na mnie dziwnym, trochę rozczarowanym wzrokiem, który zdawał się mówić: „Nie wiedziałam, że jesteś tak toksyczną osobą”.

A ja nagle straciłem ochotę na cokolwiek i na jakąkolwiek formę międzyludzkich interakcji. Pragnąłem zaszyć się w swojej samotni, z dala od wszystkich.

Ukrywać przed światem, wyglądając czasem tylko zza nerwowo poruszanej firanki.

Epilog

W pokoju zadzwonił telefon. Wściekłem się. Przecież wyraźnie zastrzegłem, że pragnę spokoju.

Od początku widok tego aparatu doprowadzał mnie do szewskiej pasji. Nie pasował mi do swojskiego, choć zarazem nieco staroświeckiego, pensjonatu. Ale też wiedziałem, że w końcu się odezwie, wyprowadzając mnie z równowagi. Był jak strzelba Czechowa, która musi koniecznie wystrzelić w ostatnim akcie.

Niechętnie, jednak w końcu odebrałem.

– Panie Tomaszu, przepraszam, że przeszkadzam, ale jest telefon do pana – oznajmił mi ciepły, pełen uprzejmości głos pana Gabriela.

– Do mnie? – zdziwiłem się.

– Łączę pana – odrzekł.
– To ja – usłyszałem głos Kingi.
Z wrażenia opadłem na krzesło.
– Jak mnie tu znalazłaś? – spytałem.
– Czy to ważne? – westchnęła.
– Czego chcesz? Uprzedzam cię, że już bardziej nie da się zepsuć mi świąt, więc zastanów się dwa razy, zanim coś powiesz.
– Chciałam cię... przeprosić – stwierdziła nagle pojednawczo. – Zrobiłam rachunek sumienia na koniec roku i...
– O, robi się coraz ciekawiej. – Nie wierzyłem ani w jej szczerość, ani w dobre intencje.
– Dasz mi dokończyć? – ofuknęła mnie. – Czy skończy się jak zwykle na twoich głupich komentarzach?
– Słucham...
Nastąpiła chwila ciszy, niezupełnie ciszy zresztą, bo towarzyszyły jej jakieś odgłosy w tle. A potem usłyszałem słowo, które na chwilę znowu nadało sens mojemu życiu:
– Tata... – powiedział nieśmiało Rafał, by za chwilę dodać: – Dziękuję za prezent.
Dłoń, w której trzymałem słuchawkę, zadrżała. Czułem, jak po policzkach spływają mi łzy. Więc nie schowała go przed nim, jak ostatnim razem, i nie odesłała, jak przedostatnio.
– Cześć, synku... – szepnąłem poruszony. – Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię słyszę.
„Jeszcze będzie przepięknie, jeszcze będzie normalnie” – przeszły mi przez głowę słowa piosenki Tiltu, ale natychmiast skarciłem się w myślach za ten przyływ optymizmu.
Mimo wszystko gdzieś tam, nawet jeśli tylko na krótko, zajaśniała gwiazda i dyskretnie uśmiechnął się anioł.

ANNA KASIUK

Razem

– Czy musimy jechać? – wyrzuciła z siebie myśl, która dręczyła ją od kilku dni.

Święta zbliżały się wielkimi krokami, a oni znowu musieli wyjeżdżać. Boże, jak ona tego nie znosiła. Zbliżał się koniec roku, na głowie miała całą masę rozliczeń, raportów, których przygotowanie pochłaniało w okresie przedświątecznym ogrom czasu. I tak pracowała nocami, choć już dawno stało się to jej codziennością i stanowiło coś tak naturalnego, jak jej matka odrabiająca lekcje z jej dziećmi. Ktoś musiał pracować, by inni mogli spełniać swoje marzenia! Zacisnęła zęby ze złością, patrząc na jego odbicie w lustrze. Zaskakiwało ją jedno. On wciąż potrafił zachować spokój podczas jej niekończących się wywodów. Może ten rozwód wcale nie był tak głupim pomysłem, jak sądziła?

– Mam masę pracy, to całkiem inna sytuacja niż dotychczas. – Jej głos złagodniał.

– Robimy to dla dzieci, pamiętaj.

– One zrozumieją.

– One zasługują na to, by mieć rodzinę, choć raz w roku, przez tych kilka dni.

– Ale ja mam...

– Zawsze to powtarzasz. I zawsze wyrabiasz się po świętach. Twoja praca zabrała ci życie prywatne, odebrała zdolność naturalnego odczuwania. Jesteś pracownikiem idealnym, choć jedynie trybikiem w tej potężnej maszynie. Uświadomienie sobie tego pozbawi cię całkowicie gruntu pod nogami. I zostaniesz sama. Kogo będziesz wtedy szukała obok siebie?

Prychnęła niezadowolona. Jego spokój, ten opanowany ton głosu doprowadzały ją do szewskiej pasji!

– Ciebie będę szukała – szepnęła, udając subtelność.

– Dzieci będziesz szukała. Mnie już nie ma obok.

Wzdrygnęła się. Ustalili już rok wcześniej, że będą podtrzymywali ten związek tak długo, jak zdołają. Tylko dla dzieci, żeby kiedyś, w przyszłości miały wspomnienie domu, które posłuży im jako co prawda chybotliwy, ale zawsze wzór podczas tworzenia ich własnych rodzin. Jednak słysząc pewność, jaka przez niego przemawiała, czuła bolesne ukłucie żalu. Kiedy jednak starała się przypomnieć sobie, czego żałowała, pustka w jej sercu brzmiała głuchą ciszą. Pokiwała głową i stając obok niego, zaczęła rozczesywać włosy. Miała piękne włosy. Gęstymi pasmami opadały na ramiona i skrzyły się jasnymi odcieniami blondu, platyny i delikatnymi refleksami brązu. On kiedyś uwielbiał czesać jej włosy. To wspomnienie, dziwnym trafem, wciąż tkwiło gdzieś na dnie jej duszy. A teraz? Nawet na nią nie patrzył. Westchnęła, odrzucając głowę do tyłu.

– Nie znoszę zimy. Może choć wybierz jakieś spa?

Rzucił jej przelotne spojrzenie, chłodne i kłujące niechęcią.

– Już wybrałem. Pięciogwiazdkowy hotel w górach. Może być?

– A Internet tam mają?

– Julia, to jest pięciogwiazdkowy hotel, do cholery! Nie będziesz tam pracowała, więc Internet nie jest ci potrzebny. Tam będziesz potrzebowała cierpliwości, by być matką. Rozumiesz? – Opanował się i wziął głęboki oddech. Dłonie mu drżały, kiedy wyciskał pastę na szczoteczkę, a potem z zawziętością szorował zęby, patrząc na jej odbicie w lustrze.

– Rozumiem.

Następnego dnia spakowali się, wsiedli do jej samochodu i ruszyli. Prowadził Adam, ona siedziała obok niego, wpatrując się w obraz szybko zmieniający się za szybą. Ich samochód zdawał się mknąć tak, jakby się dokądś spieszyli.

– Nie jedziesz za szybko? – rzuciła niby od niechcienia, wciąż myśląc o tym, czego nie zdążyła zrobić. Sięgnęła po komórkę i odnalazłszy kalendarz, zanotowała najistotniejsze dla niej rzeczy. Po powrocie do domu będzie miała jakieś trzy dni na zamknięcie miesiąca. „Właściwie – pomyślała przebiegle – może zadzwonić do biura i zlecić część zadań moim ludziom”. W tym doszła już do perfekcji i dawno przestała mieć wyrzuty sumienia, myśląc o rodzinach i dzieciach jej pracownic. Pracowały w prężnie działającej korporacji, zarabiały całkiem dobrze, więc powinny zdawać sobie sprawę z konieczności ponoszenia pewnej ofiary. Czasami. Cóż, takie jest życie. Za bramą stoi cała masa innych im podobnych, młodszych, które docenią prestiż pracy w takiej firmie. Jej usta wykrzywił pogardliwy uśmiech.

– Nie jadę za szybko. Możemy się przesiąść, jeśli chcesz. – Głos jej męża znowu brzmiał spokojnie.

– Nie, tato. Ty prowadź. Mama nas pozabija, zanim dojedziemy na miejsce!

– Z tyłu dobiegł głos Cyryla. – Jeszcze dwa lata i zrobię prawo jazdy. Wtedy ja

będę was woził – zażartował.

– A czym? – rzuciła zbyt pośpiesznie.

– Twoim samochodem – odparował Adam, miażdżąc ją zimnym jak lód spojrzeniem. – Mój jest stary i wstyd pokazywać się nim gdziekolwiek. Prawda, Cyryl?

– Prawda, tato, twój samochód to rzeczywiście przypał. Ale mamy to już coś! – Zaaferowany chłopak poprawił się w fotelu i odnalazł wzrok ojca we wstecznym lusterku.

Spojrzenie Adama złagodniało, a delikatne zmarszczki pokrywające siatką okolicę jego oczu zaznaczyły skórę nieco mocniej.

Julia, słysząc ich żarty, odwróciła się w stronę okna i skupiła wzrok na migającej za szybą bieli. Krajobraz zmieniał się coraz gwałtowniej. Poszarpany na horyzoncie, przypominał jej wykresy sprzedaży w stosunku do zapotrzebowania, jakie wykazywali w cotygodniowych raportach klienci. Uśmiechnęła się pod nosem. A gdyby wprowadzić jeszcze jedno uwarunkowanie? Na przykład zoptymalizować sprzedaż najbardziej powtarzalnych produktów? Wprowadzić dodatkowe promocje, które podwoją aktualną sprzedaż? Wystarczyłoby zaledwie dorzucić do jogurtów małą saszetkę płatków! Albo jeszcze lepiej, można dorzucić saszetkę płatków fit z suszonymi owocami! To powinno pobudzić zainteresowanie produktami w okresie wczesnowiosennym! O, z pewnością wtedy klienci odczuwają silną potrzebę bycia fit, ich zimowe rozpasanie nagle zostanie wyeliminowane silną potrzebą zadbania o sylwetkę na wiosnę.

Julia uniosła się w fotelu. Przyjemne mrowienie, które przebiegało jej ciałem, zwiastowało potrzebę pracy. Czowała ją niemal tak samo mocno jak pożądanie, które rozpałało jej ciało jeszcze nie tak dawno pod wpływem zapachu – ba, nawet widoku – jej męża. Co się z nimi stało? Słońce zaczęło się skrzyć w drobinach zmarzniętego śniegu zalegającego na poboczach drogi, którą przemierzali. Julia sięgnęła do schowka po okulary i wcisnęła je głęboko na nos. Kreśliła w głowie nowe plany, rozemocjonowana zaciskała dłoń na podłokietniku, wciąż snując domysły, które miały za zadanie mnożyć pieniądze, umożliwić bogacenie się firmie. A kolorowe wykresy przedstawiające krzywe zysków wspinały się ostrymi krawędziami zupełnie jak szczyty gór, które w końcu ujrzała.

– Ocknęłaś się? – zauważył, pobrzmiwając litością jej mąż.

– Mamo, popatrz, jakie widoki! – szepnęła Kamila, pochylając się nad jej ramieniem.

Julia podążyła wzrokiem za palcem córki i, jak wyrwana z letargu, z czołem zmarszczonym zaskoczeniem, wiodła spojrzeniem po skrywających się w oddali górach.

– Musimy się pośpieszyć, popatrzcie do tyłu. – Adam zabrzmiał tajemniczo, czym zwrócił uwagę całej ich trójki.

– Zanosi się na burzę śnieżną? Sprawdziłeś pogodę? – sapnęła z pretensją w głosie, poprawiając się w fotelu. – Co mówi twój kompas? – Zawsze wprowadzała go z równowagi, używając tego określenia.

Jej mąż bowiem nie posługiwał się nawigacją. Przed każdym wyjazdem siadał przy komputerze i śledził trasę, jaką mieli jechać. Zapamiętywał drogę, oglądał ją w 3D, podczas gdy ona nie potrafiła zrozumieć sensu jego postępowania. Sięgnęła znowu po telefon i wstukała adres hotelu, do którego zmierzali. Ich samochodem zaczęło z początku lekko trząść, po dłuższej jednak chwili obficie padający śnieg przesłaniał już ich drogę, niemal uniemożliwiając jazdę.

Dzieci w końcu zamilkły. Słysząc było tylko gwałtowne tarcie wycieraczek po szybie. Ponura atmosfera podróży nabrała jeszcze głębszego wyrazu.

– Skręć w lewo – rzuciła, zerkając w kierunku, który wskazała jej nawigacja.
– Jesteś pewna? Tu nie ma drogi. Jest tylko jakaś polna ścieżka, a może droga...

– Jestem pewna. Mam uaktualnioną nawigację. Takie hotele znajdują się zawsze na uboczu, chodzi o klimat i podniesienie walorów estetycznych, żebyśmy widzieli jasno i wyraźnie, za jaki luksus płacimy – prychnęła i wskazała kierunek.

Adam zacisnął zęby i skręcił, choć nie był zupełnie przekonany co do słuszności tego wyboru. Na zewnątrz białe płatki grubego, mięsistego śniegu wibrowały w szaleńczym tańcu, co wprawiało go w lekki niepokój. Zdecydowanie wolał w takich chwilach siedzieć w domu, zaciągać się zapachem terpentyny i akryli, którymi pokrywał powierzchnię kolejnego płótna. On też wolałby zostać w domu. Otrzymał tuż przed świętami kilka ciekawych propozycji, nad którymi zamierzał się skupić. Ale widząc, z jaką radością Kamila i Cyryl wspominali nadchodzące święta i jak cieszyli się perspektywą wspólnie spędzonego czasu, nie potrafił zająć się pracą. Ona mogła poczekać. Taką zresztą zawarł umowę z Julką. Święta mieli spędzać razem, dla dobra dzieciaków. Poza tym one dorastały, możliwe, że za jakiś rok, może dwa, nie będą już tak nalegały na spędzany z rodzicami czas. Co wtedy? Ich święta stracą całkowicie sens, każdy dzień będzie przypominał poprzedni i z pewnością nie będą mieli już na co czekać. Ich przyszłość umrze.

Spojrzał na swoją żonę, a widząc determinację ściągającą jej delikatne brwi, powstrzymał się przed komentowaniem tej decyzji. Zwolnił i zjechał powoli z jezdni w nieco węższą, raczej polną drogę. Zerknął w boczne lusterko. Niebo za nimi zaciągnęło się ciemnymi chmurami, co nie napawało optymizmem. Nieco przyspieszył, ale samochodem niebezpiecznie zarzuciło i znaleźli się blisko smukłych, pnących się wysoko świerków.

– Jezu... Adam, nie podoba mi się to.

W głosie jego żony zabrzmiał lęk. Natychmiast zwolnił i położył dłoń na jej udzie. Zupełnie, jak zwykł czynić kiedyś, chociaż właściwie nie wiedział, dlaczego

to zrobił. Ona jednak nie straciła jego dłoni, a wręcz przeciwnie, rozluźniła się i osunęła w fotelu.

Jechali jeszcze jakiś czas, śnieg, szarpany podmuchami wiatru, opadał zasłoną tuż przed nimi, raz w jedną, raz w drugą stronę. Adam pomyślał, że wygląda to zupełnie jak zasłony wirujące w jego rodzinnym domu, kiedy bawił się nimi jako małe dziecko. Wycieraczki pracowały bez przerwy, odrzucając białą zasłonę z przedniej szyby.

– Tato, patrz! Tam, po lewej! Dach naszego hotelu! – krzyczała przestraszona Kamila. – Dojechaliśmy!

Zatrzymali się przed niewielkim pensjonatem. Przez chwilę siedzieli w ciszy i przyglądali się budynkowi, co prawda odnowionemu, ale charakterem wyraźnie odbiegającemu od tego, czego oczekiwali. Wyglądał zupełnie jak wyjęty z czasów PRL-u i wciśnięty przez pomyłkę w otaczający krajobraz.

– Czy to jest ten pięciogwiazdkowy hotel, Adam? – Głos Julki brzmiał znajomą już pogardą.

– Nie jestem pewien. Chyba jednak skręciliśmy nie w tę drogę, w którą powinniśmy – odparł spokojnym tonem w nadziei, że Julka zrozumie aluzję. W końcu to ona nalegała, żeby skręcili.

– Ale chyba już nie będziemy zawracali? – Kamila chlipała z tyłu.

– Cicho, nie becz, Kama – uspokajał ją brat.

– Nie wiem, co zrobić. – Julka wyciągała szyję, by dokładnie przyjrzeć się budynkowi, kiedy ujrzeli stojącą przy jej drzwiach kobietę. – A ta skąd się tu wzięła? – Westchnęła, otworzyła drzwi i wysiadła.

– Witajcie! Nie spodziewaliśmy się niezapowiedzianych gości dzisiejszego dnia, ale jesteście zaszczytzeni waszą wizytą. Pewnie pomyliliście zjazdy?

– Tak sądzę. – Głos jego żony brzmiał chłodno.

– To nie szkodzi. Znajdziemy dla was miejsce.

Kobieta pochyliła się i zajrzała do środka, posyłając wszystkim promienny uśmiech. Adam poczuł bijące od niej ciepło i natychmiast spojrzął na żonę. Spłynęło na niego coś przyjemnego, nagle przepełniła go atmosfera świąt. Cynamonowe jabłka, korzenny zapach pierników i drżący w kominku ogień stanęły mu przed oczami. Odwrócił się, by spojrzeć na dzieci. One również wydawały się spokojniejsze i pogodne.

– Wejdźcie do środka. W taką zamieć nie pojedziecie przecież dalej. Zjecie coś, ogrzejecie się, a kiedy się nieco przejaśni, ruszycie do celu waszej podróży. A on zdaje się być bliżej, niż sądzicie. Wystarczy tylko odrobina dobrej woli...

Julia pochyliła się, sięgnęła po swoją komórkę i wcisnęła ją w tylną kieszeń dzinsów.

– Chodźcie, dzieci. Wejdziemy do środka. Adam, weźmiesz podręczny bagaż?

– Przyślę po bagaż brata. Nie kłopotcie się tym. O, o wilku mowa. – Kobieta klasnęła w dłonie.

Adam nie mógł oderwać od niej wzroku. Wydawała się taka pogodna, taka... dobra. Spojrzał w kierunku drzwi, od których zmierzał postawny, wysoki mężczyzna. Był do niej bardzo podobny. Smukły, z jasnymi, opadającymi za uszy falującymi włosami. Spojrzał na Adama przelotnie, ale to wystarczyło, by zauważył on w jego oczach siłę i zdecydowanie. Przełknął ślinę i pospiesznie wysiadł z samochodu.

Wewnątrz pensjonatu panowała świąteczna atmosfera. Przystrojona złotem choinka puszyła się niczym paw w rogu bawialni, a ciepło dobiegające z kominka rozpląywało się leniwym szalem i otulało ich delikatnie. Reszty dopełniał zapach. Adam czuł cynamon. Subtelna woń goździków i słodkiej skórki pomarańczy wdzierала się do nosa, muskając zmysły wrażeniem niczym niezmaconego spokoju i spełnienia.

– Przygotujemy wam coś do zjedzenia. Może szarlotkę z cynamonem? Albo ciepły kompot z jabłek z goździkami i pierożki? – zapytała kobieta.

– Poproszę – odparł błyskawicznie.

– Ja również – odrzekła zaraz po nim Julia.

Spojrzał na swoją żonę. Wydawała się taka spokojna i chyba nieco zdezorientowana, co było do niej niepodobne.

– Mam na imię Ewa i jestem właścicielką tego pensjonatu. – Kobieta wyciągnęła do Adama dłoń.

Potem zwróciła się do Julii.

– To są Kamila i Cyryl. Rzeczywiście zjechaliśmy z drogi, bo złapała nas po drodze burza. Mam nadzieję, że nie sprawiamy pani kłopotu. – Głos jego żony znowu brzmiał mocno i pewnie. – Kiedy tylko przestanie padać, wyruszymy do naszego hotelu.

– To rozumiacie. Proszę, rozgoście się. Ja pójde poprosić kucharza o przygotowanie dla was posiłku. A wy, dzieciaki? Co macie ochotę zjeść? Za chwilę pojawią się u nas kolejni goście. Mama z synkiem. Mam nadzieję, że zajmiecie się maluchem. Jestem pewna, że znajdziecie wspólny język.

Mówiła, oddalając się, a w ślad za nią podążali Kamila i Cyryl.

Julia podeszła do okna i przyglądała się białej ścianie śniegu. Wokół nich panowała przyjemna cisza. Mącił ją jedynie dźwięk szeleszczącego w kominku ognia. Adam usiadł przy niedużym stoliku i patrzył w ślad za żoną. Był wyczerpany. Stres wywołany podróżą i nagłą burzą zmącił jego spokój. Po chwili w drzwiach stanęła kobieta w średnim wieku, niosąc na dużej tacy parujące talerze.

– Dzień dobry. Jestem Matylda. Przyniosłam posiłek dla państwa.

– A nasze dzieci? Trzeba zawołać dzieci. – Julia gwałtownie odwróciła się od okna, gotowa ruszyć w poszukiwaniu dzieciaków.

– Nie ma takiej potrzeby. Jedzą już w jadalni. A może chcą państwo przenieść się do nich?

– Nie! – Własna determinacja zaskoczyła jego samego. – Nie ma takiej konieczności. Tu jest wystarczająco przyjemnie. Zjemy tutaj. – Uśmiechnął się do kelnerki i spojrzał na zaskoczoną Julkę, szukając u niej aprobaty.

– Oczywiście. Możemy zjeść tutaj. Dziękujemy.

Kelnerka wyszła, a ich znowu otuliła cisza. Jedli bez słowa, wpatrując się w swoje talerze.

– Bardzo smaczne te pierożki – zaryzykował.

– Rzeczywiście. Dawno takich nie jadłam. Twoja mama robiła całkiem dobre pierożki. Trzeba będzie ją poprosić, może przygotowałyby je znowu.

– Niezły pomysł.

– Pusto tu trochę, jak na czas tuż przed świętami. – Julia w końcu rozejrzała się wokół.

– A to dlatego, że nasi goście po posiłku udali się do swoich pokoi, pani Julio. – Ewa stanęła w drzwiach. Dłonie trzymała splecione przed sobą. Podeszła do okna i wpatrywała się we wciąż chmurne niebo. – Poważna burza, chyba spędzą państwo u nas więcej czasu, niż sądziłam. Tu zwykle pierożki nie wystarczą. – Uśmiechnęła się czarująco.

– Ale są wyborne. – Adam pospieszył z wyrażeniem uznania wobec spożywanego posiłku.

– Tak. Są wyborne. Nasz kucharz wkłada w ich przygotowanie wiele serca. Może zaproponuję państwu pokój, na wypadek gdyby zechcieli państwo odpocząć po posiłku?

– Może to nie będzie konieczne. Wstrzymajmy się jeszcze z tą decyzją. – Julia podniosła się, otarła usta i podeszła do okna.

Adam zaś podparł brodę na splecionych palcach dłoni i przyglądał się swojej żonie. Dawno nie panowała między nimi taka cisza. Do tej pory różnice w ich podejściu do życia aż skrzyły. Każde spędzane razem święta, okazywały się niemal maratonem, po którym wracali do domu bardzo zmęczeni. Te święta zapowiadały się inaczej. Coś w nim drgnęło. Widok jej drobnej sylwetki, zadartej ku niebu głowy i opadających nisko na plecy blond włosów obudził w nim wspomnienia tych chwil, które pogrzebał głęboko, nie chcąc się katować pamięcią tego, co dawno umarło.

Ewa obejrzała się w jego stronę i ledwo zauważalnie uśmiechnęła.

– Czym się pani zajmuje, pani Julio? – Zwróciła się twarzą do okna.

– Jestem menedżerem w koncernie spożywczym.

– To poważna funkcja. Pewnie ma pani niewiele czasu dla bliskich?

Julia prychnęła i utkwiała wzrok w zasypanym śniegiem aucie.

– Niewiele.

– To szkoda. Widać, że pani dzieci potrzebują pani ciepła. Pięknie o pani opowiadały mojemu bratu. Kochają panią.

– Ja też je kocham, ale muszę pracować. Co zrobić, bycie matką to dodatkowy etat, a ja pracuję po kilkanaście godzin. Nie zawsze mam siłę...

– Kosztem swoich bliskich. A to oni pani potrzebują. Kobieta jest ogniskiem domowym, to wokół niej skupiają się domownicy, ogrzewają się od jej ciepła. Pani jest miłością, ciepłem i przyszłością domu. Czy nie sądzi pani, że to od pani pochodzą emocje, jakimi żyje jej rodzina?

– Co pani ma na myśli?

– To trudne zadanie. Chce pani miłości? Proszę nią obdarzać. Oczekuje pani szacunku? Proszę go okazać. To od kobiety zależą nastroje, ona nimi dzieli, uczy ich.

Julka prychnęła, patrząc w oczy Ewy. Ta jednak, niezrażona jej postawą, uniosła brodę nieco wyżej, wciąż uśmiechając się serdecznie i ciepło. W końcu obie spojrzały w niebo.

– Proszę o tym pomyśleć. Ja robię to bez przerwy, ale czasu nie uda się cofnąć, choćbym nie wiem jak bardzo tego chciała – szepnęła Ewa, opuszczając ramiona i chowając dłonie pomiędzy fałdami opływającej jej biodra spódnicy. Adam wychylił się lekko, skupiony nad powagą malującą się na twarzach kobiet. Z tej jednak odległości nie mógł dostrzec niczego. Ramiona właścicielki pensjonatu drgnęły dźwignięte ciężkim westchnieniem.

– Proszę spojrzeć, przejaśnia się – rozpromieniła się Julia.

– Każde chmury kiedyś się rozpierchną, moja droga. Zostawię was.

Julia odprowadziła właścicielkę wzrokiem i otuliła ramiona dłońmi, a słysząc poruszenie za plecami, odwróciła się i ujrzała męża pochylającego się nad kominkiem. Kiedy za nim stanęła i wyciągnęła dłonie, chcąc się ogrzać, buchnęło w nią przyjemne ciepło. Nie widział jej. Właściwie nawet nie słyszał, kiedy podchodziła, dlatego podnosząc się z klęczek, drgnął, gdy poczuł jej dłonie na swoich ramionach, a potem plecach. Zaskoczony obrócił się i napotkał jej wzrok. Trzymała na jego piersiach drżące dłonie, a jej usta zdawały się szeptać. Był zdezorientowany i nie potrafił tego ukryć. Upłynęło tyle czasu...

– Może pójdziemy na spacer? – rzuciła pospiesznie i nie bacząc na niepokorną aurę, ruszyła w stronę drzwi.

Sięgnął swoją kurtkę i wyszedł za Julią. Przelotnie zobaczył ich dzieci siedzące z jakimś maluchem przy długim stole. Grały, chyba w warcaby. Uspokojony przyspieszył kroku. Po drodze zauważył jeszcze właścicielkę pensjonatu rozmawiającą z jakąś kobietą. Wyglądała na zatroskaną. Przemknęło mu przez myśl, że potrafiła wywierać zbawienny wpływ na ludzi. Na zewnątrz się przejaśniło, choć zasmucona kobieta wydawała się tego nie widzieć.

Adam powiódł wzrokiem w poszukiwaniu żony i pospiesznie wyszedł za

drzwi. Mróz natychmiast zaszczypał go w policzki. Adam postawił kołnierz kurtki i rozejrzał się w poszukiwaniu Julki. Dostrzegł jej zielony płaszcz niedaleko przed sobą, a promienie wychylającego się zza chmur słońca opadały na nią świetlistym ciepłem. Podbiegł, chcąc się z nią zrównać.

– Popatrz, jak tu pięknie. Miałbyś co malować – powiedziała i obrzuciła go zawstydzonym spojrzeniem.

– Julia, co się z nami stało?

Wsunęła dłoń w jego rękę i przywarła do ramienia całym ciałem.

– Nie wiem, Adam. Naprawdę nie wiem. Ale mam tego dość. Jesteśmy tu tak krótko.

Spojrzał na zegarek. Mógłby przysiąc, że minęło kilka godzin, odkąd zatrzymali się przed pensjonatem, jednak jego zegarek wskazywał coś zupełnie innego.

– Jesteśmy tu tak krótko, a czuję się taka oczyszczona, odprężona. Tak bardzo chciałabym zatrzymać w sobie ten stan. Chciałabym pozbyć się pośpiechu i ciągłego napięcia.

Słuchał jej w skupieniu i pieścił palcami chłodną, drobną dłoń. Tak dawno tego nie robił. Nie pamiętał już dotyku jej skóry, zapachu. Nagle zapragnął pocałować swoją żonę i wydało mu się to tak nieosiągalnym pragnieniem, że bez zastanowienia odsunął je od siebie.

– Adam, pogubiliśmy się gdzieś po drodze.

– Też tak sądzę, Julia. Wiesz co? – Wstrzymał się na chwilę, ważąc słowa, które miał zamiar wypowiedzieć. – Wziąłem małe płótno, może udałoby mi się uchwycić ten pensjonat. Spójrz, jak słońce wydobywa kolor tych świerków wokół niego.

– To całkiem niezły pomysł. A potem powiesimy go w naszym salonie.

– Nad kominkiem. – Skinęła głową. – Ale będziemy musieli zostać tu choć jeden dzień, żebym przynajmniej złapał klimat.

Wstrzymał oddech. Jej postawa była niewiarygodna. Obawiał się, że ulega jakiemuś złudzeniu, a nie chcąc przechodzić ponownie przez rozczarowanie, które zabijało ich uczucie przez kilka ostatnich lat, wolał nie ryzykować.

– Mamy przecież kilka dni. Może zostaniemy w tym pensjonacie? Pierzochki mieli całkiem niezłe. – Pochylił się pchany palącą potrzebą przypomnienia sobie smaku jej ust.

– Czy naprawdę tego chcesz, Julio? Jeśli masz jakieś wątpliwości, może lepiej nie ryzykować. Nie dam rady ponownie przechodzić przez ten koszmar.

– Ja też nie. Ale nie chcę już tak żyć. Mamy dzieci, jesteśmy rodziną. Trzeba to tylko jakoś poskładać. W końcu to nasz największy dorobek...

Drzwi do pensjonatu otworzyły się, a w ich świetle stanęli Kamila i Cyryl. Za nimi zaś pojawiła się uśmiechnięta Ewa.

– Kochani! – krzyknęła. – Podano do stołu! Wszyscy na was czekamy!

Ujął mocniej dłoń żony i uskrzydłony nadzieją ruszył z powrotem do pensjonatu.

ANNA KASIUK

Zwierciadło

Młoda kobieta stała przy oknie, wpatrując się w padający śnieg. Ten widok ją uspokajał. Białe płatki leniwie opadały na pokrytą już grubą warstwą białego puchu ziemię. Świat nocą wydawał jej się zupełnie inny. Na początku, kiedy została zupełnie sama, bała się nocy. Ale z czasem to minęło i zaczęła odważniej spoglądać przyszłości w oczy, a noc traktowała jak zasłonę oddzielającą ją od całego zła, jakiego dotąd zaznała. Kiedy dodatkowo wszystkie niedoskonałości świata przykrywał biały jak mleko śnieg, Kinga odczuwała coś w rodzaju ulgi, jakby ktoś tam na górze dał jej możliwość spróbowania życia jeszcze raz, bez ciągłego lęku o bezpieczeństwo swoje i swojego syna.

Odetchnęła głęboko, a powietrze pokryło szybę parą, przesłaniając na chwilę widok. Była podekscytowana. Tego dnia zdobyła się na podjęcie swojej pierwszej ważnej decyzji od czasu, kiedy jej mąż postanowił wyrzucić ją z domu z małym dzieckiem. Na samo wspomnienie tamtego mroźnego wieczoru zimne dreszcze przebiegły jej po plecach.

Wtedy też padał śnieg. Pamiętała, jak wsiadła do samochodu, odkręciła ogrzewanie i chlapiąc, ruszyła spod jego domu. Bała się, ale wiedziała, że to była jedna z lepszych decyzji jej męża, jakie podjął podczas trwania ich dwuletniego związku. I chyba nawet nie był pijany, kiedy ją wyrzucił...

Zmarszczyła czoło, starając się przypomnieć sobie, w jakim był stanie, ale to nie było już istotne. Tamtej nocy odzyskała wolność i postanowiła odbudować utracone poczucie bezpieczeństwa. Tak przynajmniej myślała, wracając do rodzinnego domu. Jakże się myliła.

Już następnego ranka jej życie zyskało nowego przewodnika i dyrygenta – jej matkę. Kinga była jednak zrujnowana psychicznie, nie miała siły przeciwstawić się tyranii. Dlatego uległa. Słuchała matki i wykonywała polecenia, które miały służyć dobru jej i synka.

Ale, na szczęście, to też już minęło! Miała serdecznie dość dominacji swojej mamy i towarzyszących jej doradców. Jakże oni wszyscy dobrze wiedzieli, co powinna robić ze swoim życiem, aby w końcu je ułożyć! Kiedy zdobyła się raz na odwagę i zapytała swoją ciotkę Pelagię, skąd ta wie, jak czuje się kobieta, która przez bez mała dwa lata tkwiła w związku z alkoholikiem i damskim bokserem, jej mama aż poczerwieniała na twarzy.

– Kiedy będziesz miała tyle lat, co my, dziecko, będziesz wiedziała wszystko.

– Takie jesteście obie doświadczone, mamo? – zaryzykowała ponownie. – Która z was posmakowała bicia, poniżania i pijackich awantur?

– Zajmij się lepiej dzieckiem. Na spacer wyjdź z moim wnuczkiem, a nie dyskutujesz!

To był ostatni raz, kiedy przełknęła gulę upokorzenia. Oczywiście długo się zastanawiała, jak powinna zakończyć tę toksyczną zależność, bo nie miała wątpliwości, że wracając do domu, wpadła poniekąd z deszczu pod rynnę. Tylko... brakowało jej odwagi, bo przyzwyczaiła się do konieczności podporządkowania dyktaturze matki i chyba zaczynała wierzyć, że sama nie jest w stanie przebrnąć przez swoje życie.

Otuliła ramiona dłońmi i odchyliła lekko głowę, nasłuchując. Jej syn, Zbyś, spał. Odepchnęła od siebie złe wspomnienia i oparła się o ścianę. Nieśmiały uśmiech rozświetlił jej twarz. To były już tylko wspomnienia. Powiodła wzrokiem po niewielkim, tonącym w bieli ogródku, zawiesiła na chwilę spojrzenie na świątecznych lampkach chybotających się tuż przy podbitce dachu, a w końcu, czując ogarniający ją przyjemny świąteczny nastrój, obróciła się do tyłu, by przyjrzeć się zatopionej w mroku kuchni i niewielkiemu salonowi.

Wszystko, co miała, zawdzięczała sobie. Swojej ciężkiej pracy i determinacji, z jaką odkładała każdy grosz, nie mówiąc o tym mężowi. Bo kiedy w końcu zaczęła się dusić w domu mamy, kupiła małą działkę ze starym domem, odnowiła go i przeprowadziła się. To był najszcześniejszy dzień w nowo odzyskanym życiu. Jej ramiona zdrząły pod wpływem śmiechu. Przypomniała sobie bowiem wyraz zaskoczenia na twarzy mamy, kiedy powiedziała, że kupiła dom i zamierza się do niego przeprowadzić. W końcu gotowa była stawić czoło swojemu życiu.

Teraz musiała wykonać kolejny krok. Znalazła ostatnio w swojej skrzynce ulotkę informującą o możliwości spędzenia świąt w pięknym górskim pensjonacie. Tak! Pomyślała, że to wspaniały pomysł – móc spędzić święta, tylko ze Zbysiem, z dala od mamy, doradców i tych wszystkich ludzi, którzy pojawiali się podczas świąt w jej domu. Wystarczyło tylko zadzwonić i powiedzieć jej o wyjeździe. Uśmiech znikł z twarzy Kingi, a na samą myśl o narzekaniu i niezadowoleniu poczuła zimno spowijające jej ramiona. Sięgnęła jednak po telefon i wybrała jej

numer.

– Dobry wieczór, mamó. Jak się masz?

– Co tak cicho mówisz? Zbyszek już śpi?

– Mamó, jest dwudziesta trzecia. Zbys ma sześć lat. Już dawno śpi. Słuchaj, dzwonię, bo muszę ci coś powiedzieć. Jutro wyjeżdżamy ze Zbysiem w góry. Chcę spędzić tylko z nim trochę czasu. Odpocząć.

– A czym ty jesteś taka zmęczona? Święta spędza się w domu, z najbliższymi. Jak to tak, wyjedziesz? A ja mam w Wigilię być sama? – Kinga przyłożyła czoło do zimnej szyby i ciężko westchnęła.

– Nigdy nie spędzasz świąt sama. Twój dom jest zawsze pełen ludzi. Nie zauważyś nawet, że nie będzie nas przy tobie.

– To może choć Zbyszka zostaw? Po co będziesz dzieciaka ciągnęła taki szmat drogi w zimę? Ty wiesz, jak ślisko jest w górach? Czy zdajesz sobie sprawę z tego, jaka to będzie niebezpieczna podróż?

– Zdaję sobie sprawę, mamó. I zamierzam spędzić te święta właśnie tak, jak ci powiedziałam. Poza tym nie trzeba wyjeżdżać, żeby stało się coś złego. Można się potknąć, wychodząc z wanny, i po wszystkim.

– Twoje decyzje naprawdę cię kiedyś zgubią. A mojego wnuka...

– To jest mój syn, mamó. Mój. Kończę, to był męczący dzień. A jutro czeka nas długa droga, muszę się przespać. Chciałam ci tylko powiedzieć o moich planach, żebyś się nie martwiła.

– Będę się martwiła.

– Dobranoc, mamó. Będę dzwonić.

Wyjechali bardzo wcześnie. Zbys, podekscytowany, pospiesznie się ubrał, zjadł bułkę z masłem i zajął swoje miejsce w samochodzie. Kiedy jednak ruszyli, natychmiast usnął. Kinga doznała przyjemnego mrowienia w żołądku. Choć odczuwała również lęk i kilkakrotnie przeszło jej przez myśl, że może ta decyzja wcale nie była słuszna, a nawet że jej podjęcie dyktowane było chęcią pokazania mamie – i całemu sztabowi jej doradców od układania Kindze życia – że potrafi zadbać o swojego syna nie gorzej niż oni. Zaraz jednak przezornie przywoływała kilka przykrych wspomnień, które zachowała gdzieś na dnie swojej duszy, i strząsała z siebie wątpliwości.

Rzuciła okiem we wsteczne lustro i uspokojona widokiem syna wpisała do nawigacji adres pensjonatu podany na ulotce. Przypomniała sobie uprzejmy głos jego właścicielki i przyspieszyła.

Krajobraz za oknem zmieniał się powoli. Pola, ścielące się płasko po obu stronach czarnej ulicy, zaledwie upstrzone sterczącymi, nagimi kikutami drzew, z czasem wybrzuszały się i puchły. Nawet śnieg nie był w stanie ukryć coraz bardziej wyostrajających się rysów zmieniającego się krajobrazu. Fascynacja Kingi tak nagłymi zmianami budziła w niej zachwyty. Nie miało znaczenia, że widziała to

już wcześniej, tym razem było inaczej. Tym razem zdobyła się na postawienie samodzielnego kroku bez towarzystwa osób, które wysysały jej energię życiową – i to ją uskrzydlało. Słońce, niczym szczodra dama, obrzucało ziemię swoimi promieniami, klując przy tym w oczy. Kinga wsunęła na nos ciemne okulary i delektowała się widokiem jaskrawego i surowego krajobrazu.

W końcu jej oczom ukazały się niepokornie tnące niebo szczyty, na chwilę ogarnął ją niepokój, co spotęgowały chmury pokrywające niebo. Kinga zerknęła w lusterko. Zbyś obudził się i zajadał kukurydzianego chrupka, również zadzierając głowę i patrząc w niebo.

– Chyba będzie padało – powiedziała w nadziei, że uspokoi tym syna.

Zbyś skinął pospiesznie głową i osunął się w foteliku. Nie lubił, kiedy padało.

Czarna ulica, przecięta jedynie wzdłuż jasnym pasem, zakręcała coraz częściej, uniemożliwiając Kindze przyspieszenie. Spojrzała na nawigację. Zgodnie ze wskazówkami właśnie powinna zjechać w prawo. Rozejrzała się zatem wokół. Jej oczom ukazała się pokryta śniegiem raczej polna droga niż ulica, którą spodziewała się dalej podążać. Zatrzymała samochód, ale ciemniejące niebo nie dawało zbyt wiele czasu na podjęcie decyzji. Zanosilo się na poważną burzę. Zimne dreszcze wspięły się po plecach Kingi, gardło zaś ścisnął strach. „Powinnam była zostać w domu” – pomyślała. Po chwili jednak zjechała z ulicy w białą, zamykającą się za nią otchłań.

– O Jezuniu... – jęknęła.

W tym też momencie z nieba zaczął sypać śnieg. Drobne płatki wirowały w powietrzu niczym sztywne tutaj baletnicy.

– Mamo, boję się. – Głos dziecka dobiegający z tylnego fotela bardzo ją przestraszył.

– Cichutko, Zbysiu, mamusia panuje nad sytuacją.

Wcale nie panowała. Wręcz przeciwnie, bała się coraz bardziej i coraz częściej myślała o ciepłym kocu w swoim domu, o ogniu palącym się w kominku. Tak bardzo żałowała, że podjęła decyzję o wyjeździe. Rzuciła przelęknione spojrzenie na telefon, ale jej nawigacja również oszalała. Zupełnie jak ona, wywożąc dziecko z ciepłego domu w góry, do nieznanego pensjonatu. Kinga uderzyła palcem w ekran telefonu, ale to nie pomogło. Nawigacja nie pokazywała zupełnie nic, co wprawiło ją w jeszcze większą panikę, podczas gdy śnieg zaczynał sypać tak, jakby ktoś nad ich samochodem rozciął worek, postanawiając zasypać czerwonego intruza sunącego powoli polną drogą.

Wycieraczki auta pracowały szybko i miarowo. Raz, dwa, raz, dwa. Kinga, sapała ciężko i odliczała w myślach w krok za nimi, widząc jednak wierzące się syna, skupiła się na nim i zaczęła śpiewać. Jechała powoli, kurczowo ściskając kierownicę, aż w końcu jej oczom ukazał się najpierw dym unoszący się nad

kolejnym już mijanym wzgórzem, a potem spadzisty dach pensjonatu. Głośno wypuściła powietrze i wskazała palcem budynek.

– Zbysiu, patrz! Mówiłam? Mamusia już nad wszystkim panuje, udało nam się.

Opady jakby zelżały, wiatr szamoczący samochodem ustał, a ze sterczącego wysoko komina płynął w niebo tylko wąski strumień białego dymu.

Wysiedli z auta, zostawiając swoje rzeczy w środku, i pospiesznie ruszyli do drzwi. Budynek zdawał się rosnać, w miarę jak zbliżali się do niego. Zbyszek, przestraszony, chwycił mamę za rękę i pozostając nieco w tyle, wspinał się po stopniach. Kinga pchnęła ciężkie drzwi. Za ladą recepcji ustawionej pośrodku obszernego holu ujrzała kobietę o zaskakującej urodzie.

– Witajcie. – Pochyliła głowę na bok i obdarowała przybyszów ciepłym uśmiechem. Piękne pukle jej jasnych włosów opadły na szczupłe, połyskujące nieskazitelną bladością ramię wysuwające się spod ciepłego czerwonego swetra. – Zapraszam do środka. – Podeszła do nich i ponagliła szerokim gestem. – Gabrielu, bądź tak dobry i zabierz bagaże naszych gości.

Tuż obok niej wyrósł równie piękny mężczyzna. Rysy jego twarzy do złudzenia przypominały twarz kobiety, były zaledwie odrobinę ostrzejsze. Błękitne oczy, kształtne brwi i to samo ciepłe spojrzenie zupełnie pozbawiły Kingę wątpliwości, jakoby trafiła nie w to miejsce, do którego zmierzała. Mężczyzna minął ich w drzwiach i skierował się do samochodu. Kindze wydało się, że sunął kilka centymetrów nad ziemią, jego ruchy zdawały się płynne, zupełnie, jakby jego stopy przemierzały po niewidzialnym gołym okiem podłożu hojnie obsypanym śniegiem.

– Witajcie w naszym pensjonacie. Nazywam się Ewa, a to mój brat Gabriel.

– Moja pani w przedszkolu ma na imię Ewa! – zauważył pospiesznie Zbyś, uśmiechając się szeroko do właścicielki. Oswobodził się z uścisku mamy i podszedł do recepcjonistki pewnym krokiem, zadzierając przy tym głowę i spoglądając jej ufnie w oczy.

Właścicielka roześmiała się szeroko, odrzucając głowę do tyłu, pochyliła się i podniosła malucha. Była drobną kobietą, jednak Zbyś w jej ramionach zdawał się lekki jak piórko.

– Kocham dzieci, wiesz? – Poglaskała go po mysich włoskach i powiodła palcem po jego policzku. – Jesteście takie niewinne, jak boski dar, jaki zesłano na ziemię. Wiesz, Zbyszku, że są tu u nas inne dzieciaki? Przyjechały zaledwie kilka godzin przed wami! Jest chłopiec, który ma na imię Cyryl, i dziewczynka o imieniu Kamila. Jestem pewna, że będziecie się razem doskonale bawili, mimo że dzieci są od ciebie trochę starsze. Chodźcie, pokażę wam wasz pokój.

Ściskając Zbyszka w objęciach, ruszyła przed siebie lekkim krokiem. Wskazała pokój, postawiła małego na podłodze i zniknęła za załamaniem schodów

prowadzących na dół.

– Mamo, ja chcę iść na dół. Chcę zobaczyć tamte dzieci i Ewę.

– Ewę? Polubiłeś ją tak szybko?

– Uhm. – Zbyś skinął głową. Było to dla niego czymś absolutnie naturalnym.

Kinga zaś nie potrafiła ukryć zaskoczenia. Zbyszek był raczej ostrożny w reakcjach z innymi ludźmi, a już z pewnością jeśli chodziło o dorosłych.

– Dobrze. Rozpakujmy się tylko i zejdziemy na dół. Zjemy coś i będziesz mógł się pobawić z tamtymi dziećmi.

Pogłaskała go, podchodząc do okna.

– Ojej... – westchnęła, podziwiając ścielący się u stóp pensjonatu widok. Jego budynek stał na niewielkim wzniesieniu, zewsząd otoczony głębokim lasem. „Pewnie dlatego moja nawigacja pokazywała tylko białą plamę” – pomyślała Kinga. Wysokie świerki stały niewzruszone, dumnie unosząc pokryte białym płaszczem ramiona ku niebu. Widok potęgi natury, ścielącego się gładką pierzyną śniegu stykającego się z błękitem nieba na poszarpanym widoku góhoryzoncie odsuwał Kingę od wszystkiego, czym dotąd żyła. Powoli przestawała skupiać się nad byłym mężem alkoholikiem, mamą próbującą ułożyć jej życie tak, by spełnić swoje pogrzebane przed laty ambicje. Liczyły się: ta chwila, ten widok i jej syn.

Uśmiechnięta do zmiany następującej pod wpływem oszałamiającego ją, napawającego pokorą widoku wyszła z pokoju. Nie wiedziała skąd, ale nagle wyrosła przed nią Ewa. Tuż za nią stał jej brat Gabriel. Ciepłe spojrzenie mężczyzny dodawało otuchy, podobnie jak serdeczny, może trochę intrygujący uśmiech jego siostry.

– Pewnie jesteście głodni? – zapytała właścicielka pensjonatu. – Chodźcie, poznacie Franka, naszego kucharza, i Matyldę.

Zeszli na dół do jasnej jadalni. Pośrodku sali stał długi, okryty białym obrusem stół z równo podsuniętymi krzesłami. Był pusty. Wokół niego zaś stało kilka mniejszych stolików. Wszystkie okryte równie jasnymi obrusami, i to przy nich siedzieli goście pensjonatu.

– Czy w waszym pensjonacie bywa aż tylu gości, by zajmowali ten duży stół? – zapytała zaciekawiona Kinga, na co właścicielka roześmiała się melodyjnie.

– Zasiadanie przy tym stole nie zależy od liczby gości, Kingo. Zresztą przekonasz się o tym. Tymczasem usiądźcie tu. Matylda poda wam posiłek. Na co macie ochotę? – zapytała, a wtedy tuż obok stanęła niska, krępa kobieta obdarzająca gości troskliwym spojrzeniem. Jednak na jej twarzy nie dało się już zauważyć tego samego blasku, którym lśniły twarze Ewy i Gabriela. Upływający czas zaznaczył ją siatką przecinających się zmarszczek wokół oczu, a głęboka bruzda na czole podkreślała silne przeżycia, których Matylda z pewnością doznała w życiu. Tak myślała Kinga, patrząc na kelnerkę. Właścicielka uśmiechnęła się do niej, wpatrując się przy tym w twarze jej i Zbysia z niesłabnącym zaciekawieniem.

– Macie szczęście! – Matylda przyklasnęła. – Franek przygotował dziś na obiad dokładnie to, na co macie ochotę. – Po czym wyszła.

– Co was do nas sprowadza, Kingo? – zapytała właścicielka, przysiadając przy stoliku. Jej spojrzenie nabrało głębszego wyrazu, a twarz złagodniała jeszcze bardziej.

– Chcę spędzić czas tylko z moim synem. Przeszliśmy... – Kinga prychnęła na wspomnienie niezadowolonej matki. – A właściwie wciąż przechodzimy trudny dla nas okres i potrzebujemy odpocząć. Dlatego postanowiłam spędzić święta z dala od domu i otaczających mnie na co dzień ludzi.

– To dobra decyzja. Sama czasem zastanawiam się, jak by to było, gdybym mogła wyrwać się stąd, z tego pensjonatu, z małego świata, w którym zamknęliśmy się z Gabrielem. Czasami potrzeba wyrwać się, zrobić coś zupełnie innego, niż oczekują od ciebie inni, nawet najbliżsi, by odbudować w sobie poczucie harmonii. A tego chyba potrzebujesz?

– Tak, właśnie tak. Po obiedzie pójde z Zbyszkiem na spacer, z naszych okien rozpościera się niesamowity widok.

– Podoba ci się? Potrafi odwrócić spojrzenie od trosk, które cię przepelniają, prawda?

– Tak. Czułam się taka mała wobec potęgi natury, a zarazem silna i odważna, by stawić czoło przeszłości. Szkoda, że to tylko taki chwilowy stan.

– Wcale nie musi tak być. Wszystko zależy od ciebie. Musisz znaleźć tylko wyjście z tego, jak to nazwałaś, trudnego okresu, jaki przechodzicie. Masz Zbysia. – Spojrzała na małego, huśtającego zamasyżycie nogami w powietrzu. – Musisz tylko znaleźć odwagę, by zmienić dla niego swoje życie. Chcesz zjeść z innymi dziećmi, Zbyszku?

Mały zdecydowanie skinął głową.

– Ale... – Kinga próbowała oponować.

– Daj spokój, jemu tutaj nic nie zagraża. Śmiało może iść do innych najmłodszych gości. Gabriel go zaprowadzi i dopilnuje, by zjadł obiad. Mój brat jest wobec dzieci niczym anioł. – Roześmiała się ponownie, podczas gdy Gabriel już ujął dłoń Zbyszka i wyprowadził go do sąsiedniego pokoju.

Kinga podniosła się i przezornie ruszyła za synem, widząc jednak, jak zasiada on przy stole z innymi, nieco starszymi, dziećmi, uspokoiła się i podeszła do okna w jadalni.

– Za oknem szaleje zawierucha, nie wyjdziecie dziś na spacer. Musimy poczekać, aż przejdzie.

To, co ujrzała Kinga, zaskoczyło ją zupełnie. Chwilę temu, kiedy wyglądała przez okno w ich pokoju, niebo było błękitne, nie wskazywało nawet na zbliżającą się zamieć. A teraz? Śnieg zataczał okręgi, tworząc niewielkie lejki i rozbijając się z impetem o ich stojący na zewnątrz samochód bądź o szybę okna, w którym stały

obydwie.

– Przeróżające, prawda?

Kinga otuliła ramiona dłońmi. Nie czuła zagrożenia. Była dziwnie przekonana, że pensjonat jest ostoją bezpieczeństwa.

– To tak jak w życiu. Każda burza kiedyś przejdzie, Kingo. Każda. Trzeba tylko wiary, że w końcu nastanie spokój i zaświeci słońce. – Właścicielka zadarła głowę, a Kingo wydało się, że przez jej twarz przemknął cień wątplenia. Jej rysy zastygły w oczekiwaniu. Po chwili jednak znowu wpatrywała się z ekscytacją w szare, skryte za skłębionymi chmurami niebo. Zupełnie, jakby skrywała w sercu jakieś ogromne pragnienia. Gdzieś pomiędzy chmurami zaczęły przedzierać się prześwity błękitu. Czystego, pięknego, niczym oczy jej i brata. – Za każdym razem, kiedy stracisz nadzieję, patrz w niebo. Ono jest niczym zwierciadło. To tam dopatruj się otuchy i wskazówek – rzekła w końcu z zadumą w głosie.

Kinga uniosła spojrzenie w niebo, próbując siłą woli przegnać piętrzące się chmury. Gdzieś w środku rosło w niej przekonanie, że jest silna... Na tyle silna, by stawić czoło przeciwnościom. Delikatne dłonie właścicielki pensjonatu spoczęły na jej ramionach, podrywając ją swym chłodem.

– Tak, Kingo, masz w sobie wystarczająco dużo siły, żeby się podnieść i strząsnąć ze swoich ramion tych, którzy ciągną cię w dół. Ty masz tę siłę w sobie. – Położyła jej dłoń na brzuchu.

Ewa mogłaby przysiąc, że poczuła nagłą eksplozję potężnej miłości i wiary. W tej chwili były mąż, będący dotąd jej prześladowcą, pod którego wzrokiem kulila się w ciemnych kątach jego domu, wydał się karykaturalnie małym, nieszczęśliwym człowiekiem. Uwięzionym pomiędzy przerastającym go pragnieniem utopienia swoich lęków i wciąż nowych porażek w alkoholu a słabo się tłącą potrzebą bycia mężczyzną, ojcem i mężem. Nagle Kinga poczuła żal i współczucie dla tego człowieka.

A jej matka? Pomyślała o swojej mamie i gorące łzy żalu popłynęły po jej policzkach. Ona... była taka samotna. Owdowiała w młodym wieku i obarczyła winą za swoją stratę wszystkich wokół. Życie przemknęło jej między palcami, bo nie miała odwagi postąpić kroku do przodu, by zrobić coś, cokolwiek, co pozwoliłoby jej spełnić swoje marzenia. Nie uczyniła tego, bo bała się porażki. A teraz żal za tym, co bezpowrotnie utraciła, wypalał się tęsknotą za życiem, które przegrała...

Kinga przykryła usta dłonią i rozplakała się cicho. Odwróciła się, by spojrzeć na właścicielkę pensjonatu, i wtedy ujrzała ich wszystkich – Gabriela, Matyldę, Franka i pozostałych gości. Siedzieli przy dużym stole suto zastawionym ciepłymi potrawami. A wśród nich znajdował się jej mały Zbyś, uśmiechnięty i szczęśliwy. Dawno nie widziała go tak pogodnego. Kątem oka ujrzała, jak spomiędzy chmur wychyla się nieśmiało słońce, obdarowując okolicę niepowtarzalnym blaskiem,

skrząc się w zastygłych mrozem soplach lodu i połyskując w drżących niczym dusza Kingi kropkach wody kapiącej z dziurawej rynny. Czując przepełniające ją szczęście, spojrzała w twarz właścicielki pensjonatu. Wystarczyło tak niewiele, by odnaleźć drogę ucieczki od ciężących jej wspomnień.

Poderwała się na łóżku. Usiadła wyprostowana i natychmiast uniosła twarz, by spojrzeć w okno. Śnieg sypał mocno, a jego zimne płatki zderzały się z szybą okna. Słabe światło podrygujących na wietrze lampek wpadało do sypialni Kingi. Ona zaś wstała i podeszła do okna. W jej duszy drżało świeże wspomnienie. Miała taki piękny sen. Optymistyczny, dający nadzieję. Rozcierając ramiona, podeszła do kominka, skrzyżowała stopy i podparła łokcie na kolanach. Wpatrzyła się w podrygujący wesoło ogień.

– Kiedy stracę nadzieję, powinnam patrzeć w niebo. Ono jest zwierciadłem, w którym mam się doszukiwać otuchy i wskazówek – szepnęła. – To był piękny sen...

Podniosła się i wyszła do sąsiedniego pokoju, gdzie spało jej dziecko.

ANNA SZAFRAŃSKA

Mały Książę

Zimno.

Było mi tak zimno.

Uniosłem głowę, ale tylko odrobinę, bo wiatr był zbyt silny. Nie pamiętałem, czy kiedykolwiek widziałem burzę śnieżną. To nie był biały puszek łagodnie opadający na ziemię, którego z godziny na godzinę było coraz więcej, aż w końcu utworzył miękkie zasy. Ten śnieg zacinał i ranił mnie w oczy, lodowaty wiatr szarpał mi skórę, a uszy bolały, jakby miały zaraz odpaść.

Chyba już tu zostanę. Byłem w samym sercu ciemnego lasu i zupełnie nie wiedziałem, jakim cudem się tu znalazłem. Skuliłem się pod drzewem, zakrywając rękami głowę.

Było mi tak zimno...

– A co ty tu robisz, maleńki?

Zasnąłem? Zamrugałem powiekami i powoli podniosłem głowę. Szyja mi zdrętwiała, a całe ciało przeszył okropny ból. Chyba pisałem.

Ktoś się nade mną pochylił i zgarnął śnieg z moich włosów.

– To chyba nie jest najlepsze miejsce na drzemkę, co?

Nie miałem siły odpowiedzieć. Nie widziałem wyraźnie. Wszystkie kształty były dziwnie zamazane, a delikatny głos tego pana dźwięczał mi w uszach. Na ramionach poczułem jego dłonie, które wydały mi się gorące jak dwa węgle. Znowu jęknąłem. Gdybym nie miał gorączki, pewnie bym się zawstydził. Ale ten człowiek jeszcze raz dotknął mojej głowy i jednym ruchem wziął mnie na ręce.

– Zabiorę cię do domu. Tam zajmie się tobą Ewka. Już to widzę! Zbikuje na twoim punkcie.

Pokiwałem głową. I zasnąłem.

Uniosłem odrobinę głowę. Nie poznawałem tego miejsca.

Zmarszczyłem brwi.

Leżałem wśród koców i poduszek na ogromnym łóżku. I było mi tak ciepło.

Obok mnie ugiął się materac, a nade mną pojawiła się twarz pewnej pani. Miała jasne włosy i piękne oczy. I uśmiechała się przyjaźnie.

– Obudziłeś się? Jesteś głodny?

Nie odpowiedziałem. Nie spuszczałem z niej wzroku. Była taka piękna.

– Może prześpisz się jeszcze? Musiałeś długo leżeć na śniegu, bo kiedy Gabriel cię przyniósł, przypominałeś bryłkę lodu. Swoją drogą, co robiłeś na dworze w taką śnieżycę?

Ewa głaskała mnie po głowie wyraźnie zmartwiona.

Jakbym dostawał reprimendę od mamy.

Mama...

Wydobrzeńcie zajęło mi tydzień. Ewa powiedziała, że gdybym spędził jeszcze kilka godzin w lesie, umarłbym. Dlatego, gdy tylko mogłem wstać z łóżka, zaprowadziła mnie do Gabriela, bym mógł mu podziękować.

Dowiedziałem się, że Gabriel i jego siostra Ewa prowadzą pensjonat i że jeśli chcę, to mogę zostać. To dziwne, ale nie pamiętałem, kim jestem, jak się tu znalazłem, ani w ogóle nic z mojej przeszłości. Najbardziej współczuła mi Ewa, która bezustannie tuliła mnie do siebie. Wtedy też nadała mi imię. Maurycy. Skończyło się na tym, że pomagałem Ewie, która pracowała na recepcji. Pilnowałem, żeby pokoje dla gości zawsze były wysprzątane, i oprowadzałem ich po pensjonacie. To była bardzo odpowiedzialna funkcja, więc zazwyczaj pod koniec dnia po prostu padałem na łóżko zmęczony.

Tak, dostałem swój pokój, ale byłem jeszcze za mały, żeby samemu palić w kominku w jadalni, więc zazwyczaj robił to za mnie pan Józef. Właśnie jego najbardziej bałem się na samym początku mojej pracy w pensjonacie. Był strasznym mrukiem, ale bardzo lubił objadać się ciasteczkami, gdy nie widział tego nasz kucharz Franek. Raz, oczywiście niechcący, przyłapałem go na podjadaniu i z miejsca stałem się współnikiem. I tak wieczorami, na godzinę przed kolacją zakradamy się wspólnie do spiżarni, gdzie ukryty jest słoje z ciasteczkami.

Jest jeszcze pani Matylda. Głównie obsługuje gości w naszej restauracji, ale od czasu do czasu pomaga mi posprzątać pokoje. Do pewnych rzeczy jestem po prostu za mały.

Gabriel jest zadowolony z mojej pracy i bezustannie mówi mi, żebym się nie forsował. Sprawdziłem w słowniku języka polskiego, co to znaczy. „Męczyć się nadmiernie intensywnym wysiłkiem”. Swoją drogą, bardzo lubiłem Gabriela. Był mądry i używał słów, których nie rozumiałem, ale bardzo szybko się uczyłem.

Po jakimś czasie pracy w pensjonacie zauważyłem, że tu panuje wieczna zima. Nigdy nie przestaje padać śnieg, nasza żywa choinka nie więdnie (wiem, bo codziennie sprawdzam, czy ma odpowiednią ilość wody), no i nigdzie nie znalazłem kalendarza. Za to cały czas mamy gości. I przychodzi też poczta. Ale nie jakieś rachunki, tylko kartki świąteczne. Jakby Wigilia trwała cały rok. Od czasu do czasu pojawia się też Antek, kuzyn Ewy i Gabriela. Bardzo mnie lubi, bo za każdym razem przynosi mi jakieś łakocie.

No i muszę powiedzieć, że najbardziej lubią mnie dzieci i ich mamy. Zawsze mnie przytulą i poklepią po główce. Ale później odchodzą. Uśmiechają się do siebie, przytulają, a mamy całują swoje dzieci po policzkach, czole, powiekach...

Mama...

Tego wieczoru była wyjątkowo mocna wichura. Nawet Antek, który przyjechał dzień wcześniej, nie odważył się wychylić nosa z domu. Cały czas przesiadywał w kuchni.

Byłem sam w recepcji i szczerze wątpiłem, czy ktokolwiek zapaści się w taką pogodę w sam środek ciemnego lasu. Dlatego na chwilę, na mały momencik, oparłem głowę o blat.

I wtedy otworzyły się drzwi, a do środka wdarł się lodowaty wiatr, który zmierwił mi włosy na głowie.

Przybysz zamknął czym prędzej drzwi, strzepał z siebie śnieg i ściągnął czapkę i rękawice. To była bardzo piękna pani o zielonych oczach i rudych włosach. Uśmiechnąłem się, bo mieliśmy identyczny kolor włosów.

– Halo? Jest tu kto?

Odezwałem się cichutko i gestem zaprosiłem do siebie. Widziałem, jak wytrzeszcza na mnie oczy, ale nic nie mówiła. Było mi trochę przykro, ale musiałem pamiętać, że nie wolno obrażać się na gości. W końcu byłem w pracy.

Zaprowadziłem panią do jej pokoju i pokazałem łazienkę. Kobieta tylko pokiwała głową i nie patrząc mi w oczy, zamknęła za mną drzwi. Chyba mnie nie polubiła...

Tamta pani została w pensjonacie dwa dni. Obserwowałem ją uważnie. Zawsze siedziała sama, jeśli nie musiała, to do nikogo się nie odzywała, a w ogóle to rzadko kiedy wychodziła ze swojego pokoju.

Nawet Ewie było przykro, bo zazwyczaj goście ją lubili, a przede wszystkim lubili z nią rozmawiać.

Tamta pani chyba nie lubiła naszego towarzystwa. I wyjechała.

Minęło kilka dni, miesięcy albo i lat. Nie wiem, bo nie mamy kalendarza.

Tamta pani wracała co jakiś czas. Nie rozmawiała za wiele, bo chyba wolała spokój i ciszę. Ale gdy już się odzywała, jej głos był cichy i spokojny. Pewnego wieczora siedziała w salonie dla gości i czytała książkę. Był to *Mały Książę*. Przysiadłem cichutko na fotelu obok. Musiała mnie zauważyć już wcześniej, bo nie patrząc na mnie, uśmiechnęła się lekko i zaczęła czytać na głos.

– *Tymczasem jesteś dla mnie jakimś chłopcem podobnym do stu tysięcy innych chłopców. I nie jesteś mi potrzebny. Także i ja nie jestem tobie potrzebny. Jestem dla ciebie tylko jakimś lisem podobnym do stu tysięcy innych lisów. Ale jeśli mnie oswoisz, będziemy potrzebowali siebie nawzajem. Staniesz się dla mnie kimś jedynym na świecie*1.

Przerwała czytanie, a ja odrobinę podniosłem głowę.

Patrzyła na mnie znad książki, a jej wzrok był jakiś inny. Miała szkliste oczy, które w świetle ognia przybrały odcień szmaragdu. Nie chciałem, żeby przerywała czytanie, i głośno poprosiłem ją, by kontynuowała, ale już zamknęła książkę. Pochyliła się w fotelu, wyciągając rękę w moim kierunku. To pierwszy raz, gdy chciała mnie pogłaskać. Jej dłonie były chłodne, a dotyk palców kojący.

– Przypominasz mi kogoś – westchnęła cicho.

Już zawsze na nią czekałem. Nasłuchiwałem jej samochodu. Zawsze wracała.

Czasami szybciej, innym razem wydawało mi się, że minęła cała wieczność.

Jednak za każdym razem zatrzymywała się na dwa, trzy dni i wyjeżdżała dopiero, gdy skończyła czytać *Małego Księcia*. Dzięki niej znałem już książkę na pamięć i mimo że sam potrafiłem czytać, nie przyznałem się do tego. Kochałem, gdy czytała mi na głos.

Siedziała w fotelu, a ja tuż obok. Czasami wyciągała rękę tuż nad oparciem i głaskała mnie po włosach. Jej pomarszczone dłonie lekko drgały.

Dzisiaj do czytania włożyła okulary w złotych oprawkach, a niegdyś rude, spływające do ramion włosy związała w srebrny kok. Na ramionach miała wełnianą obszerną chustę, która przypominała koc. I właśnie dzisiaj zamiast fotela wybrała kanapę, na której zmieściliśmy się oboje, a ja mogłem położyć głowę na jej kolanach.

Ale coś było nie tak.

Nie zaczęła czytać.

Po prostu głaskała mnie po włosach.

– Wiesz, Maurycy – zaczęła cicho, drżącym głosem. – Miałam kiedyś synka. Michałka. Zawsze miał problemy z serduszkiem. Pewnego zimowego dnia przed

świętami to serduszko przestało bić.

Zerknąłem na panią smutno. Było mi przykro, że straciła synka. Ja nie miałem mamy.

– Był podobny do ciebie, wiesz? Miał rude włosy i zielone oczka. I też lubił, gdy czytałam mu *Małego Księcia*. Chociaż gdy miał jedenaście lat i potrafił płynnie czytać, wciąż się nie przyznawał, że znał książkę na pamięć. Wtedy też kładł mi głowę na kolanach, tak jak ty teraz. Jesteś jak mój mały synek, Maurycy.

„A ty jak moja mama” – chciałem powiedzieć, ale tylko zamiauczałem.

To był ostatni raz, kiedy widziałem mamę.

1 A. de Saint-Exupéry, *Mały Książę*, Toruń 1998, s. 57.

ANNA SZAFRAŃSKA

Zagubione

*Make my wish come true
All I want for Christmas is you
You baby*

Nienawidziłam tej piosenki.
W ogóle gardziłam świętami.

Święta, oprócz tych wszystkich bzdetów dotyczących narodzin Dzieciątka Jezus, Świętej Rodziny i całego blichtru związanego z prezentami, Wigilią i choinką, powinny być czasem, w którym rodzina zbiera się razem. I razem świętuje. W ogólnej atmosferze miłości i zrozumienia.

Większej ściemy dawno nie słyszałam.

Moja rodzina nigdy takich świąt nie wyprawiała. Ostatnie, podczas których wspólnie ubieraliśmy drzewko, lepiliśmy pierogi, a nawet smażyliśmy karpia, były trzynaście lat temu. Czyli wtedy, kiedy żył tata. Dokładnie nie pamiętam tych czasów, bo miałam zaledwie cztery latka, ale urywki wspomnień pozostały i troskliwie je pielęgnowałam.

Teraz nasza rodzina spędza każde święta w spa albo innym beznadziejnym miejscu, w którym zapomina się o czymś takim jak dwudziesty czwarty grudnia i pozostałe dwa dni Bożego Narodzenia. Ten czerwony kolor w kalendarzu jest całkowicie olewany przez moją rodzinę.

Powiedziałam „rodzinę”? Przepraszam. Mój błąd. Moja rodzina to zlepek dwóch instytucji. Instytucji „mama” i instytucji „Wojtek” – faceta mojej mamy, dla którego odmładza się bez opamiętania. Aktualnie moja rodzicielka Iga powinna mieć (o ile dobrze pamiętam jej datę urodzenia) czterdzieści lat, ale przy wciąż

rozwijającej się chirurgii plastycznej wygląda, jakby dopiero dobijała do trzydziestki. I zachowuje się bardziej jak moja starsza siostra niż matka. Wiecie, ta zła starsza siostra.

Więc teraz, gdy pani Mariah Carey piszczała, zawodząc coś o wspólnych świętach, chciało mi się śmiać. Ale przygryzłam policzek i z nosem utkwionym w iPhone poddawałam dogłębnej analizie Facebooka, gdzie koleżdy i koleżanki ze szkoły prześcigali się w dodawaniu nowych zdjęć przedstawiających ich rozmigotane świąteczne drzewka i wesoło uśmiechnięte rodziny. Zazdrościłam im. I nie bałam się do tego przyznać. Całą sobą im zazdrościłam. Miałam siedemnaście lat, a ani razu od śmierci taty nie doświadczyłam czegoś takiego jak rodzinne święta.

W radiu piosenka się zmieniła, a z głośników w najnowszym bmw Wojtka poleciała jakaś kolęda.

– Mam nadzieję, że zdążymy do hotelu przed szóstą – westchnęła mama, wyciągając z torebki kosmetyczkę. No tak, piła kawę godzinę temu, więc na pewno szminka jej się rozmazała. Moja mama była pedantką, jeśli chodziło o jej wizerunek. I czasami mój.

– Nawigacja pokazuje jeszcze jakąś godzinę, więc jeśli pogoda się nie popsuje, to zdążymy.

Uniosłam wysoko brwi na ten jakże inteligentny komentarz Wojtka i zerknęłam za okno. Odkąd przekroczyliśmy granicę województwa, intensywnie padał śnieg, a ciemny las dookoła przyprawiał mnie o gęsią skórę. Już wolałam dojechać do tego piekielnego hotelu niż spędzić noc na pustej, nieoświetlonej drodze. Z mamą i Wojtkiem. Nic przyjemnego.

W tym samym momencie samochód wpadł w poślizg, jednak Wojtek znakomicie nad nim zapanował.

– Naprawdę ciężko się jedzie.

– Powinni odśnieżyć drogi dojazdowe! To niedopuszczalne, by drogowcy...

– Iga, jest Wigilia. Drogowcy już dawno siedzą w swoich ciepłych domach.

– Bo to twoja wina, że nie mogliśmy wyjechać wcześniej. Mówiłam ci, wyjedźmy jeszcze dzień przed tym cholernym świętem, a ty znowu wywinąłeś się pracą.

– Kończyłem kampanię, Iga. Nie mogłem opuścić biura, wiedząc, że do końca roku już nie wrócę do pracy.

– Jasne, znowu zacznijmy dyskusję na temat tego, że twoja praca jest ważniejsza od mojej.

– Ostatnio ty ją zaczęłaś.

– Najlepiej zwal na mnie.

– Iga, twoja praca polega na tym, że siedzisz w domu, a trzy razy w tygodniu jeździsz skontrolować swoje dwie restauracje. Dla ciebie pracują ludzie i niczym

się nie przejmujesz, a ja dzień w dzień muszę się spowiadać przed prezesem z pracy innych ludzi...

Obserwowałam ich wymianę zdań jak mecz ping-ponga. Widzieliście kiedyś taki mecz? Ogólnie wieje nudą, ale czasami naprawdę zdarzają się całkiem dobre serwy. Wojtek właśnie zdobył punkt. Mama jeszcze się nie otrząsnęła po tym prztyczku w nos. I wcale się nie dziwię. Wielu facetów przewinęło się w ciągu ostatnich lat, ale żaden nie podważał jej autorytetu i nie sprowadzał jej do parteru.

– Możemy zjechać na stację benzynową?

Mama wzdrygnęła się, jakbym co najmniej wbijała jej patyk pomiędzy zebra. Obróciła się w fotelu i zmierzyła mnie spojrzeniem „to-ty-tu-jesteś?”. Taaa, często zapominała o mojej obecności. W domu byłam ignorowana niemal cały czas.

– Za godzinę będziemy w hotelu...

– Ale ja muszę do toalety – skłamałam gładko. Wcale nie musiałam. Ale chciałam odrobinę wkurzyć mamę za to całe wleczenie mnie przez pół Polski. Taki mały prezent świąteczny ode mnie.

Mama wciągnęła powietrze przez nos i przymknęła oczy.

Wojtek zupełnie mnie zignorował. Jakby było to coś nowego. Przeważnie mnie nie widzi i udaje, że w ogóle nie istnieję. Podejrzewam, że nawet gdy za dwa lata pójdę na studia i wyprowadzę się z domu do akademika, to wtedy też się nie kapnie, że coś się zmieniło.

Właśnie coś przestawiał w nawigacji i... ta zgasła.

– Co, do cholery? – wymamrotał pod nosem, pukając w GPS-a. – Sprawdź swoją komórkę – nakazał mamie, a sam zaczął przeszukiwać kieszenie.

– Bateria mi padła.

– Moja też. Cholera jasna! Mówiłem, żebyś kupiła nową nawigację! Wiedziałem, że kiedyś padnie i staniemy w szczerym polu!

– Nie krzycz na mnie! To twój samochód, więc sam powinienesz kupić!

– Dobra, cicho bądź. Może znajdzie drogę...

Jechaliśmy jeszcze jakiś kwadrans, ale zasy na drogach były tak wielkie, że najnowszy samochód Wojtka miał problemy z jazdą. W końcu się poddał.

– Trudno. Spędzimy noc w aucie.

– No chyba oszalałeś!

– Gdybyś pamiętała o czymś tak prostym jak kupno nowej nawigacji, nie musielibyśmy tu spać.

– Nie wmawiaj mi, że to moja wina!

Oparłam głowę o szybę. Taka wymiana zdań mogła trwać w nieskończoność. W moim prywatnym rankingu to był najgorszy facet mamy. Gdy byłam młodsza, każdy nowy wujek próbował wkraść się w moje łaski, obsypując mnie prezentami i różnymi gadżetami. Ale siedemnastolatce już nie

warto nic dawać. I nie miałam do niego o to pretensji. I tak nie pamiętał o moich urodzinach, a i mama też zapominała. Ostatni raz świętowałyśmy je trzy lata temu, gdy poszłyśmy do kina i na kolację. Teraz ten dzień jest ignorowany. Zupełnie jak święta. Mama żyje własnym życiem, a ja z roku na rok coraz wyraźniej widzę, jakim staję się dla niej ciężarem.

Moje ciche westchnienie zostało przerwane przez pukanie do szyby. Zachłysnęłam się śliną, a mama i Wojtek przerwali kłótnię w pół zdania.

Za oknem ciemny kształt jeszcze raz zastukał, a ręką w grubej rękawicy pokiwał w dół.

Mama uchyliła szybę dosłownie o milimetr.

– Zabłądziliście? – Męski głos przeciął wiatr i śnieg.

– Nawigacja nam padła. – Wojtek wychylił się, mrużąc oczy.

– Tu to normalne. To prawie trójkąt bermudzki – zaśmiał się przybysz i przybliżył do szyby, byśmy go lepiej słyszeli. – W Wigilię zazwyczaj wszystkie drogi dojazdowe do miasta są nieodśnieżone. Dopiero jutro zjawią się drogowcy. Niedaleko jest pensjonat. Jeśli nie chcecie spędzić nocy na mrozie.

– Nie było żadnego znaku...

– Jest ciemno i wszystko zasypane. Musieliście go nie zauważyć.

Chyba po raz pierwszy zgadzaliśmy się w jednym – żadne z nas mu nie ufało.

– Są wolne pokoje, ciepłe jedzenie i wygodne łóżka.

Wojtek zerknął na mamę, która przygryzała usta, zjadając całą szminkę.

– Gdzie ten pensjonat?

– Musicie przejechać jeszcze z dziesięć metrów i po prawej stronie będzie droga prowadząca przez las. Nią dojedziecie do samego pensjonatu. Będę jechał za wami.

– Czym?

Niespodziewanie dla siebie samej zabrałam głos, a cień spojrział w moją stronę i wskazał coś za samochodem. W ciemności udało mi się rozróżnić kształty i aż przetarłam oczy ze zdumienia... Za nami stały sanie ciągnięte przez konia. Konia!

Wojtek skinął głową i odpalił samochód.

– Chyba nie mówicie poważnie! W ogóle człowieka nie znamy – zapiszczałam, wychylając się ponad siedzeniami.

– To jedyne rozsądne wyjście – odparła mama, ale widziałam po niej, że nadal się denerwuje.

To była decyzja Wojtka.

Nie wróżyłam dobrze temu pomysłowi. Chyba już wolałam całą noc siedzieć w samochodzie, słuchając kłótni tych dwojga, niż pojechać do pensjonatu, o którym żadne z nas nie słyszało, którego znaku nie widziało, a do którego droga

prowadziła przez las.

Obróciłam się ukradkiem i zerknęłam przez szybę. Facet jechał w saniach za nami, a światła samochodu Wojtka sprawiły, że koń wyglądał upiornie. Para, którą wydmuchiwał z nozdrzy, przybrała kolor demonicznej czerwieni.

Zagarnęłam telefon i książkę do torby i trzymałam ją kurczowo na kolanach, jak tarczę ochronną.

W chwilę później przed nami pojawiło się jakieś światełko. A za nim kolejne. Spomiędzy drzew wyłonił się zasypany śniegiem kilkupiętrowy budynek... Z wieloma oknami rozjarzonymi światłem. Z komina buchał szary dym.

Wojtek stanął przed samymi drzwiami i szybciej, niżbym powiedziała „niebezpieczeństwo”, wysiadł z samochodu i zaczął wygrzebywać walizki z bagażnika. Mama odwróciła się na siedzeniu.

– Trzymaj się blisko mnie, dobrze?

Wywaliłam na nią oczy. Co? Dobrze słyszałam?

Nim przyszła mi do głowy jakaś odpowiedź, mama dołączyła do Wojtka i chwilę rozmawiali szeptem. Ja niechętnie wysiadłam, obserwując kątem oka, jak mężczyzna, który wskazał nam drogę do pensjonatu, znika za domem.

Brodząc w śniegu, weszłam za mamą do środka. I zamarłam. W holu było ciepło. Wszystko w drewnie i przystrojone czerwono-złotymi girlandami z gałązkami świerku. Na ladzie recepcji stały zapalone świece i ogromny stroik. Wszystko tu krzyczało, że to świąteczny czas.

– Wesółych świąt!

Zza lady wyłoniła się drobna, niebieskooka kobieta z jasnymi włosami. Była śliczna. Musiałam to przyznać. Była oszałamiająco śliczna. Szczególnie ubrana w białą bluzkę i spódniczkę w czerwono-zieloną kratę.

– Eee... – zaczął elokwentnie Wojtek, a jego oczy zamigotały. Nie spodobało mi się to. – Zabłądziliśmy. Jakiś mężczyzna wskazał nam drogę tutaj...

– Ach, no tak. Tak czasami się zdarza w Wigilię. Rzadko kiedy drogi są wtedy przejezdne – odparła grzecznie, w ogóle nie zwracając uwagi na głodne spojrzenie Wojtka.

Miałam ochotę uśmiechnąć się krzywo i syknąć: „Widzisz? Nie każda laska zrzuca majtki na twój widok”.

– Czy byłoby możliwe wynająć u państwa pokój? A w zasadzie dwa? Jutro rano wyjedziemy do swojego hotelu w mieście.

– Oczywiście! Nie mamy kompletu, więc mogę państwu przydzielić dwa pokoje. Zazwyczaj w święta nie mamy rezerwacji. Ludzie spędzają święta w otoczeniu rodziny, a nie na wyjazdach.

Mama wyglądała, jakby ktoś kopnął ją w tyłek.

– Zaprowadzę państwa do pokoi. Odpoczniecie państwo po podróży.

Wszyscy poszliśmy za recepcjonistką i wdrapaliśmy się po schodach na pierwsze piętro. Tam otworzyła drzwi do dwóch pokoi i wręczyła nam klucze. Normalne klucze, a nie karty magnetyczne.

– Gdyby państwo czegoś potrzebowali, to jestem w recepcji.

Weszłam do swojego pokoju. Tu także wyglądało, jakby wyrzygało się stado świątecznych elfów. Wszędzie wieńce, mała choinka w kącie i girlandy. Nawet w łazience stały świece...

Zamknęłam drzwi do swojego pokoju i na paluszkach zakradłam się pod drzwi mamy.

– Jak ta kobieta śmie się tak odzywać do gości! Kiedy jutro będzie Internet, znajdę ten pensjonacik i obsmaruję go na całej linii.

– Trochę racji ma.

– Co ty opowiadasz, Wojtek?!

– A nie? To całe ciągnięcie twojej córki... za każdym razem biorą mnie za jej ojca. Trzeba ją było zostawić w domu. Nikt by nie myślał, że jesteśmy rodziną.

– A nie... nie jesteśmy?

Wojtek zaśmiał się ostro.

– Proszę cię. A co my robimy razem? Oprócz wyjazdów. Poza tym przyznaj, nie jesteś kandydatką do orderu matki roku. Zapominasz nawet o urodzinach własnej córki...

W gardle poczułam gulę, a setki drobnych igiełek rozsadały mi pierś. Odsunęłam się od drzwi, jakby parzyły.

Przeszłam przez korytarz aż do holu. Za kontuarem nie było recepcjonistki, więc poczłapałam do następnego pomieszczenia, którym okazał się ogromny pokój dzienny. Na wprost stał kominek otoczony przez liczne kanapy i fotele. Nigdzie nie było telewizora, za to ciągnące się aż do sufitu regały z książkami. A pod oknem największa i najpiękniejsza żywa choinka, jaką kiedykolwiek widziałam. Nie była taka jak w galeriach handlowych, sztuczna i na dodatek ubrana w jednym kolorze. Na jej gałęziach zawieszono różne bombki, kokardki, cukierki i jakieś kartki świąteczne.

Podeszłam bliżej, biorąc do ręki jedną z nich.

Dziękuję. Za wszystko. Wesółych Świąt!

Marek

Poznań 2001

Przeszłam do kolejnej, nieco poźółklej z jakimś malunkiem.

Uratowaliście mnie i daliście nadzieję. Nigdy nie przestanę być Wam wdzięczna. Teraz Święta smakują inaczej! Wesołego Bożego Narodzenia!
Anita

Warszawa 1981

Wytrzeszczyłam oczy. Rok 1981? Ten pensjonat może być aż tak stary?
Przeszłam do kolejnej i aż mnie zmroziło...

Jesteście Aniołami! Spokojnych i rodzinnych świąt!
PS Uratowaliście nas i nasze małżeństwo. Załączamy zdjęcie naszej córeczki, Ewci. Po Pani Ewie.
Gdańsk 1960

Na fotografii wyraźnie było widać, że dwójka uśmiechających się ludzi kocha się bezgranicznie. Kobieta trzymała na kolanach śliczną dziewczynkę, która zamiast pozować do zdjęcia wołała przygryzać paluszki od swojej nogi.

– To życzenia świąteczne od naszych gości.

Za mną stała kobieta z recepcji, obserwując mnie z uśmiechem. Puściłam kartkę, jakby mnie parzyła. Czułam się, jakbym wkradła się w czyjąś prywatność.

– Przepraszam – wybąkałam cicho, patrząc pod nogi. – Nie powinnam...

– Nie, spokojnie. – Podeszła do mnie szybko. – Kartki powiesiłam na choice, ponieważ są naszymi cennymi pamiątkami. Robię tak... co roku.

– Nie wiedziałam, że jeszcze ktoś wysyła kartki świąteczne. Zwykle są to maile, esemesy albo jakieś ogólne wpisy na Facebooku.

– I to jest smutne – zasępiła się kobieta, dotykając ukradkiem poząłkłej od starości kartki. Przesunęła po niej palcem z taką czułością, jakby faktycznie coś ją łączyło z tymi ludźmi. – W kartach świątecznych ukryta jest prawdziwa magia. Kiedy wysyłamy komuś odręcznie napisane życzenia świąteczne, to tak, jakbyśmy obdarowywali go całą miłością i dawali nadzieję. A poza tym gdy dostaję takie życzenia, to aż chce mi się płakać ze szczęścia, że ktoś o mnie pamiętał. Esemesa możesz skasować, a kartki świątecznej nie wyrzucisz, tylko schowasz ją do szuflady i wyciągniesz w następnym roku, żeby w wigilijny wieczór wspomnieć tamtą osobę.. I nawet jeśli cię nie usłyszy, to możesz szepnąć „Wesołych świąt”, a życzenie się spełni. I te święta naprawdę będą wesołe.

Coś skapnęło mi z policzka. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że płaczę. A nie pamiętam, kiedy ostatni raz to robiłam.

Wyminęłam kobietę i uciekłam, bo obraz w moich oczach coraz bardziej się

zamazywał. Nie chciałam, żeby ktokolwiek widział mnie płaczącą. Otworzyłam drzwi wejściowe i znalazłam się na ganku. Daszek osłaniał przed padającym śniegiem, ale nie przed mroźnym wiatrem.

Nie płacz.

Nie płacz.

Nawet nie waż się płakać.

Ale i tak to robiłam. Też chciałam mieć takie święta. Pełne miłości i śmiechu.

– Zamarzniesz.

Podsłoczyłam metr nad ziemię. Za mną pojawił się ten facet, który pokierował nas w stronę pensjonatu. Stał w smudze światła padającego z okna. Miał na sobie grubą kurtkę, jakby ze skóry, obszytą futrem oraz ciężkie buty. Gdy zdjął czapkę i strząsnął śnieg, dostrzegłam jego kwadratową zuchwę i ujmujące zielone oczy.

– Masz jakąś kurtkę?

– Co?

– Pytam, czy masz jakąś kurtkę. Przeziębisz się w samym swetrze.

Popatrzyłam na siebie, ale chyba miałam jakąś blokadę, bo tylko wzruszyłam ramionami. Gdybym się rozchorowała, miałabym argument, żeby nie wychodzić z pokoju i nie widzieć matki na oczy.

Mężczyzna westchnął i szybkim ruchem narzucił swoją kurtkę na moje ramiona, a ja aż ugięłam się pod jej ciężarem.

Chwycił mnie za rękę, gdy zatoczyłam się w stronę balustrady.

– Uważaj, jest bardzo ciężka.

– Dzięki za ostrzeżenie – sarknęłam, ale mimo to chwyciłam za poły grubej kurtki i zagrzebałam się w jej ciepłe. Przyjemnie pachniała.

– Do usług. – Wyszczrzył się bezczelnie. – Ewa dała wam już pokoje?

– Tak, dwa.

– Świetnie. Więc zobaczymy się na kolacji?

Pokiwałam głową. Podszedł do drzwi i otworzył je mocnym szarpnięciem. Spojrzałam na swoje stopy. Znowu zostawałam sama.

– Chcesz pogadać?

W mig spojrzałam na niego zdziwiona. Został? Dlaczego?

– Mam dziwne wrażenie, że chciałabyś pogadać.

– Nie... Poza tym nie znam cię, więc nie miałabym o czym z tobą rozmawiać.

– Czy to, że mnie nie znasz, nie jest najlepszym powodem, by mnie poznać?

Przysunął się bliżej i oparł o balustradę.

– Jesteś z Warszawy? Ile masz lat?

Zmarszczyłam brwi.

- Skąd wiesz?
- Wiesz: co?
- Że jestem z Warszawy?

Ruchem głowy wskazał na samochód. A tak, rejestracja. Brawo. Popisałam się inteligencją.

- No tak. Mam siedemnaście lat.
- A dałbym głowę, że co najmniej trzydzieści.
- Dlaczego aż tyle?
- Bo jesteś nad wyraz dojrzała.

Pokręciłam głową.

- Praktycznie cały czas jestem sama. To uczy pokory.
- I samotności. Ale przecież masz mamę, prawda?
- Ona... jest zajęta pracą.
- A tata?
- Nie żyje – odparłam głucho.

– Przykro mi.

– Byłam mała. – Wzruszyłam ramionami, zagłuszając w ten sposób drobne ukłucie w piersi. – Nawet go dobrze nie pamiętam.

– To źle. Jeśli to był twój tata, to powinnaś pielęgnować każde wspomnienie o nim. Szczególnie w Wigilię. To taka noc, gdy wszyscy nasi bliscy są duchem z nami.

– Mówisz jak ta kobieta z recepcji.

– Jak Ewa. Cóż, może warto jej posłuchać? Ona zna się na rzeczy. A o czym z nią jeszcze rozmawiałaś?

– O kartkach świątecznych. Nie wiedziałam, że ten pensjonat ma ponad pół wieku. Całkiem dobrze się trzyma.

– Zbudowany został z miłości do ludzi. I dzięki temu nadal istnieje i on, i my.

Zerknęłam na niego; wyglądał najwyżej na dwadzieścia parę lat, ale jego sposób mówienia i rady sprawiały, że wydawał się dojrzały i doświadczony, jakby miał dwa razy tyle.

- Jak masz na imię?
- Antek. Jestem... kuzynem Ewy.
- Długo tu pracujesz?
- Jakiś czas – odparł wymijająco.

– Nie wiedziałam, że istnieją jeszcze pensjonaty, które trzymają konie i sanie śnieżne.

– Cóż, wasz przykład najlepiej pokazuje, jak zawodne są samochody podczas zamieci.

Miał rację. Nawet nie chcę myśleć, jak wyglądała taka praca w pensjonacie

oddalonym kilkanaście kilometrów od pierwszego większego miasteczka. Musiało być trudno, szczególnie zimą.

– O czym marzysz, Marysiu?

Antek wbił we mnie przeszywające spojrzenie. Jakby próbował zajrzeć w głąb mojej duszy.

– Co...?

– Widzę, że jesteś zagubiona – dodał spokojnie i zbliżył się do mnie o krok.

– Powiedz: co cię smuci? Co chciałabyś zrobić, by było inaczej? O czym marzysz?

Utonęłam. Całkowicie zatraciłam się w jego oczach. Nie wiem, czy to właśnie przez jego ostre niczym lodowa włócznia spojrzenie, ale nagle pomyślałam o mamie. I o tym, jaką wspaniałą mamą była kiedyś.

– Ja... chciałabym... Chciałabym, żeby mama mnie pokochała. Jeszcze raz.

– A czemu myślisz, że już cię nie kocha?

– Ignoruje mnie. Zapomina o mnie. Nie chce mnie.

– A co z tobą? Czy ty pokazujesz jej, że ją kochasz?

– Oczywiście... Nie – wyznałam szczerze, a poczucie winy paliło mnie w gardle.

– Wina zazwyczaj leży po obu stronach. Przyznaj, że sama odpychałaś mamę. Czy jako mała dziewczynka nie pragnęłaś, żeby przestała być nadopiekuńcza? Ile razy chciała mieć cię na jedno popołudnie dla siebie, spędzić je ze swoją córeczką, a ty ją odtrącałaś?

– Skąd...

– Nie da się kogoś kochać, jeśli się jest cały czas odpychanym, Marysiu.

– Po prostu... Ja po prostu... Chciałam, żeby częściej wychodziła z domu. Po śmierci taty zupełnie oszalała na moim punkcie i dlatego zaczęłam ją odpychać. Specjalnie wychodziłam do koleżanek, żeby mogła sobie zorganizować popołudnie, wyjść gdzieś z koleżankami, mieć czas dla siebie. A teraz chciałabym zrobić wszystko, by znowu mnie pokochała.

– Twoja mama cię kocha. Każda matka kocha swoje dziecko. To jej częśćka, jej dusza i jej podobizna.

– Dużo o mnie wiesz. Ale skąd...?

Drzwi otworzyły się na oścież i wyleciał przez nie Wojtek.

Nawet nie zdążyłam zareagować, kiedy wsiadł do samochodu, wrzucił wsteczny i ostro ruszył, rozbryzgując dookoła śnieg.

Mama!

Ze zmarszczonymi brwiami wpadłam do holu. I pognałam na piętro, a potem, nie zawracając sobie głowy pukaniem, wbiegłam do jej pokoju.

– Mamo? Mamo!

Nigdzie jej nie było.

Przysiadłam na łóżku. Działo się coś dziwnego. Czułam to. Byłam

zagubiona, niemniej przeczuwałam, że coś się dzieje. Poczucie winy? Nigdy go nie zaznałam. To zawsze mama była winna. Ona o mnie zapomniała, żyła własnym życiem, ciągle i ciągle szukając pocieszenia w ramionach nowych facetów. Ja przestałam się liczyć. Jeśli Wojtek faktycznie uciekł i zostawił mamę, to nic nie szkodzi. Jeszcze przed sylwestrem będzie miała kogoś nowego. A później kolejnego, i jeszcze jednego... Bo ja przestałam się dla niej liczyć. Byłam jedynie utrapieniem.

Przełykając łzy, zerknęłam na nogi. Automatycznie się przechyliłam, żeby zawiązać sznurowadło. Spod łóżka wystawał rąbek jakiejś kartki. Wyciągnęłam ją i zbliżyłam do oczu.

To zdjęcie nie miało prawa tu być...

To jedyne zdjęcie, jakie miałyśmy.

I dobrze wiem, gdzie się znajdowało w naszym mieszkaniu. W naszym domu oddalonym setki kilometrów od nas.

To byliśmy my. Rodzice i ja, ostatnie święta, jakie spędziłyśmy razem przed tragicznym wypadkiem taty.

Mama tuliła mnie do siebie tak mocno, że pischalam, wierzgając nogami. A tata obejmował nas obie.

Mamusiu...

Zbiegłam ze schodów, a przy recepcji pojawiła się Ewa.

– Dobrze, że jesteś. Wszędzie cię szukałam. Już siadamy do wieczerzy.

– Szukam mamy...

– Ona już czeka w jadalni. Chodźmy!

W pokoju stał ogromny stół zastawiony dwunastoma półmiskami. Wokół zgromadzili się mieszkańcy pensjonatu i goście. Jakaś rodzina z dzieckiem i kilka samotnych osób. Było w nich coś dziwnego. Jakby życie ich złamało, ale w oczach dostrzegłam jasny blask. Te iskierki to była nadzieja. Ona sprawiała, że ich spojrzenie stało się wyraźne, krystaliczne i ciepłe.

– To już wszyscy. Możesz zaczynać, Gabi – zaświergotała Ewa, ustawiając mnie przed stołem.

Mężczyzna spojrzał na nią ostro.

– Gabriel, Ewo, Gabriel. Przestań skracać moje imię – zagrzmiał, a ja w duchu trzęsłam się jak osika.

– Dobrze, już dobrze. – Ewa przewróciła oczami i mrugnęła do niego. – Zaczynaj już, bo nasza wieczerza stygnie.

Gabriel pokręcił głową i powiedział:

– Myślę, że wszyscy mamy za co dziękować w ten szczególny wieczór, choćby za to, że dane nam było zebrać się tu razem. Życzymy sobie, abyśmy znaleźli miłość, abyśmy potrafili przebaczać i aby nasze prośby, do kogokolwiek je zanosimy – do siebie nawzajem, do Boga czy do losu – zostały wysłuchane.

Jesteśmy wdzięczni za życie, za wiarę w nas, w nasze ludzkie siły. Wierzmy, że Bóg – albo po prostu los – ma wobec nas jakiś plan i pomoże nam odnaleźć drogę do siebie nawzajem. Że będziemy zdolni odróżnić dobro od zła, światło od ciemności. I nauczymy się wybaczać.

Po tych słowach Gabriel wziął tacę z opłatkami i obszedł z nią wszystkich obecnych.

A ja zaniemówiłam. Moje spojrzenie padło na Antka, który mrugnął do mnie zachęcająco i wskazał głową lewą stronę. Stała tam moja mama. Moja mama, która wykręcała sobie ręce, po szmince nie pozostał nawet ślad, a jej oczy były zaczerwienione.

– Wesołych świąt, Marysiu – zagrział Gabriel, stając przede mną z opłatkiem.

Dawno już z nikim nie łamałam się opłatkiem, więc z nerwów zaschło mi w gardle. Na szczęście nie wyglądał, jakby czekał na jakieś specjalne życzenia, sam zresztą też mi ich oddzielnie nie składał, więc odpowiedziałam mu cicho taką samą formułką i pomknęłam w stronę mamy.

Spotkałyśmy się w połowie drogi. Łzy momentalnie napłynęły do oczu.

Mama stanęła przede mną i z lekkim uśmiechem na kształtnych wargach pogładziła mnie po włosach. Tak jak wtedy, gdy byłam mała.

– Tęskniłam za tobą, Maryś – załkała cicho, a łzy popłynęły po jej policzkach.

– Ja za tobą też, mamusiu.

– Obiecuję, już nigdy...

– Nie, to ja obiecuję!

– Wybacz mi te wszystkie lata. Ja wiem, nie cofnie się tego, ale...

– Mamusiu, kocham cię.

– Ja ciebie też, Marysiu.

Przytuliłam mocno mamę. Mamę, którą odzyskałam. Która nadal mnie kochała. I która wszystko mi wybaczyła. A ja jej. A od teraz nasza Wigilia będzie wyglądała tak jak dawniej. Będziemy rodziną. Nawet we dwie.

Pensjonat pod Świerkiem

Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-8083-775-1

© Agnieszka Lingas-Łoniewska, Magdalena Knedler, Adrian Bednarek,
Jolanta Kosowska, Nina Reichter, Daniel Koziarski,
Anna Kasiuk, Anna Szafrńska i Wydawnictwo Novae Res 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt
jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga
pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Wioletta Cyrulik

KOREKTA: Paulina Zyszczyk, Małgorzata Szymańska

OKŁADKA: Paulina Radomska-Skierkowska

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: InkPad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES

al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zacztyani.pl.

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem

Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.



